Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 13,32 zł w tym 8% VAT NR 51–52 (1683-1684) 23 grudnia 2022 – 5 stycznia 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

PODWÓJNY NUMER

Szopka z Wojtyłą
str. 20

Księża do gazu...
str. 18

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl dc8f67621c

Święta, nie święta, trzeba podnieść dupy i iść na zakupy. Gdzieś na półce powinien być podwójny numer tygodnika „NIE", a w nim:

4 **Depresja Moskala** – Trzeba pozbyć się Putina, żeby on nie pozbył się nas.
Na tamtym świecie – Komiks: Też o pozbywaniu się. Pisowców.

6 **Papiery Macierewicza** – Gdzie się podział aneks do raportu z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych.

7 **Wały, przewały** – Samoodpalający granatnik to niejedyny i wcale nie najgorszy numer komendanta Szymczyka.

8 **A mury runą** – Wodzu, prowadź na Królewiec!

9 **Wigilia na zjeździe** – Co wciągnąć, żeby nie wyciągnąć nóg podczas świąt

10 **Bohater spod celi** – Zjednoczona Prawica czci pamięć ludzi z genem zdrady.
Wiara czyni czuba

11 **Z czarnej dupy się wyrwało**

12 **Jak trans z transem** – Rozmowa z Anną Grodzką o wadach i zaletach kobiet oraz ich penisów.

14 **A delfiny mają gęby pełne kłów** – Zwierząt, podobnie jak ludzi, nie oceniaj po ich reputacji.
Autoeutanazja – Prawie wszystkie sposoby na popełnienie samobójstwa. Nasz ulubiony: na brelok, czyli wyhuśtanie się.
Kompost z ludziny – Prochy (dosłownie) dziadka mogą pomóc w uprawie konwalii lub rzodkiewek.

16 **Pisanie jak ruchanie** – Czasy mamy takie, że Einsteinem mógłby zostać nawet Suski…
Szampańska komuna – Czyli jak zsocjalizować kapitalizm.
Gdzie zerka dziaderka – Słownik języka awangardowego dla wsteczniaków.

18 **Księża do gazu…** – Kler to doskonała grupa zakupowa. Zwłaszcza jeśli chodzi o płyny…
Papież kocha kobiety – Franciszek nie jest zły, ale też nie jest dobry. Czyli jaki jest nijaki.

19 **Ojciec prekursor** – Tadeusz Rydzyk to ekonomiczny geniusz i gospodarczy wizjoner. Amen.

20 **Szopka z Wojtyłą** – Co się dzieje w fabryce świętych, czyli papiescy krewni na ołtarze.
Bezgrzesznicy – Jan Hartman pierwszy rzuca kamieniem…

21 **W polskim niebie** – Na czym polega technologia produkcji błogosławionych i świętych.

22 **Jedna martwa dziewczyna** – Męczeństwo Heleny Kmieć, czyli zupełnie inaczej niż u Mrożka.

23 **Na randce z matką** – Co robią Wojownicy Maryi w czasie wolnym od modłów.
Deweloper co łaska – Gdy proboszcz buduje sobie apartamentowiec…

24 **Chłopiec zły** – Kariera gangstera. Mistrzostwo świata: wielka ucieczka wypasionym mercedesem.

26 **Najlepszy tata świata** – Sędzia, jego syn i mnóstwo bezprawia.
Szatan wygrywa z Kamińskim – Donos strażników granicznych na przełożonych (…a chodzi o Mariusza Kamińskiego…).

27 **Ani pancerny, ani kryształ** – Banasiowy epos: Jak mimo tego, co ma za uszami, bohater Prawa i Sprawiedliwości stał się bohaterem opozycji.

28 **Polski naród buduje chińską izerę** – Marzenie o milionie polskich samochodów elektrycznych ma krzywą gębę premiera Morawieckiego.

29 **Wieści gminne i inne**
Listonosz doniósł

30 **Listopadaczka** – Najniepotrzebniejsze z niepotrzebnych powstań polskich.

31 **Cztery szlagiery** – Skakać ze skoczni na skocznię jak z kwiatka na kwiatek.

32 **Dialogi dam w drodze do kościoła**
Słówka półgłówka
Przygody Jarka Niezdarka – Komiks: Kot prezesa ma głos.

Następny – noworoczny – numer „NIE" ukaże się w czwartek 5 stycznia 2023 r.

Z URNY URBANA

Felieton Urbana, który przypominamy, ukazał się w maju 1993 r., czyli prawie 30 lat temu. Nie zestarzał się. Mógłby zostać napisany wczoraj. Przypominamy go z okazji Bożego Narodzenia, bo poświęcony jest Kościołowi kat.

Biskupom do słuchu

Wielebni biskupi rzymskokatoliccy uchwalili na swoim plenum dokument objaśniający ich rozumienie wartości chrześcijańskich. Owe WC, jak tego pragną, mają być w Polsce obowiązujące z mocy prawa. Jest to dokument roszczeniowy.

„Odrzucenie porządku ustanowionego przez Boga" – piszą biskupi – „dokonane przez hitleryzm i komunizm, doprowadziło do naruszenia podstawowych praw osoby ludzkiej, mimo iż oba wymienione systemy miały przez pewien czas poparcie wpływowych intelektualistów. Istnieją powody do obaw, iż współczesne próby atakowania i ośmieszania wartości chrześcijańskich mogą prowadzić w tym samym kierunku". Kto więc sprzeciwia się klerykalizacji państwa oraz koncepcji państwowości opartej na ideologii obowiązkowej – ten zmierza do ludobójstwa.

Nieprawdą jest, że hitleryzm – w odróżnieniu od komunizmu – miał zawsze poparcie intelektualistów. Prawdą natomiast jest, że miał poparcie wielu niemieckich biskupów. Jego wojska kroczyły z imieniem Boga na pasach, zbrodnie nie były potępione przez Kościół katolicki w odpowiednim czasie i z właściwą wyrazistością. Zbrodniarze zaś, których nie pojmały wojska zwycięskich mocarstw, uchodzili tysiącami, np. do Ameryki Łacińskiej, dzięki kościelnym, w tym watykańskim, punktom przerzutowym.

Co się zaś tyczy marksizmu traktowanego przez zarządców kościelnych RP równoznacznie z hitleryzmem, jest on – w odróżnieniu od stalinizmu – tak samo ważnym jak chrześcijaństwo składnikiem wartości uniwersalnych. Marksizm jest źródłem wrażliwości na biedę, wyzysk, z niego wypływają osiągnięcia państwa opiekuńczego oraz wszelka pragmatyczna polityka społeczna. Zasięg wpływów marksistowskiej myśli, w odróżnieniu od kościelnych, nie ogranicza się zresztą do świata chrześcijańskiego, bo wpływa na stosunki w wielu krajach Azji i Afryki.

Liberalno-demokratyczny kapitalizm, akcentujący prawa człowieka, obrany za wzorzec współczesnej Polski, ma za źródło koncepcje ustroju i swobód ludzkich tworzonych, historycznie rzecz biorąc, w walce z klerem katolickim (rewolucja francuska i następne). Kieruje się też zasadą odsunięcia Kościoła od bezpośredniego wpływu na państwo i prawo. Katolicyzm z jego pruderią, kultem rodziny itp. był zaś ideową siłą motoryczną faszyzujących reżimów Franco i Petaina.

Kościół katolicki jako instytucja zupełnie nie nadaje się na ideologicznego inspiratora czy polityczny wzór dla współczesnej demokracji. Sam ma ustrój bardzo podobny do totalitarnego: jeden samodzierżca z władzą absolutną, w terenie autorytarni jego nominaci, żadnej demokracji, odrzucanie dysydentów, uroszczenia monoideologiczne, tajne finanse, klerokracja. Kościół uważa siebie za jedynego właściciela jedynej prawdy w Polsce godnej narzucenia nawet państwu i prawom. Nie ma więc tytułu moralnego do gromienia totalitaryzmu, bo sam objawia silne związki z taką mentalnością i takim systemem.

URBAN
sekr@redakcja.nie.com.pl

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Obchodzimy święta narodzin Jezusa Chrystusa. Według wszelkich możliwych dociekań i badań nigdy w historii nie było takiej postaci, nigdzie – oprócz Biblii – nie odnotowano jakiegokolwiek innego historycznego świadectwa dotyczącego jakiegokolwiek zdarzenia, które miało zajść podczas życia Jezusa. A Rzymianie, którzy wówczas okupowali tereny, gdzie miał nauczać Jezus, byli nadzwyczaj skrupulatni w prowadzeniu kronik. Fragment pism żydowskiego historyka Józefa Flawiusza, w którym jest mowa o Jezusie, a na który się z upodobaniem powołuje Kościół kat., został sfałszowany i dopisany później. Narodziny, życie i dokonania Jezusa są wymysłem, podobnie jak postać Zeusa z mitologii greckiej.

✚ Radni z Częstochowy – głównej kwatery Czarnej Madonny – nie chcą finansować religii z lokalnego budżetu. Przyjęli uchwałę, w której apelują o likwidację finansowania lekcji religii z budżetu miasta. Jest to pierwsza tego typu uchwała w Polsce. Radni uzasadniają postulat wysokimi kosztami ponoszonymi przez miasto mimo coraz mniejszej liczby uczniów chodzących na religię. „Wydatki ponoszone na naukę religii w szkołach w 70 proc. finansowane są z subwencji oświatowej, a w 30 proc. z dochodów własnych miasta. W przypadku Częstochowy to ponad 2,8 mln zł" – liczą pomysłodawcy uchwały.

✚ „W ciągu ostatnich 30 lat odsetek regularnie praktykujących w pokoleniu najmłodszym spadł z 69 do 23 procent, a niepraktykujących wzrósł z 8 do 40 procent. Słabnie zarówno dziedziczenie postaw religijnych między rodzicami a dziećmi, jak i świadome formowanie w rodzinie do wiary. To, co obserwujemy na poziomie parafii i w rodzinach, każe myśleć, że procesy sekularyzacyjne nie wyhamują" – mówi w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej prof. Mirosława Grabowska, dyrektorka Centrum Badania Opinii Społecznej.

✚ Trzeci Komitet Zgromadzenia Ogólnego ONZ – największy organ ONZ odpowiedzialny za podejmowanie problematyki praw człowieka – zatwierdził projekt rezolucji w sprawie likwidacji wszelkich form przemocy wobec kobiet i dziewcząt, „stereotypów genderowych" i „negatywnych norm społecznych". Projekt zostanie przedłożony Zgromadzeniu Ogólnemu Organizacji Narodów Zjednoczonych w celu ostatecznego przyjęcia. Projekt wskazuje „dostęp do bezpiecznej aborcji" w granicach przepisów państwowych za jedną z polityk, którą rządy powinny realizować, aby „zapewnić propagowanie i ochronę praw człowieka wszystkich kobiet oraz ich zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego". Polska, gdzie prawo dyktuje Kościół kat., była oczywiście przeciwko przyjęciu tego projektu.

✚ Proboszcz parafii Bożego Ciała w Nowych Skalmierzycach w Wielkopolsce dostał pismo od biskupa z nakazem wyłączenia dzwonów: całkowitego oznaczającego pełne godziny, części godzin oraz wszelkich melodii, a pozostawienia go na Anioł Pański w południe oraz na oznaczenie celebracji mszy, pogrzebów czy procesji. Domagali się tego okoliczni mieszkańcy. Kanonik Zbigniew Króczyński podzielił się swoim poglądem w tej sprawie w trakcie ogłoszeń parafialnych: „Krzykiem i hałasem wygrali sprawę, ale przyjmijmy to z pokorą i zaufaniem, że Pan Bóg jakoś to wszystko rozwiąże". Kumacie – dzwony napierdalały ludziom co pół godziny, a gość mówi o hałasie, gdy ma je wyciszyć.

✚ Ksiądz z jednej z parafii pod Ełkiem w województwie warmińsko-mazurskim spowodował po pijanemu wypadek, w którym ucierpiał kierowca i jego dwie córki w wieku 14 i 6 lat. Duchowny miał blisko 3 promile, a po wypadku próbował uciec z miejsca przestępstwa.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Rys. TOMASZ WIATER

PRASA ŚNIADANIOWA

- **TVP** rusza z kanałem **Alfa** skierowanym do starszych dzieci i młodzieży. Na pasku pojawią się newsy o dzieciach Tuska.
- **Komendant Szymczyk** przyznał, że podczas eksplozji granatnika doszło do strat wizerunkowych. Widocznie w straty wizerunkowe wpisuje się sufit.
- 70 procent **Polaków** ma raczej złe zdanie o karierze **Jacka Kurskiego.** Dajcie spokój, w każdym banku przyda się ktoś odpowiedzialny za zorganizowanie sylwestra.
- Przy **Ratuszu Kultury w Gdańsku-Oliwie** stanęła bożonarodzeniowa szopka z piasku. Przynajmniej nikt się nie poślizgnie…
- W styczniu i lutym ruszy druga edycja akcji **„Trenuj z wojskiem".** Kici, kici, kotki…
- **Daniel Obajtek** zapewnił, że Orlen jeszcze mocniej zamierza inwestować w sport. Najlepiej, żeby Orlen sponsorował kolarstwo.

MARTA M.

eprasa.pl dc8f67621c

GADMAN

Opłatkowy skrytożerca

Wafelkowa opowieść wigilijna.

Są ludzie uzależnieni od papierosów, alkoholu, kabanosów, kokainy, nawet seksu. Ja już od dziecka uzależniłem się od opłatka.

Cieniutkiego białego płatka chlebowego. Przaśnego, czyli robionego bez chlebowych kwasów, niesolonego. Z mąki białej, pszennej, najlepiej dobrej pięćsetki. Z dodatkiem wody, bez drożdży. Wypiekanego na gorącej płycie metalowej niczym delikatny wafelek. Tak przygotowywane na kolację wigilijną opłatki mogłem i nadal mogę pożerać kilogramami.

Tylko bezsmak

Do dzisiaj nie wiem, co w tym celowo przecież przyrządzanym jako bezsmakowy wypieku tak bardzo mi zasmakowało i smakuje nadal.

Może kliniczna czystość jego bezsmaku?

Bywają wokół nas piękne przedmioty zachwycające swym estetycznym minimalizmem. Bywają dania powalające prostotą swych smaków. Czy zredukowany do minimum smak opłatka kręci smakoszy, bo mogą obcować z zaklętym w nim prasmakiem? Archetypem wszystkich późniejszych smaków?

Tak czy siak opłatki smakowały mi tak bardzo, że rychło moje kubki smakowe poczęły odróżniać jakość i subtelności ich bezsmaków.

Dlatego dziś mogę zapewnić Was, że najlepsze opłatki znajdziecie na placu Marcelego Nowotki, obecnie Ignacego Daszyńskiego, w domu parafialnym przy częstochowskim kościele św. Zygmunta.

Równać się z nimi mogą także te wypiekane i rozprowadzane przy parafii świętej Barbary, niedaleko jasnogórskiego klasztoru.

Wiele jest miast na świecie słynących ze smaku serwowanych tam potraw. Wszyscy wiedzą, że najlepszą zupę pho można dostać w Hanoi, najlepszy kugel jest w Ostrołęce, najlepsze kasztany są na paryskim placu Pigalle, a opłatki tylko w świętej Częstochowie.

Ale uważaj smakoszu-wędrowcze!

Jeśli zechciałeś już posmakować dobrego częstochowskiego opłatka, to broń cię Panie Boże kupować go od handlarzy związanych z klasztorem paulinów! Klasztor jasnogórski nieraz bywał ciemną i szemraną firmą biznesową. Każdy szanujący się częstochowianin trzymał się od niego z daleka.

I opłatków związanych z tą firmą unika.

To kwestia smaku, zacytujmy poetę Herberta.

Tylko nie klasztorne

Dlatego w moim rankingu polskich opłatków te jasnogórskie plasują się na jego dole. Trochę ponad opłatki sprzedawane przy warszawskiej stacji metra Centrum. Suchą, mdłą smakowo masówkę. Klasycznego opłatkowego fast fooda.

Warto przypomnieć, że każdy prawdziwy wigilijny opłatek powinien zachwycać nie tylko subtelnością bezsmaku, pięknem barwy białej, delikatnie przechodzącej w perłową, ale też estetycznym smakiem odciśniętego na nim obrazka. O różnej, ale zawsze religijnej tematyce. Może to być maleńki Jezus, perspektywiczny widok stajenki; bywały opłatki z podobizną papieża Polaka, choć kremówką nie są.

Ja wolę opłatki z odciśniętą Czarną Madonną. Moją uroczą żydowską częstochowską sąsiadeczką. Najpiękniejsze jej wizerunki wychodziły spod rąk sióstr zakonnych kooperujących z niższym seminarium duchownym zlokalizowanym przy Piotrkowskiej. W Częstochowie, rzecz jasna.

Teraz wypada mi przypomnieć, że urodziłem się w tym świętym mieście. Mój Tatuś miał tam piekarnię w domu przy ulicy Ogrodowej 48, która pod koniec sanacji została ulicą generała Orlicza-Dreszera, w czasach Polski Ludowej ulicą Armii Ludowej, a za III Rzeczpospolitej znów się stała Ogrodową.

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Piekarnia mojego Tatusia słynęła na całą Częstochowę z wielce smacznego, bo prawdziwego chleba. Robionego na piekarskich kwasach, a nie na chemicznych przyśpieszaczach, jak dzisiaj. Sprzedawanego od razu w sklepie mieszczącym się w tym samym domu, dzięki czemu „łańcuch dostaw" był u nas wyjątkowo krótki.

Globalizacja globalizacją, a mój Tatuś już wtedy myślał o narodowej suwerenności procesu technologii wypieku i dystrybucji.

Chlebem tym Tatuś wspierał różne zacne instytucje. Szkoły podstawowe i średnie, do których chodziliśmy, Państwową Inspekcję Sanitarną, bo inspektorzy przychodzili do nas, III Komisariat Milicji Obywatelskiej i niższe seminarium duchowne, bo było w sąsiedztwie.

Tylko cymes opłatkowy

Za ten chlebuś każdy z obdarowywanych odwdzięczał się, jak tylko mógł. Kooperujące z seminarium siostry zakonne zawsze przed Wigilią przynosiły nam opłatki. Ech, jakie to były opłatki… Iście domowa robota, krótkie serie wypieków. Świeżutkie, kruchutkie, z perłowym odcieniem, boskim wręcz bezsmakiem i wyraźnie odciśniętym wizerunkiem Maryi z Dzieciątkiem. Opłatkowy cymes.

I chociaż zawsze kopę tych opłatków nam przynosiły, nieraz aż tyle, ile przed pandemią dawano frytek w restauracjach Sphinx, to i tak podczas kolacji wigilijnej okazywało się, że ledwo, ledwo tych opłatków na przełamanie się nam wystarczało.

– Kto znowu wyjadł opłatki? – pytał groźnie mój Tatuś, który tradycyjnie pierwszy miał się ze wszystkimi domownikami opłatkami przełamać i złożyć stosowne życzenia.

Pytał retorycznie, bo doskonale wiedział, że jam to uczynił. Bo oprzeć się nie mogłem już na sam widok kupki opłatków i zawsze musiałem je wciągnąć.

Wiedział, bo przecież nieraz go po synowsku prosiłem, aby mi takich opłatków upiekł. Bez wigilijnej okazji. Tak dla samego smaku. Przecież prawdziwe kajzerki upiec potrafił i bajgle też ukręcić umiał. I taki opłatkowy wypiek nie byłby dla niego żadnym wysiłkiem.

Ale mój Tatuś miał zasady i respektował je niestety.

– Synu – powtarzał – choć należymy do jednego cechu piekarzy i cukierników, choć mamy wspólnego patrona, świętego Klemensa, choć w domu przechowujemy wspólny sztandar cechowy, z którym chodzimy na procesje Bożego Ciała, to ja ci nigdy nie upiekę opłatka. Nie dlatego, że nie potrafię, bo to przecież zwykły wafel jest i każda średnio rozgarnięta siostra zakonna go upiecze, byleby tylko się nie zamyśliła albo nie rozmodliła w trakcie. Bo to ciasto lekkie i łatwo można je spalić.

Ale ja, synu, piekarzem jestem, a nie cukiernikiem. Wafel to nie jest piekarskie rzemiosło. Szewc trzyma się kopyta, piekarz dba o kwasy i podmłody, a od opłatków są siostry zakonne.

I nie dał się przekonać mimo mych licznie powtarzanych próśb. W końcu musiałem pogodzić się z tym, że kicha z domowych opłatków i będę skazany na cudze wypieki.

Ponieważ Tatusia mojego kochałem nad życie, to całą swą złość za brak tych opłatków przelałem na Ojca Niebieskiego, też Stwórcę mego. W którego w dzieciństwie jeszcze wierzyłem.

– Panie Boże! – warczałem na niego podczas codziennej modlitwy.

– Czemu stworzyłeś mnie smakoszem opłatka i jednocześnie kazałeś mi urodzić się w rodzinie piekarza? A nie w rodzinie sióstr zakonnych?

I tak od jednego warknięcia do drugiego, aż nasze drogi się rozeszły.

Ale umiłowanie opłatków zostało mi na zawsze. I choć dziś prawdziwych opłatków już nie ma, to wesołych świąt i opłatkowych smaków Wam życzę!

PIOTR GADZINOWSKI

Filcowy Urban

Fot. DAMIAN SZEWCZYK

„ZBAWICIEL"

HEJ, POCZĘŁA MARIA Z JANEM
SYNA CO SIĘ ZWIE-URBANEM,
CZY KTOŚ WIERZY, CZY NIE WIERZY
ZAMIAST JEZUS-DOSTAŁ JERZY.

BO URZĘDNIK W TAMTEJ KODZI
BAŁ SIĘ SOBIE TEŻ ZASZKODZIĆ,
TRZY LITERY POPRZESTAWIAŁ -
MYŚLĄC-ŚWIETNY BĘDZIE KAWAŁ!

TEN ZBAWICIEL POŚWIĘCONY -
JEDNE STUDIA MIAŁ, TRZY ŻONY,
FELIETONY, TEKSTY PISAŁ,
LECZ NIKOMU NIC NIE LIZAŁ.

I TU KRZYŻ SIĘ ZACZĄŁ JEGO -
CHCIANO ZKAMAĆ NAN JERZEGO,
BY NIE GŁOSIŁ SWYCH MĄDROŚCI -
BO TO ŻYD... A ONI PROŚCI.

Jarków 19.03.2015

ANI HYMN – ANI DZIEŁO

Jeszcze Polska nie zginęła, póki Urban żyje.
Co głupota nam zabrudzi, on mądrością zmyje.

Marsz, marsz Urbanie, za nim pędź narodzie -
Intelektem i satyrą – walka dzisiaj w modzie.

Przeczytamy wszystkie dzieła, będziemy znawcami
Dał nam Urban piękny przykład – jak zwyciężać mamy.

Tak, jak ojciec mówi do nas, w „Nie" wciąż zapisany.
„Humor to oręże walki – bijcie więc w Urbany.

Aby Polska nie zginęła – uświęćmy Urbana
Gdy odleci – Polska wiecznie będzie roześmiana.

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Nie, nie – nie Szymczyk… Jest za głupim głupcem, żeby dostąpić przywileju bycia Móżdżkiem Tygodnia.

Tak, tak – Czarnek. W roli ministra edukacji i nauki stał za nowelizacją prawa oświatowego (lex Czarnek), którą w marcu zawetował inny mędrzec polskiej prawicy – prezydent Duda.

Czarnek przedłożył sejmowi drugą wersję nowelizacji (lex Czarnek 2.0), która tak się różniła od pierwszej wersji jak kropla moczu od kropli moczu. Duda właśnie znów zawetował tę ustawę.

Teraz Czarnek zapowiada, że wkrótce przedstawi trzeci wariant nowelizacji (lex Czarnek 3.0), który będzie prawie taki sam jak poprzednie 2 warianty.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Kto wie, że popełnił błąd i nie próbuje go naprawić, popełnia drugi błąd" – to Konfucjusz.

Kto popełnia 3 takie same błędy z rzędu, jest bęcwałem – a to my.

TRYBUNA LUDZI

Czego życzycie sobie w Nowym Roku?

Facebook

Taki Michau: Jak co roku – żeby somsiadowi ten nowy passat nie palił.

Antoni Anastazjusz Forenda: Żeby nie było wiatru, bo nawet jak jest ciepło, a jest wiatr, to jest zimno…

Katarzyna Majkut: Życzę biednym naszym piłkarzom, żeby więcej pieniędzy dostali, bo klepią potworną biedę.

Jarosław Soborski: Tylko zdrowia, bo wszystko inne będziemy musieli ukraść, żeby przeżyć…

Natalia Dyjas-Szatkowska: Żeby Glapiński musiał przeżyć miesiąc z kredytem i za najniższą krajową. Oglądałabym ten program survivalowy.

Ireneusz Walczuk: Życzę sobie, żeby Sasin odpracował pod Biedronką, roznosząc ulotki, 70 baniek, które roztrwonił.

Artur Artur: Boomboksa przerobionego na granatnik.

Patryk Janusz Sieniawsky: Żeby rząd PiS upadł i sobie głupi ryj rozwalił.

Tobiasz Sławik: Żeby Jarek sobie dziewczynę znalazł.

Kamil Szafarczyk: Żeby kukle wreszcie przestały swędzieć.

Paweł Urbanek: Nawzajem.

Forum

Hamlet: Każdemu granatnik przebrany za flaszkę.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE" i Facebooka.

eprasa.pl dc8f67621c

Depresja Moskala

Wiecie, co trzeba zrobić Putinowi?

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Zapewne nie uwierzycie: jestem oczytany. Przeczytałem np. pamiętniki Churchilla „Druga wojna światowa" wydane po polsku w sześciu tomach. Pamiętniki Goebbelsa wydane po polsku w trzech tomach. „Dzienniki Rosenberga z lat 1934–1944". Pamiętniki Ericha von Mansteina „Stracone zwycięstwa". „Europę (co) walczy 1939–1945" Normana Daviesa. „Drugą wojnę światową" Antony'ego Beevora, „Historię społeczną Trzeciej Rzeszy" Richarda Grunbergera oraz „Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy" Williama Shirera – i doszedłem do porażającego wniosku. Uczeni w historii nie doszli do porażającego wniosku sprowadzającego się do odpowiedzi na jedno zasadnicze, generalne, podstawowe, fundamentalne pytanie: Czy gdyby Hitlera w ogóle nie było, doszłoby do II wojny światowej?

Gdyby Hitler nie przyszedł na świat

Zadziwiające, że po przeanalizowaniu takiej masy materiału dowodowego, dysponując wiedzą post factum (typu prokuratorskiego), czyli absolutnie pewną, której kolejne sekwencje można uszeregować w logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy, nikt nie dał na nie jednoznacznej odpowiedzi. Znać ją powinno każde dziecko, aby wiedzieć, że nie należy wkładać koledze głowy do klozetu. Może okazać się on kimś, kto utopi we krwi nie tylko wkładającego, ale też matkę i rasę jego.

Otóż tak. Oczywiście nie! Gdyby 20 kwietnia 1889 r. w Braunau nie urodził się Adolf Hitler – II wojny światowej by nie było. Losy świata potoczyłyby się zupełnie inaczej. Taka jednoznaczna odpowiedź spotka się zapewne z oporem. Nie można sobie wyobrazić, aby jeden człowiek wkręcił w jakąś nonsensowną hecę 300 milionów ludzi. Przekracza to wyobrażenie nawet wybitnego historyka.

Jednak ambicja tej publikacji jest większa i jest ona potrzebna. Trzeba wreszcie wyjaśnić naszemu beznadziejnie zdezorientowanemu społeczeństwu oraz, kurwa, tym wszystkim geniuszom od geopolityki, którym się różne rzeczy wydają, iż III wojna światowa zostanie wywołana również przez jednego człowieka.

Nie uda się tego w przyszłości (podobnie jak w przypadku Hitlera) dowieść na gruncie faktów tzw. historycznych. Potrzebna jest wiedza z zakresu ducha ludzkiego, mówiąc wzniośle, a bardziej przyziemnie: z zakresu procesów psychicznych odbywających się w głowie Władimira Putina.

17 mgnień snu

Prześledźmy przemiany intelektualne zachodzące w obu półkulach mózgu Putina, których początek, w sensie ewolucyjnym, miał był nastąpić 200 mln lat temu. Dla uproszczenia jednak zajmijmy się ostatnimi siedmioma dekadami.

Putin był dzieckiem głęboko ideowym. Jego idolem był Wiaczesław Tichonow, lepiej znany jako Max Otto von Stirlitz, przypominam, fikcyjny radziecki szpieg działający w szeregach SS. Dobrze znany społeczeństwu radzieckiemu z serialu „17 mgnień wiosny". Młody Putin oglądał ten film kilkanaście razy z ustami wydętymi jak karp. Zachwycał się esesmanem, który był rosyjskim patriotą.

Spróbujcie sobie wyobrazić: człowiek do roboty wychodzi w czapce z trupią główką, gdzie musi zachwycać się mordowaniem milionów Żydów. Następnie wraca do wygodnej willi pod Berlinem, gdzie za zasłoniętymi firankami okazuje się kimś, kto absolutnie jest tej mordowni oraz samemu sobie przeciwny. Archetypiczny, rzec można, doktor Jekyll i pan Hyde, który w dodatku swoimi inteligentnymi posunięciami zmienia losy wojny i świata. Putin utożsamiał się prawdziwie z tą fikcyjną postacią. Wyjątkowo nieprawdziwą i źle zmyśloną. Ludzie, a co za tym idzie umysły, w typie Stirlitza (lub kapitana Klossa) nie istnieli. Nie mają prawa występować w przyrodzie.

Putin marzył, by stać się kimś takim. Zostać szpiegiem. Najlepiej podczas II wojny światowej, działającym w Niemczech w interesie ojczyzny. Fizyka, matematyka, ba, nauki społeczne nie są w stanie wyjaśnić, dlaczego takie marzenia się spełniają.

Putin dostał się na prawo, ponieważ dowiedział się, że w KGB potrzebni są prawnicy. Potem przez przypadek został zwerbowany. Okazał się niezbyt zdolnym funkcjonariuszem. Inwigilacja cudzoziemców w Leningradzie przebiegała bez większych sukcesów. Biografowie słusznie uważają, że jego brak osiągnięć wynikał z niezwyczajnej rzetelności, którą nie grzeszyli jego koledzy. Putin po prostu nie zmyślał. Nie stwarzał historii o szpiegowanych obiektach, które bardziej od prawdziwych podobały się przełożonym.

Uznano, że jako kandydat do wywiadu zagranicznego jest niezbyt zdolny, aby zajmować się Anglosasami. Szkolony był na agenta w Niemczech. Również dlatego, że niemiecki był pierwszym językiem obcym, którego się nauczył. Nie trafił do Berlina, gdzie toczyła się poddywanowa walka wywiadów, tylko do prowincjonalnego Drezna. Z późniejszej perspektywy okazało się, że to bardzo dobrze. Nikomu się tam nie naraził. Nie miał sposobności czynienia świństw, którymi później można byłoby go skompromitować.

Dobrze pracował. Ale pewnego dnia okazało się, że jest to nic niewarte. Związek Radziecki przestał istnieć. Ojczyzna go zdradziła. Pozostawiła bez pracy. Po upadku muru berlińskiego wrócił do Leningradu, żeby się dowiedzieć, iż wszystkie jego komsomolskie paradygmaty o rewolucji światowej, walce klas, śmierdzącym imperializmie oraz o pokojowych zamiarach Układu Warszawskiego to jest kit w czekoladzie.

Magia cudownego krzyżyka

Musiał być wstrząśnięty, zrozpaczony. Miewał myśli samobójczopodobne. Nie wiedział, co dalej ze sobą robić, ponieważ KGB o takich jak on zapomniało.

Nieco przez przypadek dostał się do pracy w magistracie Petersburga, którym kierował ówczesny mer Anatolij Sobczak – złowrogo nastawiony do KGB. Putin z rozbrajającą szczerością wyznał, że był agentem, a Sobczak go nie zdymisjonował. Dał mu odpowiedzialne stanowisko w sekcji inwestycji gospodarczych, gdzie mógłby zarobić miliony. Znający Putina z tamtych czasów utrzymują, że dawali łapówki, a on ich nie brał. **„No, zupełny wariat! Ale tym mi zaimponował"** – powiedział po latach Boris Bieriezowski, magnat medialny i motoryzacyjny.

Gdy Putin ponownie stracił pracę, spalił mu się dom, z którego udało się uratować kopertę z pięcioma tysiącami dolarów oszczędności oraz złoty krzyżyk, który matka kupiła, gdy podawała synka do chrztu. Znowu Putin nie miał nic.

Sprawa tego krzyżyka jest niebagatelna. Putin, rasowy ateista, przeżył bowiem iluminację. Zaczął wierzyć w cudowną rękę Opatrzności, która doprowadziła go zbiegiem nieprawdopodobnych okoliczności do Moskwy.

Tam rządził Borys Jelcyn. Początkowo nie lubił Putina. Putin był jego zupełnym przeciwieństwem. Nie był pijakiem, uprawiał sport, nie dawał się korumpować, nie wchodził szefowi w dupę, wydawał się kimś spoza układów. Prezydent Rosji, już wówczas schorowany, miał jedno zmartwienie: kto go zastąpi na stanowisku i nie wtrąci do więzienia? Zakładał bowiem, iż jako pierwszy od czasów caratu przywódca Rosji władzę odda przed śmiercią lub przynajmniej bez rozlewu krwi.

I wtedy stało się coś, co Jelcyna wprawiło w podziw. Putin zorganizował ucieczkę byłego szefa Sobczaka, mera Petersburga, oskarżanego o wszystko, z wyjątkiem jedzenia dzieci, do Finlandii. Nie miał w tym przedsięwzięciu żadnego interesu. Okazał się po ludzku lojalny. Jelcyn był zdumiony. Powierzył Putinowi największą władzę w Rosji, czyniąc

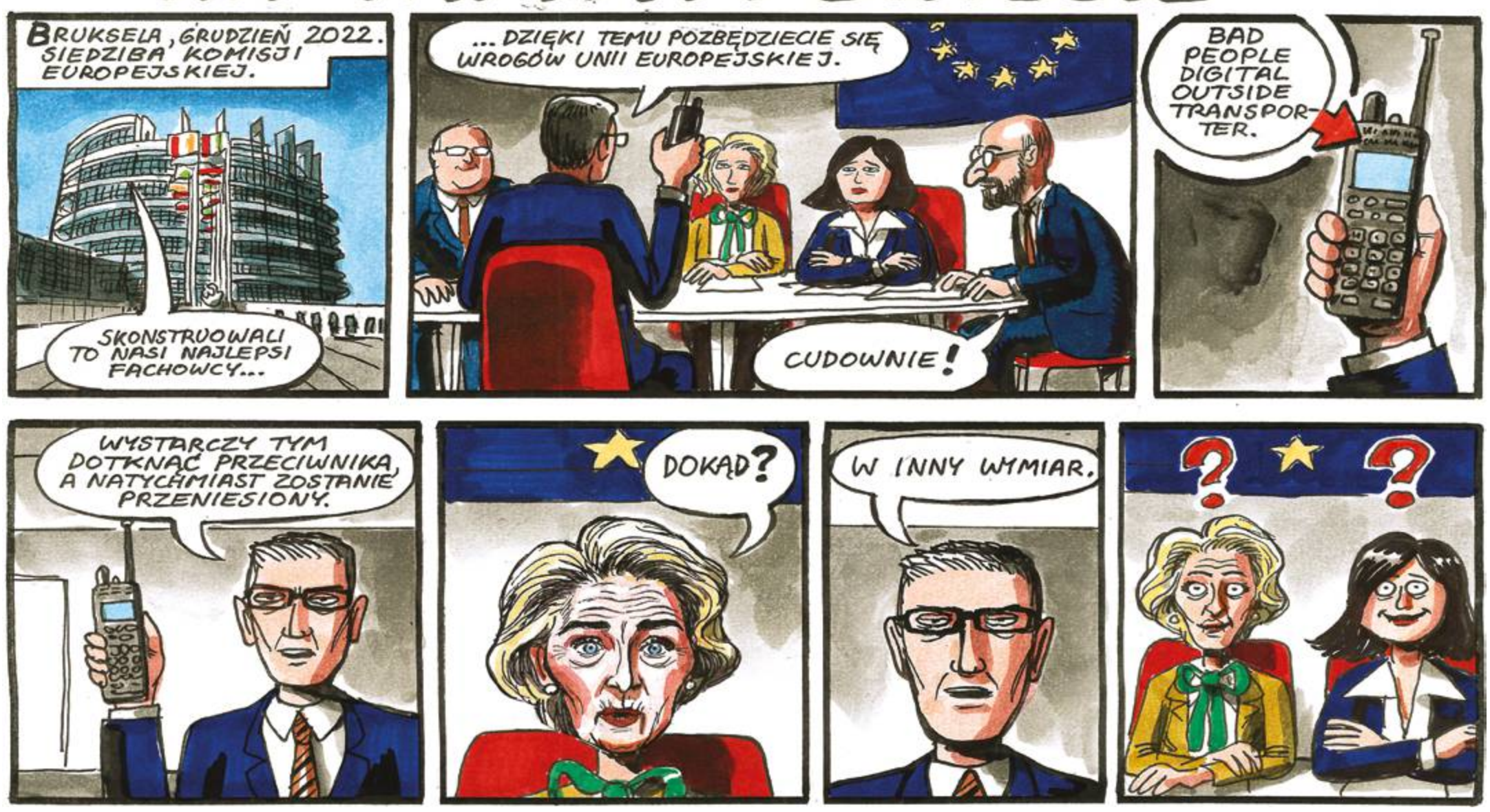

eprasa.pl dc8f67621c

go szefem tamtejszej Najwyższej Izby Kontroli. Putin latał po kraju, wsadzając łapówkarzy. Miał większą władzę faktyczną niż Jelcyn. Zrozumiał, jaką wartość mają haki, jak je zdobywać i kiedy ich użyć. Sam był niewinny niczym gołębica, a przebiegły jak wąż.

Nadchodził przełom stulecia. Jelcyn doszedł do przekonania, że nowe milenium w historii Rosji powinien otworzyć człowiek na wskroś XXI-wieczny. Wybrał Putina, choć ten początkowo uważał, że się do tego nie nadaje, na tymczasowego prezydenta Rosji. Wybór Jelcyna miał być zweryfikowany w demokratycznych wyborach 4 miesiące później. Wszyscy byli zachwyceni pomazańcem Jelcyna. Putin wygrał w pierwszej turze z 70-procentowym poparciem.

Lot w górę

Jednocześnie okazało się, że ten cały wolny rynek to jest złodziejstwo, korupcja, kurewstwo, narkomania, bandytyzm, ucisk i wyzysk szarego człowieka. Wszystko, co mówili o zachodnich demokracjach komuniści w ZSRR, to była prawda. Rosjanie popadali w biedę. Fabryki upadały. Nowobogaccy nie wypłacali miesiącami wynagrodzeń.

W dodatku Bush prowadził niezrozumiałą dla Rosjan wojnę w Jugosławii. Następnie wybuchła wojna w Iraku. Wrzało na południowych granicach, gdzie, jak się wówczas sądziło, terroryści i muzułmanie eksterminowali Rosjan.

Natomiast Putin, chłopak z zapyziałego leningradzkiego podwórka, wychowany w 30-metrowym mieszkaniu bez wychodka, prawdziwy self-made man, brylował na światowych salonach. Wdawał się w równą pyskówkę z pochodzącym z amerykańskiej arystokracji Bushem, ubijał interesy z kanclerzem Niemiec i obejmował się z papieżem.

Jednocześnie drożała ropa naftowa, która pozwoliła rządowi w Moskwie wywiązywać się z umów społecznych. Emerytury były wreszcie wypłacane. Pielęgniarki dostały pensje o 12 proc. wyższe. Prosty Rosjanin mógł poskarżyć się prezydentowi Putinowi. Ten natychmiast wsiadał w samolot. Leciał tysiące kilometrów, aby włączyć prąd na Syberii, rozdać dzieciom ciastka, zagrozić więzieniem prywatnemu przedsiębiorcy, który wysyłał tysiące ludzi na bezrobocie. Rozkochać w sobie owdowiałe kobiety, których mężów admiralicja utopiła w brzuchu łodzi podwodnej.

Przez pierwsze dwie kadencje Putinowi nadzwyczaj sprzyjały okoliczności. Rosjanie byli zrozpaczeni, że zgodnie z konstytucją, bez jednego wystrzału pozwolił kandydować na prezydenta Rosji swojemu koledze Dmitrijowi Miedwiediewowi.

Po 4-letniej kadencji Miedwiediewa role się odwróciły.

Putin oczywiście wygrał wybory, chociaż jego partia Jedna Rosja nie miała w ogóle programu. Nie kierowała się żadną ideologią poza swego rodzaju antywartościami; demokracja, wolny rynek, wolność słowa to nie jest dla Rosji dobre. Rosjanie słabo to przyjęli. Chcieli powrotu czasów, gdy Gagarin latał w kosmos, a Armia Radziecka budziła szacunek i strach.

Kolejna kadencja Putina to był już demontaż demokracji, prywatnych mediów oraz centralizacja władzy gospodarczej.

Zastępy małych wrogów

Putin szczególnie nie znosił mediów i dziennikarek (lesbijki i blacie). Uważał, że lansują niewłaściwe wydarzenia i celebrują niegodnych ludzi.

Zapewne pan Litwinienko nadal by żył, gdyby nie miał parcia na szkło. Rozpoczął swoją medialną karierę od zadenuncjowania samego siebie, jakich to łajdactw się dopuszczał, będąc oficerem FSB. Za swoje czyny obwiniał rząd. Jego wielka medialna kariera opierała się głównie na konfabulacjach, które wprowadziły w błąd niejeden zachodni wywiad. Zupełnie niepotrzebnie zginął zatruty polonem, gdy już nikt i tak jego rewelacji nie traktował poważnie.

Również nie można przypisać nadmiernego rozsądku niejakiej Annie Politkowskiej. Dziennikarka oskarżała Putina o to, że Czeczeńcy napadli na szkołę w Biesłanie i zamordowali przynajmniej 400 osób. Oczywiście nigdzie indziej za głoszenie podobnych niedorzeczności nie zostałaby zastrzelona w windzie własnego domu. Ale wykazała się ogromną nieznajomością realiów własnego kraju, co dla dziennikarza czasem jest grzechem śmiertelnym.

Także sam sobie był winien Wiktor Szenderowicz, który krytykował Putina, że w Soczi przed igrzyskami olimpijskimi odławiano bezpańskie psy w celu ich uśpienia. Co, do jasnej cholery, miał z tym wspólnego prezydent państwa?! Szenderowiczowi złamało karierę nagranie opublikowane w publicznej telewizji, na którym widać, że masturbuje się, leżąc w łóżku z kobietą niebędącą jego żoną.

Weźmy obsesyjnie nagłaśnianą przez światowe media sprawę żeńskiego zespołu punkowego Pussy Riot. Kapela wystąpiła bez biustonoszy za ołtarzem największej świątyni prawosławnej na świecie, w Moskwie, znanej jako sobór Chrystusa Zbawiciela. Utwór był o tym, że Putin **„sam się obszczał”.** Teledysk pokazały nawet szanujące się zachodnie telewizje. W naszym miłującym wolność społeczeństwie taki performance odstawiony w Świątyni Opatrzności Bożej też by nie znalazł uznania nawet wśród najbardziej lewicujących kibiców piłkarskich.

Czyny i wyczyny

Ludzie w Rosji lubią proste, niezakłamane komunikaty. Prezydent Putin rozdaje kwiaty z okazji święta kobiet pracownicom Fabryki Dywanów nr 7 (szczera prawda). Prezydent Putin pilotuje myśliwiec, lecąc do Groznego, aby udekorować medalami zasłużonych żołnierzy specnazu (prawda najprawdziwsza). Prezydent Putin odnajduje w wodach Morza Czarnego antyczne wazy sprzed 2 tys. lat (trochę prawda – ponieważ amfory zostały z premedytacją zatopione tam, gdzie Putin nurkował, ale bez jego zgody). Prezydent promuje program ochrony i restytucji żurawia syberyjskiego. Fruwa na białej lotni wzdłuż rzeki Ob, udając żurawia będącego na czele formacji (prawda, ale niecała). Prezydent Putin bije się z niedźwiedziem i wygrywa (trochę prawda, trochę nieprawda; niedźwiedziowi podano wcześniej środki uspokajające, ale gdyby nie podano, prezydent też by wygrał). W końcu kąpie się w przeręblu (prawda).

Wreszcie prezydent wsadza na 20 lat do więzienia bezczela Dmitrija Michalczenkę, który remontował jego prezydencką posiadłość w Nowo-Ogariowie, zastępując prawdziwy granit jakimś chińskim chamskim syntetykiem. Zarabiając na tym ponad 1,2 mld rubli. Żadna głowa państwa nie zniosłaby spokojnie takiej impertynencji.

Jednocześnie Rosja niemal bez przerwy od roku 2008 prowadziła jakąś wojnę, z której relacje były nieodłącznym elementem każdego wydania telewizyjnych wiadomości. Niczym prognoza pogody: nie najważniejszym. Rosjanie byli przyzwyczajeni, że gdzieś giną ludzie, niszczone są miasta, a społeczeństwa popadają w biedę.

W takich okolicznościach Putin wygrał kolejne wybory w roku 2018, żyjąc w poczuciu własnej ważności. Zaczął odcinać się coraz bardziej od przaśnego świata. Stracił ludzkie cechy. Miał świadomość niekwestionowanej słuszności poczynań, bo co lepiej kwantyfikuje polityka niż poparcie, które czy to w wyborach, czy nawet według niezależnych ośrodków badawczych nie spada poniżej 65 proc.?

Nudziarstwo

Obecnie Władimir Władimirowicz nie opuszcza rezydencji w podmoskiewskim Nowo-Ogariowie. Odprawił żonę Ludmiłę. Kochanka Alina Kabajewa odwiedza go nadzwyczaj rzadko. Nie widuje się też z córkami.

Będąc bożyszczem kobiet, dostaje dziesiątki tysięcy listów od Rosjanek proponujących mu małżeństwo lub choćby przygodny seks.

Nie posiada komputera podłączonego do internetu. Karmiony jest przez doradców takimi informacjami, jakie oni uważają, że szef chce usłyszeć. Być może dotarła już do niego smutna wiadomość, że senat Stanów Zjednoczonych uznał go jednogłośnie zbrodniarzem wojennym.

Wstaje dość późno. Kąpie się i goli. Zaczyna dzień od przeglądania teczek, które przygotowali mu szpiedzy z Federalnej Służby Bezpieczeństwa i wywiadu zagranicznego. Potem idzie do sali gimnastycznej, gdzie wyciska, podnosi lub wypycha na atlasie ponad 10 ton. Jeżdżąc na stacjonarnym rowerku, ogląda wyłącznie państwową telewizję. Następnie pływa w basenie. Pilnują go goryle w garniturach z kabelkami wystającymi z uszu i w kamizelkach kuloodpornych, co czyni ich jeszcze groźniejszymi. Około południa je śniadanie składające się z owsianki, surowych przepiórczych jaj i twarogu. Zapija to sokiem z buraków i chrzanu. Ubiera się codziennie w taki sam garnitur, krawat i białą koszulę. Następnie prowadzi wielogodzinne wideokonferencje z różnymi ludźmi mającymi wymiar płaskiej matrycy komputera. W większości nie zna ich osobiście. Osobiste spotkania prowadzi późną nocą, każąc czekać, mimo umówionej audiencji, godzinami. Niekiedy wożony jest samochodem o parametrach czołgu. Lub samolotem o standardzie przeciwatomowego bunkra, aby porozmawiać ze starannie wyselekcjonowanym audytorium, od którego dzieli go kilkadziesiąt metrów lub kuloodporna szyba.

Nie wykonuje żadnych domowych czynności. Nie odwiedza znajomych. Nie telefonują do niego inne głowy państw. I tak codziennie, godzina za godziną, od dwóch tysięcy dni. Ten sam reżim dnia. Nudny niczym robota na taśmie przy montażu pralek. Co mu może przychodzić do głowy?

A może by tak…

Brązowy medal „Za zasługi” Narodowej Armii Ludowej NRD – no to mam, ale to nic niewarte, bo NRD zlikwidowano.

Wielki Łańcuch Orderu Oswobodziciela z Wenezueli też mam, tyle że jak mi dano, to łańcuch zlikwidowano.

Doktorat honoris causa Uniwersytetu Peloponeskiego zabrano.

Order Olimpijski Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego odebrano – nie wiem, czy jak dawano, to mi się należał czy nie.

Nominowano mnie do Pokojowej Nagrody Nobla, ale na darmo.

Międzynarodowa Federacja Judo zawiesiła mnie jako honorowego prezesa.

Nazwano góry i ulice moim imieniem – ale to się może zmienić.

Człowiekiem Roku „Time’a” też byłem, tego się nie da wymazać.

Co by tu jeszcze począć, aby nie ulec nostalgii, będąc gigantem XXI wieku? Władcą 150 milionów ludzi. Panującym nad największymi złożami benzyny i gazu do zapalniczek na świecie. Mając tak naprawdę bliżej niż dalej do końca tego wszystkiego. W oparach nieuleczalnej doczesnymi dobrami materialnymi depresji otwarcie walizki nuklearnej wielkości laptopa, nazywanej „Czeget”, wprowadzenie kodu aktywacji arsenału nuklearnego Rosji jest niczym zalogowanie na Facebooka.

Putin ma do tego jednoosobowe prawo. Odłóżmy więc na bok te napuszone spekulacje, co Rosja, co Chiny, a co Stany Zjednoczone. Trzeba po prostu pozbyć się Putina, aby on nie pozbył się nas.

ROBERT JARUGA

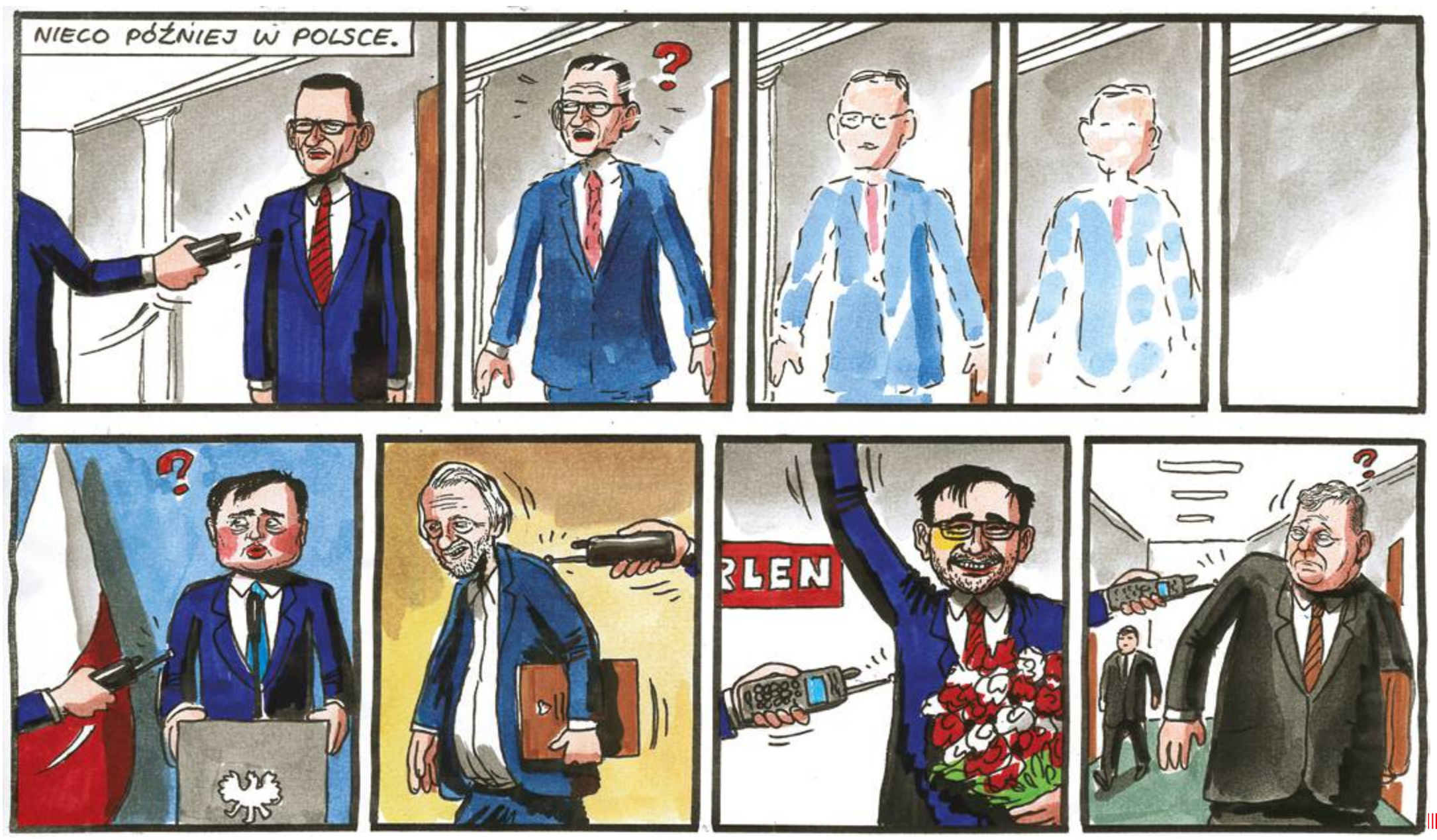

eprasa.pl dc8f67621c

Papiery Macierewicza

Dlaczego Jarosław Kaczyński zmienił zdanie i nie chce ujawnić aneksu do raportu z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych?

Za sprawą rosyjskiego szpiega Tomasza L., który był członkiem pisowskiej komisji likwidacyjnej WSI, wrócił temat likwidacji i weryfikacji wojskowych służb specjalnych. Skoro *ruskij szpion* miał dostęp do tajemnic wywiadu oraz kontrwywiadu wojskowego, to jest to klęska państwa polskiego. Odpowiedzialny za to jest Antoni Macierewicz, który powołał i nadzorował nie tylko komisję likwidacyjną, ale też komisję weryfikacyjną WSI i cały proces likwidacji WSI.

Przygotowany przez Macierewicza

raport

z weryfikacji WSI (opublikowany w lutym 2007 r.) dokonał szkód na taką skalę, że polskie służby specjalne nie podniosą się przez wiele lat. Ujawniono szczegóły tajnych operacji, nazwiska oficerów działających za granicą oraz dane agentów. Jeszcze nigdy żaden kraj tak bardzo nie wystawił się nie tylko na pośmiewisko, ale i nie naraził życia ludzi, którzy dla niego służyli i pracowali.

W listopadzie 2007 r., już po przegranych wyborach przez PiS, gdy premierem był jeszcze Jarosław Kaczyński, Macierewicz przygotował aneks do raportu z weryfikacji WSI. Kaczor rzutem na taśmę zdążył się z nim zapoznać, a potem raport przekazał bratu, a ten ukrył go przed nowym rządem.

W 2008 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że publikacja raportu autorstwa Macierewicza naruszyła standardy demokratycznego państwa i podstawowe prawa człowieka. Trybunał stwierdził, że osoby wymienione w raporcie jako sprawcy lub pomocnicy **„przestępczych działań WSI”** nie miały żadnej możliwości złożenia wyjaśnień przed publikacją. Nad publikacją, która przesądzała o winie wymienianych tam osób, nie było żadnej kontroli sądowej. Nie umożliwiono im również dostępu do materiałów na ich temat, a ustawa o publikacji raportu nie przewiduje możliwości sprostowania podanych tam nieprawdziwych informacji. Prawo do takiego sprostowania gwarantuje konstytucja.

Trybunał uznał też, że aneks nie może być opublikowany, dopóki ustawa o raporcie nie zostanie uzupełniona o gwarancje praw człowieka.

Jarosław Kaczyński nie krył złości z powodu wyroku TK. **„Mamy tutaj do czynienia z czymś, co można najkrócej określić jako obawa. Bo jaki jest praktyczny skutek tego wyroku?**

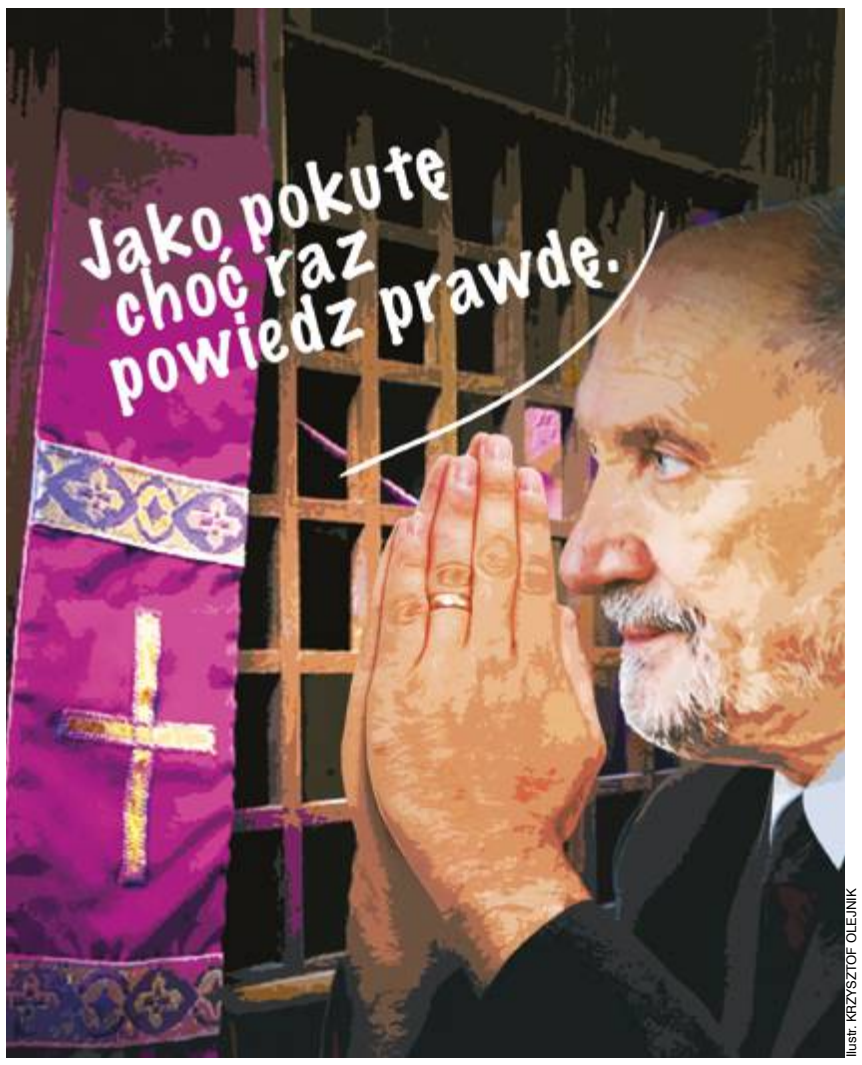

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nie może być opublikowany aneks. Kto może być zainteresowany tym, że aneks nie jest publikowany?” – pytał prezes PiS i sam sobie odpowiadał: **„Ci, którzy mają jakieś powody do obaw”.**

Jednak to Lech Kaczyński nie chciał opublikować aneksu, bo, jak twierdził, zawarte w nim informacje nie są dostatecznie zweryfikowane. Podobno głównym

bohaterem

aneksu jest Bronisław Komorowski. Przewijają się w nim inni ważni politycy Platformy, a także Lewicy. Prezydent Kaczyński zamknął aneks w sejfie. Miał być on uzupełniony i poprawiony. Katastrofa smoleńska uniemożliwiła jego publikację. Komorowski nie był zainteresowany kontynuacją dzieła poprzednika.

Gdy wybory prezydenckie wygrał Andrzej Duda, środowisko PiS przebierało nogami, czekając na ujawnienie sensacyjnych informacji.

Katarzyna Hejke, czołowa publicystka pisowskich mediów: **„Na nowego prezydenta czeka kilka spraw o fundamentalnym znaczeniu. Wśród nich jest i ta dotycząca WSI. (…) Aneks musi zostać upubliczniony, bo tego wymaga interes publiczny. Polacy zwyczajnie mają prawo wiedzieć, czym w rzeczywistości zajmowały się wojskowe służby, kto był z nimi związany i w jakich sprawach”.**

Jan Olszewski, który po Macierewiczu przejął komisję weryfikacyjną WSI: **„Jest to decyzja, przed którą stoi prezydent elekt. (…) Mam nadzieję, że to się stanie. Uważam, że aneks powinien zostać opublikowany”.**

Sławomir Cenckiewicz, przewodniczący komisji ds. likwidacji WSI: **„Przyjaciele Sowy na deskach! A Sowa z »Długiego ramienia Moskwy« w poważnych tarapatach… Panie Prezydencie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej! Polska potrzebuje m.in. ujawnienia aneksu z likwidacji WSI”.**

Oczekiwania okazały się płonne; prezes PiS zmienił zdanie co do publikacji aneksu.

„Naprawdę lepiej będzie, jeśli aneks nie zostanie opublikowany. Nie dlatego, że tam są jakieś interesujące nazwiska. Z innych powodów. Mój brat nie podejmował takich decyzji pochopnie. Ja tę decyzję popierałem i popieram” – oświadczył Kaczor, zamykając raz na zawsze sprawę. Tego, jakie były powody odmowy publikacji, nie wyjaśnił.

Oprócz aneksu, nad którym pieczę sprawuje teraz Andrzej Duda, istotne są też

dokumenty

z komisji weryfikacyjnej WSI, na podstawie których aneks powstał. Są to zeznania funkcjonariuszy WSI (protokoły z przesłuchań, nagrania audio i wideo). Generał Marek Dukaczewski, który był przesłuchiwany przez komisję, mówił: **„Z pytań wywnioskowałem, że komisja szuka negatywnych informacji, które można przeciwko komuś wykorzystać. Macierewicz w rozmowach w cztery oczy z oficerami szukał negatywnych informacji o Radosławie Sikorskim i Jerzym Szmajdzińskim. Gdy rozmówca był gotów je przekazać, mógł być zaproszony na przesłuchanie. Wśród tych niezweryfikowanych zeznań mogą być pomyje. Osoba pomówiona nie będzie miała żadnej możliwości obrony”.**

W 2014 r. tygodnik „Wprost” opublikował tekst na podstawie rzekomo tajnych materiałów komisji weryfikacyjnej WSI. Według nich Macierewicz i jego ludzie z komisji zbierali haki mające obciążyć m.in. Bronisława Komorowskiego. Zdaniem weryfikatorów patronował on fundacji, która wyłudzała pieniądze z Wojskowej Akademii Technicznej, używał materiałów WSI do niszczenia podwładnych i miał kontakty z międzynarodowymi handlarzami bronią.

Rzeczniczka Komorowskiego Joanna Trzaska-Wieczorek mówiła oburzona, że ujawnienie tych informacji jest skandalem. Sprawę bagatelizował Macierewicz, który twierdził, że autorzy artykułu **„nie mają w ogóle pojęcia na temat tego, czym w rzeczywistości jest aneks i jaka jest prawdziwa zawartość tego dokumentu”.** Jego zdaniem dziennikarze nie mieli dostępu do aneksu i dokumentów komisji weryfikacyjnej.

Lekceważąc sprawę wycieku tajnych informacji, Macierewicz próbował odsunąć

podejrzenia

od osób związanych z komisją. Uzasadnione są bowiem spekulacje, że jeśli nie sam aneks, to dokumenty komisji weryfikacyjnej trafiły w niepowołane ręce.

Jesienią 2007 r., tuż przed zaprzysiężeniem rządu Donalda Tuska, ówczesny szef komisji weryfikacyjnej Jan Olszewski kazał całe archiwum komisji przewieźć z siedziby Służby Kontrwywiadu Wojskowego do prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Wywołało to oburzenie polityków Platformy, ale nic nie mogli zrobić. Z końcem czerwca 2008 r. komisja weryfikacyjna WSI formalnie zakończyła działalność. Jednak Olszewski nie chciał zwrócić SKW dokumentów. Twierdził, że nie wszystkie pochodzą z archiwów WSI, bo są też kwity z prokuratury, policji, a nawet z Instytutu Pamięci Narodowej, SKW nie ma więc do nich prawa. Bogdan Klich, który był ministrem obrony narodowej, powiedział, że nie da sobą pomiatać. Do Biura Bezpie-

eprasa.pl dc8f67621c

czeństwa Narodowego wysłał funkcjonariuszy SKW, by – siłą, jeśli zaszłaby potrzeba – odebrali archiwum.

Przyparty do muru Olszewski wydał dokumenty, ale, jak się okazało, nie wszystkie.

SKW nie mogła się doliczyć kilkuset kwitów. Rzekomo były potrzebne Lechowi Kaczyńskiemu do pracy nad aneksem. SKW odzyskała je dopiero latem 2010 r., gdy prezydentem został Komorowski. Tego, kto miał do nich dostęp, nie sposób ustalić.

Ówczesny szef SKW gen. Janusz Nosek skierował do prokuratury wiele zawiadomień o podejrzeniu popełnienia

przestępstwa

przez Olszewskiego i Macierewicza, którzy stali na czele komisji weryfikacyjnej. Wszystkie mają związek z nieodpowiednim zabezpieczeniem tajnych dokumentów oraz uniemożliwieniem SKW kontroli ich przechowywania. Olszewskiemu zarzucono m.in., że nie zwrócił tajnych materiałów i nie dołożył należytej staranności podczas ich przechowywania. Wyszło też na jaw, że współpracownik Macierewicza kopiował na prywatnym dysku materiały oznaczone klauzulą **„ściśle tajne”**. Macierewiczowi zarzucono, że nie dopełnił obowiązków służbowych w zakresie wydania polecenia unieruchomienia systemu teleinformatycznego użytkowanego w Biurze Ewidencji i Archiwum, mimo że był poinformowany, że system służący do wytwarzania, przetwarzania, przechowywania oraz przekazywania informacji niejawnych oznaczonych klauzulą **„ściśle tajne”** nie posiada wymaganej akredytacji. Prokuratura rozwinęła parasol ochronny nad Macierewiczem i Olszewskim.

Nie udało mi się oficjalnie potwierdzić, gdzie znajdują się dokumenty z komisji weryfikacyjnej. Podobno są rozproszone w trzech miejscach: Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, Służbie Wywiadu Wojskowego oraz Kancelarii Prezydenta. Gdzie znajdują się kopie materiałów, które zrobił i wyniósł współpracownik Macierewicza? Po ujawnieniu tego, dla kogo pracował Tomasz L., nie zdziwiłbym się, gdyby były na Kremlu.

A.S.

Wały, przewały

W Komendzie Głównej Policji nie tylko wybuchają granatniki w gabinecie komendanta, ale dochodzi do bardziej podejrzanych wydarzeń.

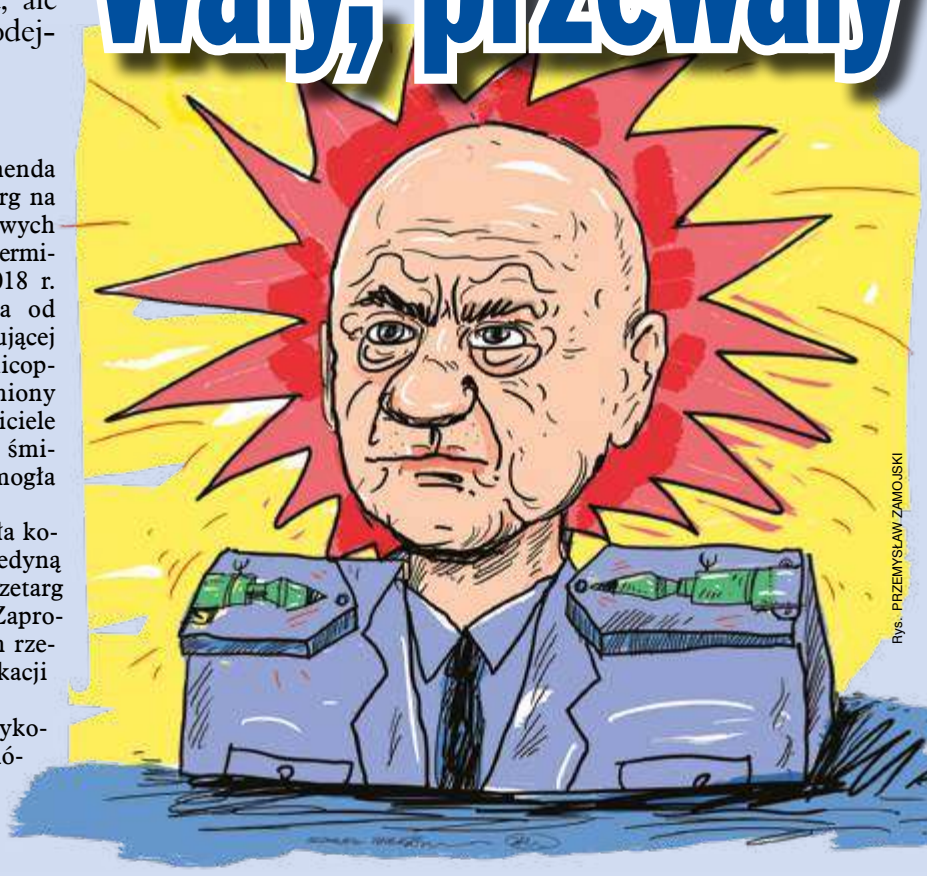
Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Weźmy przetargi…

W listopadzie 2017 r. Komenda Główna Policji ogłosiła przetarg na dostawę trzech jednosilnikowych śmigłowców z bardzo krótkim terminem realizacji – do końca 2018 r. Wpłynęła tylko jedna oferta od spółki Heli Invest, reprezentującej w Polsce koncern Airbus Helicopters. Przetarg został unieważniony z powodu ceny. Przedstawiciele koncernu Airbus chcieli za śmigłowce ponad 77 mln, a KGP mogła dać tylko 53 mln zł.

W lipcu 2018 r. KGP ogłosiła kolejny przetarg. I tym razem jedyną ofertę złożyła Heli Invest. Przetarg znów został unieważniony. Zaproponowane maszyny tym razem rzekomo nie odpowiadały specyfikacji technicznej.

W tej sytuacji gliniarze wykorzystali przepis ustawy o zamówieniach publicznych i kupili śmigłowce według swojego uznania u Amerykanów z firmy Bell Helicopter Textron.

W lutym 2019 r. szef policji generał inspektor Jarosław Szymczyk podpisał umowę z Bell Helicopter Textron na dostawę trzech śmigłowców patrolowo-obserwacyjnych o wartości ok. 62 mln zł, czyli o prawie 9 mln zł droższych, niż zakładano w przypadku dwóch wcześniejszych postępowań. Co ciekawe, umowa dotyczyła śmigłowców bez specjalistycznego wyposażenia, jak np. głowice optoelektroniczne i szperacze.

W kwietniu 2019 r. ogłoszono przetarg na montaż urządzeń obserwacji lotniczej umożliwiających transmisję obrazu i innych danych do stacji naziemnych lub mobilnych odbiorników znajdujących się na wyposażeniu policjantów. Wyznaczono bardzo krótki termin realizacji – koniec marca 2020 r. Ponieważ nikt się nie zgłosił, KGP zamówienie o wartości ok. 18,5 mln zł w trybie z wolnej ręki przyznała Bell Helicopter Textron.

Mój informator twierdzi, że KGP od początku robiła wszystko, aby kupić upatrzony już wcześniej model śmigłowca, a wymogi przetargowe to była czysta fikcja. Śmigłowce miały być dostarczone do końca 2018 r. Trafiły na wyposażenie policji dopiero jesienią 2020 r. Pierwotna cena to 53 mln zł. Ostatecznie KGP zapłaciła ponad 80 mln. A przecież można było od razu zaproponować realną cenę za w pełni wyposażone śmigłowce z realnym terminem dostawy. Ktoś jednak nie chciał tego zrobić, bo istniało prawdopodobieństwo, że śmigłowiec Bell polegnie w postępowaniu przetargowym.

Generał Szymczyk pomyślał sobie pewnie, że skoro raz już udało mu się kupić śmigłowce Bella, to powtórzy ten sam manewr, ale tym razem zrobił to na chama, czyli bez organizacji przetargu.

Latem 2022 r. KGP poinformowała, że kupi za ok. 160 mln zł 4 maszyny od Bell Helicopter Textron w trybie z wolnej ręki. Argumentem za pilnym zakupem w taki sposób były **„nieprzewidywalne okoliczności wynikające z sytuacji geopolitycznej”**. Tymi okolicznościami były sytuacja na granicy z Białorusią i wojna w Ukrainie. Policyjni spece twierdzili, że wydarzenia te bardzo zaskoczyły polskie służby, które nie były w stanie ich przewidzieć.

Jednak prezes Urzędu Zamówień Publicznych był innego zdania i zablokował transakcję. KGP musiała ogłosić przetarg. I tu znalazł się haczyk faworyzujący Bell Helicopter Textron. W specyfikacji przetargowej oprócz m.in. punktów za cenę, właściwości eksploatacyjne i konstrukcyjne znalazł się zapis o **„podatności eksploatacyjnej w systemie eksploatacji lotnictwa w policji”**. Za tym bełkotem kryje się informacja, że dodatkowe punkty dostanie firma, która zaproponuje KGP śmigłowce już użytkowane przez policjantów.

Idę o zakład, że zwycięzcą przetargu zostanie Bell Helicopter Textron.

Zakup śmigłowców to niejedyna podejrzana transakcja. Podobnie było z przetargiem na system łączności radiowej TETRA. We wrześniu 2018 r. KGP rozpisała przetarg, do którego przystąpiły: amerykańska spółka Motorola Solutions, konsorcja firm Sprint, Hytera Mobilfunk oraz Indra Sistemas, Rohill Engineering, Page Communication.

Wybór padł na Motorolę. Pozostali oferenci złożyli odwołania. Wskazywali m.in. na to, że Motorola nie zaprezentowała konkretnego modelu oferowanego radiotelefonu – co było wymogiem wpisanym w warunkach zamówienia – tylko całą serię produktów składającą się z sześciu modeli. Krajowa Izba Odwoławcza uznała zarzuty za zasadne i nakazała odrzucenie oferty Motoroli i dokonanie ponownej oceny ofert złożonych przez konkurentów.

KGP zapowiedziała, że zastosuje się do decyzji KIO. Po czym odrzuciła konkurencyjne oferty z powodu rzekomych braków formalnych, na które wcześniej nie zwracała uwagi, i unieważniła całe postępowanie przetargowe. Zaraz potem wszczęła postępowanie w trybie zamówienia z wolnej ręki. I zaprosiła do rozmów ponownie Motorolę!

KIO nakazała KGP unieważnić unieważnienie przetargu i wybrać wykonawcę spośród dwóch pozostałych konsorcjów. Policja olała KIO i podpisała umowę (na kwotę 150 mln zł) z Motorolą.

W listopadzie 2019 r. KIO nakazała KGP unieważnienie również tej umowy. Wyrok był miażdżący. KIO uznała, że KGP działała bezprawnie, bo nie było żadnych podstaw do uruchamiania procedury z wolnej ręki, a policja zdawała sobie sprawę z naruszenia prawa i nie prowadziła postępowania w sposób zapewniający transparentność.

Co więcej, KGP skalkulowała sobie, że ewentualne poniesienie kary i tak będzie się opłacało.

Policyjni decydenci, zamiast dać sobie na wstrzymanie i zastosować się do zaleceń KIO, z uporem maniaka bili głową w mur. Rozpoczęli realizację umowy z Motorolą, nie czekając na ostateczny wyrok sądu. Ten był miażdżący dla stróżów prawa. Sąd Okręgowy w Warszawie podtrzymał decyzję KIO i nakazał unieważnić unieważnienie przetargu. **„Sąd okręgowy zdaje sobie sprawę, kim jest zamawiający, i tym bardziej go to zasmuca. Nie tylko skarb państwa, ale mówimy o policji, która ma stać na straży prawa, a tutaj w ewidentny sposób czyniono wszystko, aby doprowadzić do wykonania umowy przez konsorcjum Motorola, mimo że to konsorcjum zostało z postępowania konkurencyjnego wykluczone”** – powiedział sędzia Wiktor Piber w trakcie uzasadnienia wyroku.

KGP wydaje setki milionów złotych nie tylko na śmigłowce i środki łączności, ale też na samochody, uzbrojenie, mundury i wiele innych rzeczy. Jest bardzo dużo okazji do robienia wałków. Warto, żeby Najwyższa Izba Kontroli i Centralne Biuro Antykorupcyjne przyjrzały się temu, w jaki sposób wydawane są publiczne pieniądze.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl dc8f67621c

A mury runą

Zamiast stawiać płot na granicy z Rosją wyzwólmy spod ruskiej okupacji województwo królewieckie.

Rys. WITOLD MYSYROWICZ

Rząd Morawieckiego pragnął budować szybkie pociągi (luxtorpeda), elektryczne samochody (izera) i komfortowe mieszkania, ale Targowica i zagranica nie dopuściły do spełnienia tych ambitnych projektów, bo Polska już teraz jest potęgą, a z autami na prąd, chyżymi składami kolejowymi i luksusowymi kwadratami byłaby hegemonem. W obliczu interwencji wrogich sił i zagranicznych kół Tusk potulnie podkuliłby ogon, Zjednoczona Prawica nie uległaby imposybilizmowi, lecz wzorem Daniela Wszystko Mogę Obajtka wykazała elastyczność i inwencję, stawiając na budowę zapór granicznych.

Nie przejdą

Pierwszy płot pojawił się na granicy z Białorusią. Instalacja, mająca utrudnić ciapatym dewiantom przeniknięcie na terytorium Rzeczpospolitej, zyskała przychylność Polaków – badania wykazały, że ponad połowa sądzi, iż było to niezbędne przedsięwzięcie. Pisowcy poszli za ciosem, zlecając zbadanie poparcia społecznego dla zapory na granicy z obwodem kaliningradzkim. Okazało się, że jest jeszcze większe, bo wynosi aż 64 proc.

Wsłuchany w głos suwerena Jarosław Kaczyński natychmiast ogłosił, że **„mur na granicy z Rosją nie tylko że powstanie, to nawet będzie silniejszy od zapory na granicy polsko-białoruskiej”.**

Wiceminister Maciej Wąsik przełożył koncepcyjne wystąpienie prezesa na konkrety, wywodząc, iż **„ta zapora to wyraźny sygnał dla Putina, że tędy nie przejdą, że tu nie dadzą rady, mam nadzieję, że zbudujemy ją w 10 miesięcy, tak, żebyśmy każdy centymetr granicy widzieli w kamerach, żeby nasza straż graniczna widziała wszystko, co się dzieje”.**

Cudzoziemscy osłojebcy

Budowa zapory na granicy z Rosją już wystartowała, bo dzięki przenikliwości drużyny Kaczyńskiego, żeby wyłonić wykonawcę, nie trzeba trwonić czasu na procedury przetargowe. W zeszłym roku weszła w życie ustawa o budowie zabezpieczenia granicy państwowej; wysmażono ją z myślą o zatrzymaniu napływających z Białorusi migrantów sterowanych przez Putina, ale profetycznie wprowadzono zapis stanowiący, że **„szczególne zasady realizacji inwestycji w zakresie budowy zabezpieczenia granicy w celu ograniczenia nielegalnej migracji cudzoziemców dotyczą całej zewnętrznej granicy Unii Europejskiej w rozumieniu kodeksu granicznego Schengen”.** Zapis ten pozwala zatem na bezprzetargowe postawienie płotu nie tylko na granicy z Białorusią, ale także z Rosją i Ukrainą. Żeby spełnić ustawowy wymóg, że uproszczoną procedurę zastosowano w celu ograniczenia napływu nielegalnych migrantów, rozpowszechniono informacje, z których wynikało, iż władze lotniska w Kaliningradzie deklarują chęć uruchomienia połączeń z Turcją, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Egiptem i Etiopią. Czyli z krajami tradycyjnie wysyłającymi do Polski osłojebców. W istocie był to pretekst, bo na granicy z Rosją nie zanotowano jakichkolwiek incydentów z udziałem miłośników zwierząt.

Kacap klęknie

Wykonawcę bariery odgradzającej nas od Rusków wyłonił powołany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji zespół, inwestycję prowadzi spółka akcyjna Telbud z Poznania i – co tu kryć – zadanie stoi przed nią niełatwe. Nade wszystko budowniczowie nie mogą powtórzyć błędów i wypaczeń, do których doszło podczas stawiania zapory na granicy z Białorusią albowiem choć jej powstanie jest oczywistym sukcesem, to nie budzi ona należnego Polsce respektu. **„Czułem się niekomfortowo, oglądając, co wykonawcy budują, wbijając młoteczkami słupeczki. Mur graniczny ma wyglądać potężnie – tak jak zaczęty przez prezydenta Trumpa mur na granicy Stanów Zjednoczonych z Meksykiem. Patrząc na taką przeszkodę, ma się od razu szacunek do państwa, które ją wzniosło”** – zauważył Lech Kowalski, historyk wojskowości, dziś sprzymierzony z PiS-em i jego mediami, a w czasach komuny – z PZPR i jej organami prasowymi.

Innymi słowy pan podpułkownik w stanie spoczynku dostrzegł, że wysoki na 5 m płot odgradzający nas od Białorusi jest zbyt skromny. I ma rację.

Oczywiste, że aby zapora na granicy z obwodem kaliningradzkim budziła szacunek i przytłaczała wysłanników Putina, należy co najmniej dwukrotnie zwiększyć jej wysokość.

Trzeba też użyć szlachetniejszych materiałów, najlepiej sprawdzi się płot ze złota. Złote ogrodzenie warto ozdobić portretami przedstawiającymi Jarosława Kaczyńskiego, Lecha Kaczyńskiego i Jana Pawła II (co 50 m naprzemiennie facjaty trzech wielkich Polaków). Rusek przed taką zaporą klęknie, napije się i zawróci.

Szable w dłoń

Pułkownik Kowalski zdaje sobie sprawę, że nawet złoty mur runie, jeśli w polskich służbach mundurowych nie zostanie przywrócony przedwojenny etos.

„W II RP kadrę i żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza rekrutowano z tzw. gniazd szlacheckich. To byli potomkowie starej szlachciury, która bardzo często nie miała grosza w kieszeni, za to miała Polskę w sercu. Ci ludzie byli wierni Polsce, dlatego działania KOP były bardzo zdecydowane, bo liczyła się Polska” – peroruje i nie sposób się z nim nie zgodzić. Tyle że przywracanie przedwojennego etosu to proces długotrwały i najeżony trudnościami, a budowanie powalającej na kolana zapory pochłonie górę forsy. Ergo: prościej i taniej będzie wyzwolić obwód kaliningradzki – a właściwie województwo królewieckie – spod ruskiej okupacji.

Okazja do odbicia tej rdzennie polskiej ziemi jest wyjątkowa, albowiem zajęta wojowaniem na Ukrainie Rosja słabuje, a jednocześnie Polska rośnie w siłę. Produkt krajowy brutto obwodu kaliningradzkiego spadł w tym roku o 9 proc., produkcja przemysłowa zmalała o 20 proc., a enklawy broni raptem kilkanaście tysięcy pijanych żołnierzy o niskim morale. Nasze PKB urosło o 3,5 proc., produkcja wzrosła o 15, a, jak twierdzi Bartosz Kownacki, poseł PiS, **„Polska dzięki podjętym w ostatnich latach decyzjom w sferze obronności stała się nowym supermocarstwem militarnym Europy i Zachód jest pod wrażeniem polskich zbrojeń”.** Rezultat najazdu jest więc z góry przesądzony.

Wydawanie fortuny na odgrodzenie się od wyzwolonego województwa królewieckiego rzecz jasna będzie pozbawione sensu. Zaoszczędzone środki PiS przeznaczy więc na telewizję publiczną, dzięki czemu przekaz medialny wreszcie nie będzie jednostronny.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl dc8f67621c

Wigilia na zjeździe

Koniec roku przypomina ściek upstrzony kawałkami nierozdrobnionego gówna.

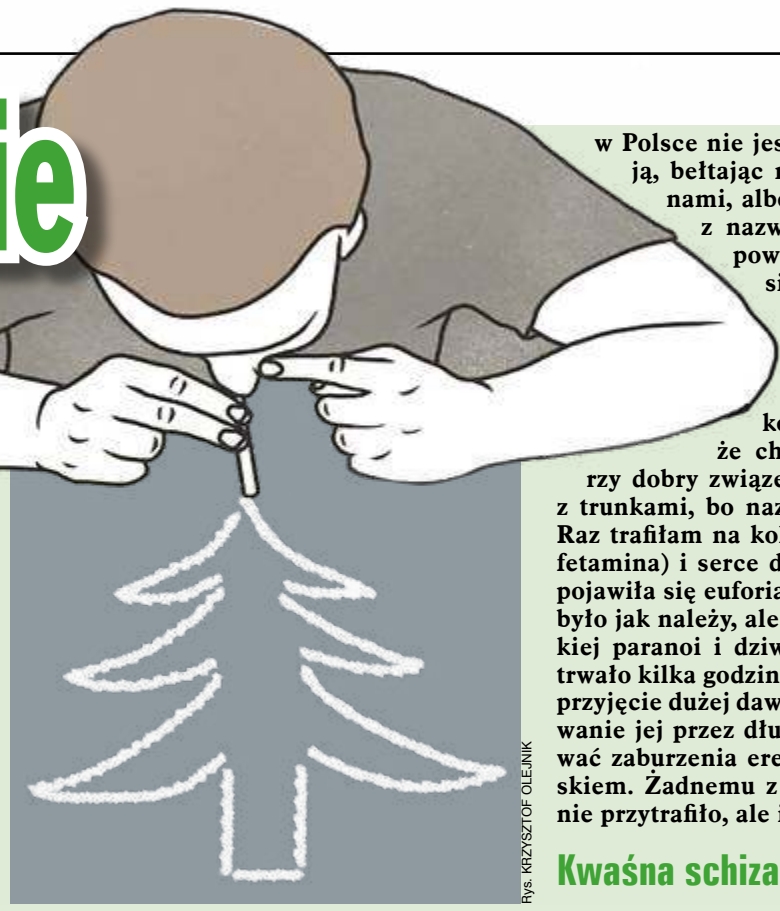

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dla większości ludzi grudzień to czas podsumowań kolejnych – najczęściej chujowych – kilkunastu miesięcy, które przybliżyły ich do zgonu.

Na domiar złego z niezbyt jasnych powodów szeroko pojęte kody kulturowe i mass media w tym okresie wymuszają na zrujnowanej kolejnymi porażkami swojego jestestwa masie ludzkiej radość, uprzejmość i gotowość do świętowania. Proces ten często przypomina zbiorowy gwałt analny sękatym kijem: jak grzyby po deszczu pojawiają się kolejno wigilie klasowe i pracownicze, będące przedsmakiem finalnej katorgi pod postacią świąt spędzonych w gronie rodzinnym i lukrowania końcoworocznego szajsu udawaną radością ze zmiany daty, czyli sylwestra.

I pewnie wielu z Was, Czytelników, zastanawia się teraz, czy w ogóle jest nad czym debatować, skoro wszystkie te przykre procesy można zwyczajnie po ludzku oszczać i oszczędzić sobie nieprzyjemności. Otóż nie każdy może sobie na taki luksus pozwolić. Jeśli szef może polecieć po premii za brak stawiennictwa na koncercie świętojebliwego disco polo, połączonego z napełnianiem żołądka zwłokami karpia i litrami wódki, albo ta stara suchotnica, szumnie zwana babcią, ma tylko jedną kawalerkę w bloku z wielkiej płyty, ale za to piętnaścioro wnucząt, wybór wydaje się przesądzony.

Co, jeśli na imprezie nie będzie serwowany alkohol, a uszka w barszczu, przypominające brudne napletki po krwawej masakrze, powodują odruch wymiotny? Na ratunek przychodzą narkotyki! Nie dajcie się zwieść, że dropsy to domena szkolnej gówniarzerii i studentów. Według profesora Mariusza Jędrzejki z Centrum Profilaktyki Społecznej to po części warunki pracy i pracoholizm wpędzają dojrzałych zatrudnionych w nałóg narkotykowy.

Amfetamina i kokaina są najczęściej używane w firmach działających w reklamie i mediach. Ale nie są też obce adwokatom, mundurowym czy lekarzom. Ćpają mali i duzi, młodzi i starzy.

Zanim komukolwiek przyjdzie na myśl, żeby przez ostatnie 2 tygodnie roku znieczulić się w nowy sposób albo pożegnać stary rok na pełnej kurwie, nie mając pojęcia, z czym to się je, wiedzcie, że czymkolwiek się nawalicie, dla psychiatrów będzie to takie samo delirium, a podczas zejścia zatęsknicie za kacem – i tym poalkoholowym, i tym moralnym.

O to, z jakimi fikołkami należy się liczyć po kilku godzinach narkotycznych uniesień, zapytałam stałych i okazjonalnych degustatorów szeroko rozumianych środków psychodelicznych. Oto doświadczenia, jakimi się ze mną podzielili.

Gnijący zombie

Amfetamina ($C_9H_{13}N$) to potoczna nazwa siarczanu amfetaminy. Jej działanie stymulujące powoduje, że mózg zaczyna uwalniać dopaminę i serotoninę, zwane hormonami szczęścia, oraz hormon stresu – noradrenalinę. Amfetamina może zmniejszyć zahamowania i wprowadzić cię w dobry nastrój, dzięki czemu poczujesz przypływ energii i pewność siebie. Może spowodować, że przez długi czas nie będziesz potrzebował snu ani jedzenia.

Rafał, architekt, 49 lat: **„Nie bez przyczyny ludzi na zejściu nazywa się zombie. Po dobrym maratonie człowiek wygląda, jak gdyby 3 dni temu rozpoczął proces gnilny, ale ostatkami sił wygramolił się z wilgotnego grobu. Pustka w mózgu, oczach i bebechu. Język i przełyk opuchnięte, tak jakby zeżreć wiadro żwiru i popić rozpuszczalnikiem. Trudno oddychać, bo w nosie gumowa koza. Bolą gnaty, a dłonie i stopy są jak z lodu, w dodatku sine i szorstkie. Człowiek śmierdzi jak skunks. Minimum zmęczenia i smród się wzmaga, nawet jeśli dopiero co wycierasz się po kąpieli. Fiut chowa się tak, że wyczuwasz tylko napletek i kilka centymetrów skóry. Dół powoduje, że masz ochotę wydrapać sobie mózg. Do tego dochodzi ból żuchwy po szczękościsku. Zdarzały mi się krwawe sraczki, ale może to tylko moja uroda”.**

Z luką w życiorysie

Metamfetamina ($C_{10}H_{15}N$) jest bardzo silnym stymulantem, pochodnym amfetaminy. Często jest produkowana z wykorzystaniem toksycznych dla człowieka chemikaliów przemysłowych i środków czyszczących. Najczęściej używa się jej podczas seksimprez w domu lub klubie, a także podczas clubbingu. Mechanizm jej działania polega na uwalnianiu do mózgu noradrenaliny oraz neuroprzekaźników: dopaminy i serotoniny. Występuje pod postacią białych lub bezbarwnych kryształów, które są miażdżone w celu uzyskania proszku.

Mateusz, barman, 38 lat: **„Jak wygląda zjazd w przypadku mety? Taki sam jak u fety, tylko że mocniejszy. Często jest tak, że naturalny sen (bez leków nasennych czy alkoholu) jest możliwy dopiero po 40–48 godzinach od zażycia ostatniej dawki. Krótko mówiąc, po zajebaniu ciągu można mieć kilka dni wyciętych z życiorysu. Raz zasnąłem na dwie godziny już po dziesięciu godzinach od wciągnięcia, ale przez ten czas wypiłem morze piwa i przemierzyłem kilometry, siejąc zamęt. Jako okazjonalny użytkownik przyśpieszaczy do najczęstszych objawów zjazdu mogę zaliczyć: chujowe samopoczucie fizyczne, beznadziejny nastrój, nadwrażliwość na światło i brak siły nawet do wysrania się. Ważne jest też przestrzeganie BHP walenia w klamę (nos). Podstawa to nakurwiać jak najbardziej skruszony surowiec. Zawsze gdy ktoś proponuje mi na szybko robione liny, w kiblu, aucie czy innych mało komfortowych warunkach, to albo nie pizgam, albo wyciągam swoją kartę i poprawiam kruszonkę, żeby tydzień po imprezie nie smarkać pomarańczowymi glutami i skrzepami z reszty kryształów”.**

Kop z koki

Kokaina ($C_{17}H_{21}NO_4$) jest silnym stymulantem wytwarzanym z liści rosnącego w Ameryce Południowej krzewu koki. Sprawia, że mózg uwalnia naturalną dopaminę, która odpowiada za energię, dobry nastrój i chęć do działania. Kokaina z reguły występuje w postaci proszku. Jest on często zanieczyszczony celowo dodanymi substancjami, takimi jak soda oczyszczona, cukier, amfetamina, środki przeciwbólowe oraz tłuczone szkło.

Kamila, 52 lata, właścicielka galerii sztuki: **„Wszyscy wiedzą, że o dobrą kokainę w Polsce nie jest łatwo. Dilerzy oszukują, bełtając materiał z różnymi gównami, albo sprzedają coś, co tylko z nazwy jest koksem. Dlatego powtarzam, że jeśli nie ma się konkretnego dojścia, to lepiej odpuścić. Szkoda marnować zdrowie i pieniądze. Jeśli już uda się kupić czystą koko, warto pamiętać, że chociaż z alkoholem tworzy dobry związek, nie warto przesadzać z trunkami, bo nazajutrz może być różnie. Raz trafiłam na koko mieszane z fugą (amfetamina) i serce dostało kopa. Oczywiście pojawiła się euforia dopaminowa i wszystko było jak należy, ale na zejściu dostałam lekkiej paranoi i dziwnego pobudzenia, które trwało kilka godzin. Słyszałam, że u facetów przyjęcie dużej dawki kokainy albo przyjmowanie jej przez dłuższy czas może powodować zaburzenia erekcji i problemy z wytryskiem. Żadnemu z moich partnerów to się nie przytrafiło, ale ilu ludzi, tyle historii”.**

Kwaśna schiza

LSD ($C_{20}H_{25}N_3O$), potocznie zwane kwasem, jest substancją psychodeliczną i halucynogenną wytwarzaną z grzyba o nazwie sporysz. Występuje z reguły w postaci małych kwadratów bibuły nasączonych substancją. Efekty użycia występują po 30–90 minutach od połknięcia, osiągając maksymalny poziom działania po 2–5 godzinach. Trwają do 20 godzin. Stan po użyciu kwasu jest często określany jako trip, czyli podróż.

Michał, 42 lata, operator koparki: **„Szczerze mówiąc, nigdy nie miałem złego zjazdu po kwasie. Jeśli jednak ktoś się zdecyduje na swój pierwszy raz z LSD, zdecydowanie odradzam wyjście na kwaśnym debiucie do miasta czy na firmową imprezę. Raz, że jak człowiek zacznie łapać schizy, może zwyczajnie nie rozpoznać niebezpieczeństwa i narazić siebie lub innych na poważne szkody, np. desantując się z okna. Dwa, że nigdy nie ma pewności, czy nie złapie się tzw. bad tripa (złej podróży), a wtedy witaj, zgrozo: pukanie do drzwi lub dzwonek telefonu mogą wywołać stany lękowe i przerażenie. Ponoć długotrwałe zażywanie LSD może prowadzić do schizofrenii i urojeń. Sam korzystam okazjonalnie, ale muszę powiedzieć, że dziś trudno o dobry kwas i często są to pieniądze wyrzucone w błoto”.**

Podsumowując, krecha z blatu może przeczołgać bardziej niż najgorsza impreza. Chyba lepiej strzelić drinka. Nawet jeśli musicie spędzić ostatnie dni roku w klinczu oczekiwań, nakazów i tradycji, to zaciśnijcie zęby i dłonie w pięści. Wyjdzie taniej i zdrowiej. Pamiętajcie, że przed Wami kolejny chujowy rok – dobra forma i hajs jeszcze się przydadzą.

IDALIA DUBICKA

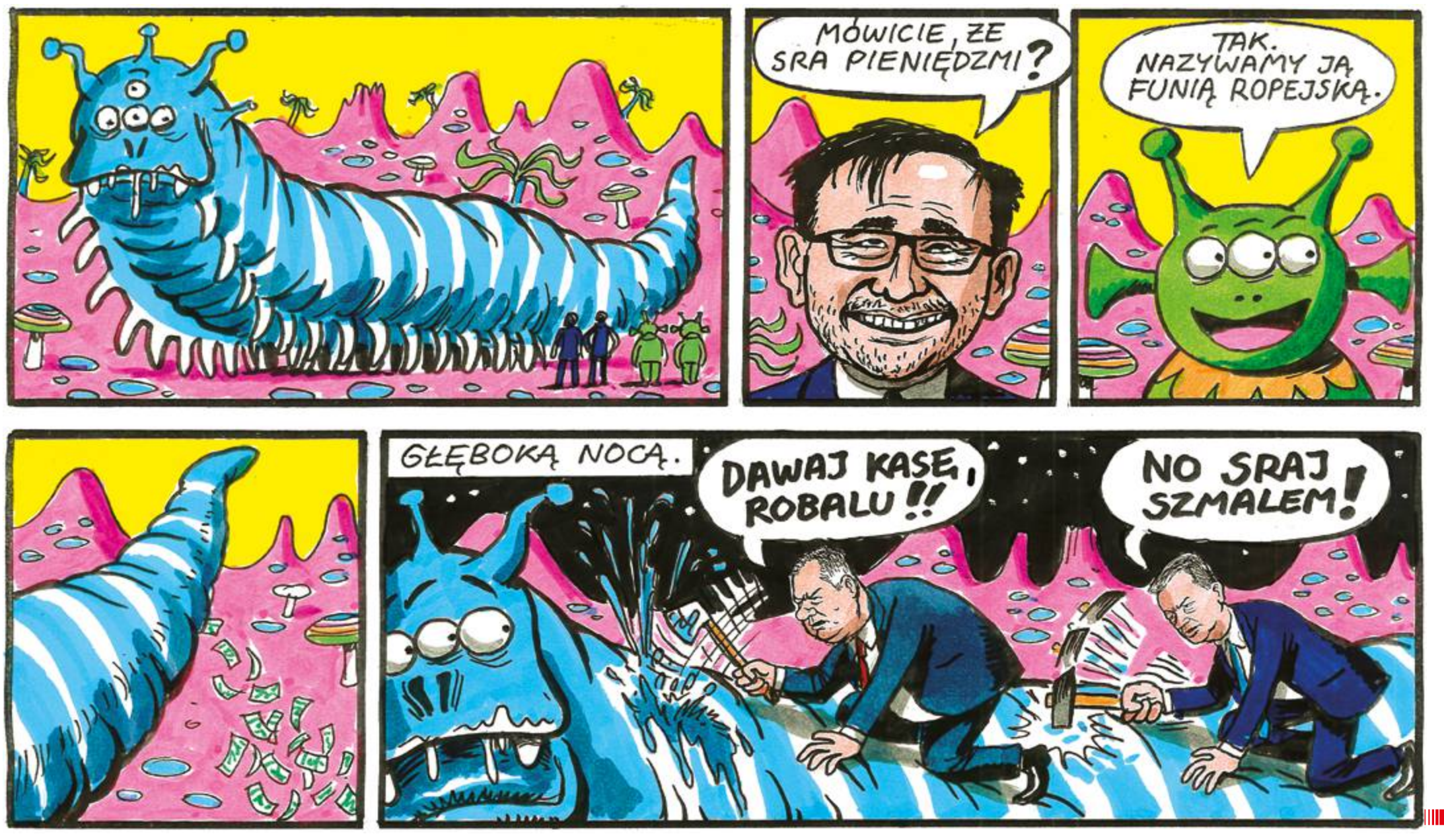

eprasa.pl dc8f67621c

Cielę, które dwie matki ssało.

Bohater spod celi

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

18 grudnia 2022 r. władza uczciła Józefa Szaniawskiego. Na ścianie domu, gdzie mieszkał pełnomocnik zdrajcy Ryszarda Kuklińskiego, w asyście wojskowej odsłonięto poświęconą mu tablicę pamiątkową. Odczytano list od premiera Mateusza Morawieckiego. **„Życiorysu pana profesora Szaniawskiego nie trzeba w tym miejscu przypominać. (…) Warto jednak pamiętać, że ten życiorys jak w soczewce skupia najważniejsze momenty polskiej walki konspiracyjnej drugiej połowy XX w.”** – napisał Morawiecki i po raz pierwszy musimy przyznać mu rację.

Szaniawski był w PRL korespondentem Polskiej Agencji Prasowej. W 1985 r. został aresztowany pod zarzutem współpracy z Radiem Wolna Europa, które było uważane za propagandowe ramię CIA. Skazano go na 10 lat więzienia. Wyszedł w grudniu 1989 r.

W „NIE” z 17 stycznia 1991 r. w artykule „Józef Szaniawski – ostatni więzień polityczny PRL – półcienie antykomunizmu” zamieściliśmy reprodukcję odręcznie napisanego listu z 4 października 1985 r., który Szaniawski napisał do generała dywizji Edwarda Poradki, szefa Wojskowej Służby Wewnętrznej, czyli kontrwywiadu wojskowego.

Szaniawski siedział wówczas w pudle. List opatrzył mottem Juliusza Cezara: „Aby powstać, każdy człowiek podeprzeć się musi w tym samym miejscu, gdzie upadł”.

Więzień polityczny PRL pisał m.in.: **„Zwracam się do Obywatela Generała z serdeczną prośbą o dopomożenie mi w sytuacji, w jakiej się znalazłem, a jednocześnie rozważenie, czy moja osoba nie byłaby przydatna dla celów i działalności organów podległych Obywatelowi Generałowi. To motto, które zacytowałem na wstępie – sentencja najwybitniejszego polityka i wojskowego starożytności, licząca już ponad 2000 lat – stanowi wyraz mojej skruchy i głębokiego żalu z powodu tego, co zrobiłem. Jest to żal i skrucha prawdziwa, a tym prawdziwsza, że nie bierna, tylko czynna. Nie biernym siedzeniem w więzieniu, ale czynną działalnością za pośrednictwem WSW chcę odpokutować swoje winy. I dlatego właśnie zwracam się do Obywatela Generała, aby stworzył mi taką szansę: Serdecznie proszę nie kierować mojej sprawy do Sądu. Chcę »powstać« dokładnie tam, gdzie »upadłem«. Chcę działać, a myślę, że potrafię, przeciwko Radiu Wolna Europa, jeśli to będzie możliwe w Monachium, lub jeśli nie, to w kraju. A jeśli i to jest niemożliwe, to chcę współpracować z WSW przeciwko wrogom Polski Ludowej, w tym zwłaszcza przeciwko wywiadowi amerykańskiemu i opozycji wewnętrznej”.**

W innym miejscu Szaniawski pisał o swojej postawie ideowej, chwilowym zbłądzeniu, rozterkach moralnych i 5-letnim wówczas synu Filipie Frąckowiaku (dziś wpływowym radnym warszawskiego PiS-u), który doskonale wiedział, że tatuś popiera z całego serca socjalizm i brzydzi się antypeerelowską opozycją. **„Chciałem podkreślić raz jeszcze, że nigdy nie byłem i nie jestem wrogiem Polski Ludowej, ustroju socjalistycznego, sojuszu PRL–ZSRR. Wręcz odwrotnie. Dawałem temu wyraz jako działacz młodzieżowy na studiach na Uniwersytecie Warszawskim, w okresie mojej pracy zawodowej i społecznej w PAP, AP Interpress, TPPR** (Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej – przyp. A.S.)**, Centrum Kształcenia Ustawicznego. (…) Chciałem ujawnić władzom moją współpracę z RWE już właściwie w 1981 r., kiedy w świetle wydarzeń 80–81 zrozumiałem bezsens swej działalności, ale nie miałem odwagi. Wiedziałem, że muszę przyjść nie z samymi słowami, ale z czymś konkretnym, jakimś punktem zahaczenia odnośnie RWE, co by mnie jakoś usprawiedliwiało. (…) Chciałem ujawnić swoją współpracę z RWE zarówno dlatego, że uważałem to za swój błąd życiowy i chciałem się od tego uwolnić, jak też ze względu na swoją działalność po 80 roku z pobudek ideowopolitycznych. Wreszcie wchodziły w grę względy rodzinne, gdyż obawiałem się o karierę artystyczną mojej żony (Halina Frąckowiak), która nie orientowała się w mych kontaktach z RWE, ale za to znała moje negatywne poglądy na temat KOR, KPN i opozycji, a poparcie dla generała Jaruzelskiego (nawet nasz 5-letni synek Filip je znał)”** – pisał bohater pisowskiej władzy.

Po upadku PRL Szaniawski przefarbował się na zaciekłego antykomunistę. Został pełnomocnikiem płk. Kuklińskiego, organizując kampanie, które miały wykreować zdrajcę na bohatera. Związał się z Rydzykiem, prowadził zajęcia w jego szkole, publikował w „Naszym Dzienniku”, występował w Telewizji Trwam i Radiu Maryja. Zginął w 2012 r. w Tatrach, schodząc ze szczytu Świnicy. Wedle spiskowych teorii Szaniawski został zamordowany przez układ III RP i Putina m.in. za przyjaźń z Kuklińskim i twierdzenie, że w Smoleńsku doszło do zamachu.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

WIARA CZYNI CZUBA

1. Dwaj pastorzy ewangeliccy z Bułgarii Żiwko Tonczew i Radosław Kirijakow wygrali sprawę przeciwko swojemu krajowi przed trybunałem w Strasburgu. W 2008 r. rada miasta Burgas we współpracy z policją rozesłała do dyrektorów lokalnych szkół list, w którym przestrzegała przed sekciarską działalnością nowych Kościołów protestanckich. List straszył, że Kościoły takie „prowadzą masywną kampanię agitacyjną”, „podstępem zdobywają nowych wiernych” i generalnie szkodzą jedności narodu bułgarskiego. Dzieci miały zostać odpytane, czy kiedykolwiek spotkały się z kimś z podejrzanych Kościołów, oraz uprzedzone, że udział w ich nabożeństwach może spowodować „aberracje i zaburzenia psychiczne”. To zupełnie inaczej niż w przypadku prawosławia i islamu – dwóch głównych wyznań Bułgarów.

2. À propos: wyższy sąd szariacki w prowincji Kano w Nigerii skazał imama Abduljabbara Nasiru Kabarę na śmierć przez powieszenie. Kabara reprezentuje niszową grupę religijną kadirijjia, która z kolei jest jedną z odmian sunnizmu. Wyrok zapadł, gdy Abduljabbar przegrał debatę z uczonymi z czterech innych odłamów sunnizmu, co zostało uznane za dowód na to, że bluźnił. Adwokat Aminu Ado Abubakar błagał sędziego o złagodzenie kary, tłumacząc, że oskarżony nie wiedział, co czyni – na co oskarżony orzekł, że swojego prawnika widzi na oczy po raz pierwszy w życiu i nie udzielał mu pełnomocnictwa, a sąd prosi o wydanie wyroku skazującego, bo wtedy „jego wyznawcy będą widzieli, że umarł jako bohater”. Może się przeliczyć, bo stan Kano chętnie zasądza czapę za bluźnierstwo, ale jeszcze żadnej nie wykonał.

3. Na tym ostatnim opiera się nadzieja innego mieszkańca Kano, śpiewaka folkowego nazwiskiem Yahaya Sharif-Aminu, który należy do innej grupy religijnej – tidżanijja. Yahaya został aresztowany za nagranie i wpuszczenie do sieci piosenki o Ibrahimie Niassie – głównym przywód-

eprasa.pl dc8f67621c

Rys. TOMASZ WIATER

cy tidżanijji w Senegalu – która była pochlebna do tego stopnia, że „wywyższyła go nad proroka Mahometa". Po tym, jak wściekły tłum spalił jego dom, Yahaya usiłował się ukrywać, ale został znaleziony i aresztowany. W sierpniu 2020 r. śpiewaka skazano na powieszenie, ale odwołał się od wyroku, przytaczając błędy formalne. Sąd apelacyjny stanu Kano uwzględnił odwołanie i odesłał sprawę do ponownego rozpatrzenia. Obecnie Yahaya Sharif-Aminu przebywa w areszcie od dwudziestu miesięcy.

4. Jezuicki artysta ojciec Marko Ivan Rupnik za Słowenii, autor m.in. obrazu będącego symbolem Światowego Spotkania Rodzin 2022, prezentującego melanż w Kanie – tańcującego Jezusa, Maryję z kielonkiem i apostoła zwalonego na stole – niedawno został przez sąd kościelny uniewinniony od zarzutu molestowania zakonnic ze słoweńskiego klasztoru, w którym był kapelanem. Wydarzyło się to ponad 20 lat temu, zatem się przedawniło – orzekł sąd. Ostatnio jednak generalny przełożony jezuitów Arturo Sosa przyznał, że 2 lata temu ojciec Rupnik „zaciągnął ekskomunikę" – czyli został ekskomunikowany automatycznie – po tym, jak wyszło na jaw, że wydymał jedną zakonnicę, a potem ją z tego wyspowiadał i rozgrzeszył. Ekskomunika została jednak cofnięta, albowiem – wyjaśnia Sosa – Rupnik wyznał grzech i wyraził skruchę.

5. 16 grudnia w katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Neapolu krew świętego Januarego, męczennika z III w., skropliła się jak zwykle w rocznicę ocalenia miasta z wybuchu Wezuwiusza w 1631 r. To już trzecie w tym roku zwyczajowe skroplenie – do wcześniejszych doszło (również jak zwykle) w pierwszą sobotę maja i w imieniny świętego wypadające 16 września. „Domniemany cud jest lokalnie znany i uznawany, choć nie został jeszcze oficjalnie uznany przez Kościół" – donosi katolicki serwis CNA, dodając, że brak skroplenia wieści wojnę, głód lub zarazę. Czytamy też, że January zaniedbał skroplenia w grudniu 2020 r. Zważywszy na to, że koronawirus we Włoszech był już wtedy w pełnym rozkwicie i miał na koncie ponad 50 tysięcy ofiar śmiertelnych – proroctwo świętego było cokolwiek spóźnione.

6. Papa Franciszek pouczył wiernych, żeby „nie tracili czujności" i „strzegli domu swojego serca przed oszustwami dobrze wychowanych demonów". „Zły duch czeka dokładnie na ten moment, w którym jesteśmy zbyt pewni siebie, kiedy wszystko idzie dobrze, a my mamy wiatr w żaglach" – powiedział papież, ilustrując pouczenie przypowieścią z Ewangelii św. Łukasza: „Jezus powiedział: »Niech będą przepasane biodra wasze i zapalone pochodnie«, albowiem sługa winien »czekać na swego pana, kiedy z uczty weselnej powróci, aby mu zaraz otworzyć, gdy nadejdzie i zakołacze. Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie«. Jak na głosiciela równości niezależnie od statusu majątkowego i obrońcę biednych przed wyzyskiem papież wybrał sobie niezbyt fortunny cytat.

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

Rysunki PATRYK SROCZYŃSKI

■ *Jak co roku, w okolicach Bożego Narodzenia* ***lewicowo-liberalne media*** *przypuszczają* ***atak*** *na wyraźnie chrześcijańskie znaczenie tych dni. (…) Spadkobiercom materialistycznej komuny, których dzieci nie przyjadą na święta, pozostaje „Psia Wigilia" i merdający na widok prezentów ogon pupila.*

Piotr Relich, PCh24.pl, 19 grudnia

■ *Zrywane są podstawowe* ***relacje społeczne,*** *od rodziny począwszy, poprzez Kościół, a gdzieś na narodzie kończąc. Podważane są również wszystkie stare obyczaje, które wiązały pokolenia między sobą i które wiązały się nie tylko z porami roku, ale również z* ***kalendarzem liturgicznym.*** *Życie polskie kwitnie nie w tych wielkich ośrodkach, gdzie rzekomo żyją ci lepiej wykształceni i młodzi ludzie, ale bardziej na prowincji. Tam ta polskość jest cały czas tak samo żywa. Podczas świąt Bożego Narodzenia istotą nie są prezenty, ale pasterka, śpiewanie kolęd (…) przyjście na świat Zbawiciela.*

prof. Mieczysław Ryba, Radio Maryja, 18 grudnia

■ ***Kościół*** *dał się ustawić w roli tego, który musi się tłumaczyć, usprawiedliwiać, przepraszać, a w dodatku starać się nadążyć za modami tego świata, by nie zasłużyć na* ***miano zacofanego.*** *Kompletny absurd. Tymczasem Kościół ma coś do powiedzenia światu. Ma do głoszenia Ewangelię o życiu wiecznym, o zbawieniu w Jezusie Chrystusie. Apostołowie nie tłumaczyli się, dlaczego Judasz, złodziej i zdrajca, nie został wcześniej usunięty z grona dwunastu. Przecież Jezus musiał wiedzieć…*

ks. Dariusz Kowalczyk, „Idziemy", 16 grudnia

■ *Nie zawsze można milczeć. Tym bardziej gdy media niemal codziennie informują o zbrodniach popełnianych za naszą wschodnią granicą przez rosyjskich najeźdźców, a z drugiej strony* ***lewicowo-liberalni politycy*** *i pseudointelektualiści, nie uznając żadnych norm moralnych, nawołują do przekraczania wszelkich norm, żądając nieograniczonego prawa do aborcji czy wolnych związków. Nie dostrzegają przy tym żadnych innych problemów poza walką o prawa dla mniejszości seksualnych. Ten* ***permisywizm moralny*** *nie zaprowadzi ich zbyt daleko – nie tędy droga.*

Maciej Pawlak, Niezalezna.pl, 15 grudnia

■ *Według propozycji Komisji Europejskiej mają zostać powołane organy ds. równości, które mają monitorować przestrzeganie zasad równościowych, sporządzać regularne sprawozdania oraz przekazywać je do* ***Unii Europejskiej.*** *Te rozwiązania stwarzają możliwość, żeby instytucje unijne promowały* ***ideologię gender.*** *(…) Jest to próba wprowadzenia już pozatraktatowych rozwiązań do porządku prawnego wszystkich państw członkowskich UE, które są niezgodne chociażby z tradycją – w tym przypadku polską czy europejską – związaną z przyjęciem pewnych norm prawnych i pewnego ładu moralnego.*

dr Krzysztof Kawęcki, Radio Maryja, 15 grudnia

■ *Miejmy nadzieję, że prezydent Andrzej Duda dobrze zważył swe racje, postanawiając o zawetowaniu przygotowanej przez ministra* ***Przemysława Czarnka*** *nowelizacji prawa oświatowego. (…) Polska potrzebuje teraz spokoju, a nie konfliktów. W domyśle – przyjęcie nowego prawa mogło je wywołać. Wiadomo, że Jachira by się z mównicy sejmowej wydzierała, pod siedzibę ministerstwa zeszłyby się jakieś* ***grupy wywrzaskujące ordynarne hasła,*** *w TVN pokazywaliby europejskich jaśnie oświeconych rodziców i zaangażowaną młodzież bredzącą jakieś komunały o nowoczesności i XXI wieku. Swoje na zlecenie robiliby też wspominający czasy junty Jaruzelskiego weterani Związku Nauczycielstwa Polskiego.*

Dariusz Matuszak, wPolityce.pl, 19 grudnia

■ *Ideologie, o których mowa –* ***idee „małżeństw" homoseksualnych,*** *aborcjonizm, produkcja dzieci w laboratoriach – niebywale jednak przyspieszyły i dziś głoszą absurdy. Coraz bardziej* ***uderzają w najmłodszych,*** *co widać dobitnie w działaniach korporacji Disneya. John Nolte, amerykański publicysta, pisze bez ogródek: „Disneyem zarządzają i pracują w nim seksualni degeneraci, którzy nie zatrzymają się, póki każde amerykańskie dziecko nie dozna traumy i nie zmieni się w takiego jak oni…". Nic dziwnego, że wielu młodych porzuca Chrystusa i Jego Kościół w imię absurdów, które każą nauczycielowi zwracać się do Mariana per Marysiu, jeśli np. na egzaminie student Marian sobie tego zażyczy.*

dalej Kowalczyk

Wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

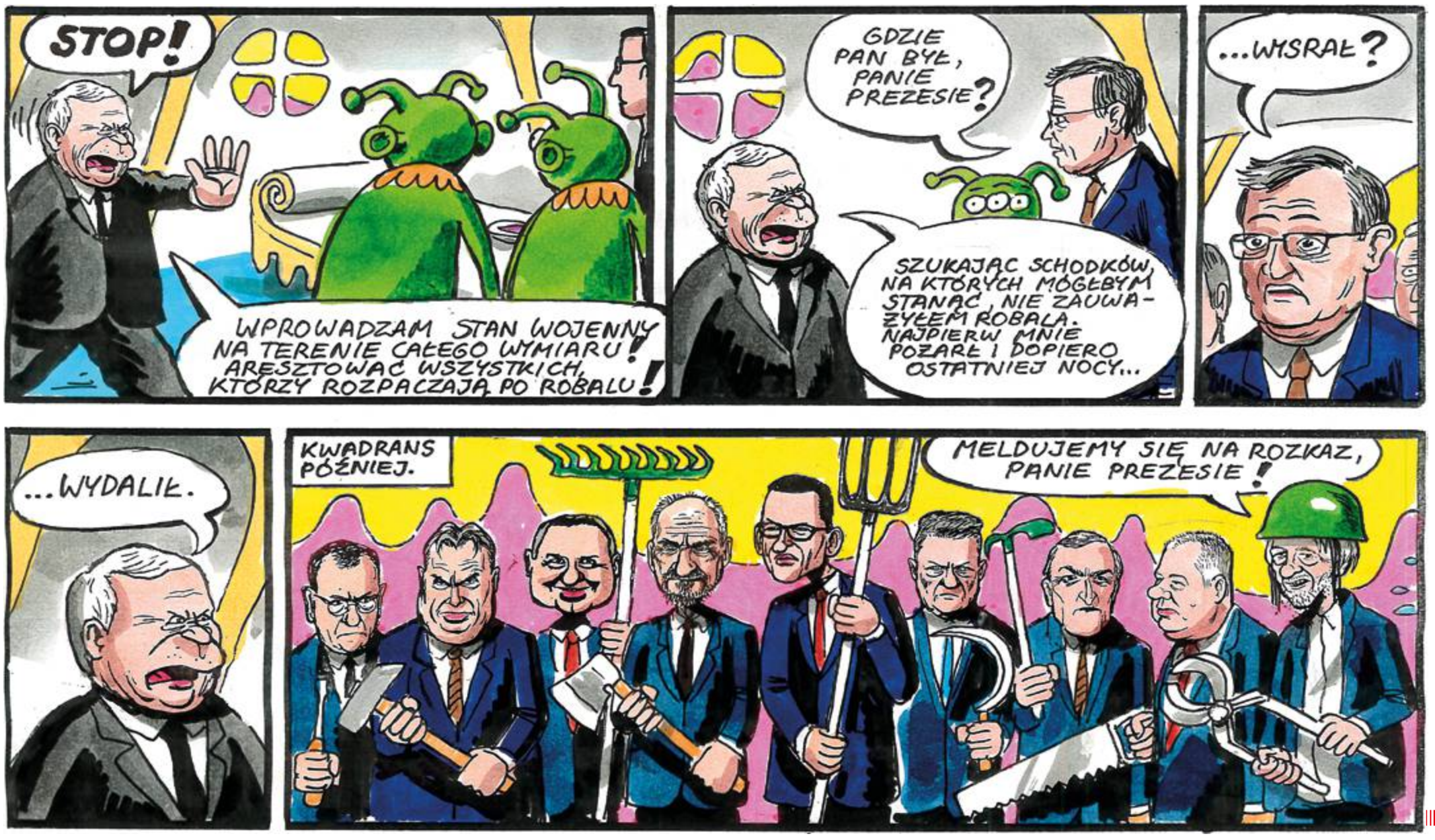

eprasa.pl dc8f67621c

Jak trans z transem

„NIE" rozmawia z **ANKĄ GRODZKĄ** o tym, czy kobiety trans są atrakcyjne dla facetów hetero.

Anna Grodzka – transpłciowa kobieta, współtwórczyni polskiego ruchu na rzecz osób transpłciowych, współzałożycielka Trans-Fuzji, Fundacji na rzecz Osób Transpłciowych, działaczka społeczna, posłanka do Sejmu VII kadencji, w którym reprezentowała Ruch Palikota. Była pierwszą w Polsce, drugą w Europie i trzecią na świecie transpłciową parlamentarzystką.

– Zacznę od truizmu: osoby transpłciowe w kraju takim jak Polska mają przegwizdane. Wydaje się, że wszystko tu jest przeciw nam: państwo, system, społeczeństwo… Czy osoba trans może być tu w ogóle szczęśliwa?

– Pytanie, czy tylko tu, ze względu na stosunek do osób trans panujący w naszym kraju? Czy osoba trans w ogóle może być szczęśliwa bez względu na to, gdzie żyje? Pamiętajmy przecież, że jeszcze do niedawna obowiązywał cierpiętniczo-martyrologiczny model transpłciowości. Osoba trans już z racji tego, że jest trans, musiała być nieszczęśliwa, a jej droga przez korektę płci – i w ogóle przez życie – musiała być pasmem cierpień. Tak sobie to ludzie wyobrażali. I choć trochę się te wyobrażenia zmieniają, to jednak taki obraz nas jest wciąż żywy.

– Przyznam, że nie bardzo odpowiada mi ten model. Nigdy nie uważałam, że z tytułu bycia trans mam być nieszczęśliwa i cierpiąca, a swoje życie traktować jak porażkę.

– Ależ oczywiście! Przecież poza tym, że jesteśmy trans, to normalnie żyjemy. Owszem, gdzieś tam jest cierpienie spowodowane niezgodnością naszej tożsamości z ciałem i ekspresją płciową, ale poza tym prowadzimy mniej lub bardziej normalne życie, jak każdy człowiek. Ono może być udane i szczęśliwe i my możemy być szczęśliwi. Wiele tak naprawdę zależy od nas samych, od naszego nastawienia i postawy życiowej. I fartu: zależy, gdzie się urodziliśmy i jakie mamy szanse materialne i kulturowe.

– A jak to jest u Ciebie? Pamiętam, że jedna z naszych wspólnych znajomych mówiła, że kiedyś powiedziałaś jej: „Kurwa, Gośka, byłam takim przystojnym facetem, a teraz jestem starą brzydką babą!".

– To było powiedziane z przymrużeniem oka. Ale coś w tym jest! Mogę powiedzieć, że byłam nieszczęśliwa, będąc przystojnym facetem, a jestem szczęśliwa, będąc starą brzydką babą. Byle tylko zdrowie dopisywało… Rozwalamy pewien mit, że wszystkie osoby trans muszą czuć się nieszczęśliwe. Kto czytał moją książkę „Mam na imię Ania", ten wie, że cierpiętnictwa nie było tam zbyt wiele. A i tak opisane w książce cierpienie było przede wszystkim związane z problemami, jakie miałam ze swoim otoczeniem, ze swoimi bliskimi w momencie przełomu, w czasie tranzycji. Było też trochę cierpienia w szkole podstawowej, ale ono było spowodowane nie tym, że miałam takie ciało, tylko że miałam taką duszę. Po prostu byłam inna, chciałam innych rzeczy niż pozostałe dzieci, chciałam bawić się inaczej. A niestety w tym kraju – w każdym innym trochę też, ale w tym szczególnie mocno – każda inność jest tępiona. Innymi słowy: naszym problemem w tym samym stopniu co nasza niedopasowana cielesność są inni ludzie. Gdyby nasze otoczenie od początku, od momentu gdy ujawniamy naszą transpłciowość, udzieliło nam wsparcia – a choćby tylko zaakceptowało nas nawet bez udzielania wsparcia – to żylibyśmy dużo szczęśliwiej. Ja np. byłam całe życie szczęśliwa mimo tego cienia, który miałam, żyjąc jako chłopak. No byłam przystojnym facetem, i co z tego? Nie żałuję tamtego życia – ani tego, jakie było, ani – co najważniejsze – tego, że się już skończyło.

– A byłabyś w stanie przeżyć życie w męskiej postaci i roli? Bo przecież znamy wiele osób trans, które tak właśnie żyją. Mimo że ujawniają swoją transpłciowość, to robią to tylko wobec innych znajomych trans, ale nie wobec szerszego otoczenia. I nie decydują się na korektę płci.

– Niewiele brakowało, żebym też tak przeżyła życie. Gdy po raz pierwszy podeszłam do korekty – to było w latach 1984–1985 – wiedziałam, że żona, którą kocham, mnie rzuci, że stracę kontakt z dzieckiem, stracę pracę itp. Miałam wtedy okazję spotkać się z osobą trans (to była dziennikarka z jednej z regionalnych rozgłośni radiowych), która była już po przejściu procesu korekty płci. A ja byłam dopiero na początku, właściwie dopiero na etapie decyzji, czy robić korektę, czy nie. Byłam trochę zagubiona i gdy słuchałam, jak ona opowiada mi o swoim życiu, jak ją cała rodzina wyklęła, jak ją wyrzucono z pracy, jak żyła w nędzy… A ja żyłam jak pączek w maśle jako chłopak: ustabilizowana życiowo, rodzinnie, prezeska firmy, wydawnictwa… Słyszę, przez co ona przeszła, i myślę: To ja mam stracić to wszystko, stracić całe swoje życie? To była trudna decyzja, ale wtedy powiedziałam sobie: Nie, nie rozpocznę korekty płci. I zdecydowałam, że przeżyję to życie tak, jak muszę, bo inaczej – jak wtedy myślałam – to jest niemożliwe.

– W naszej rozmowie cały czas dotykamy tematu ciała. Wiadomo, dla osób trans to zawsze jest jakiś problem. Ale czy nie masz wrażenia, że to wynika ze sposobu, w jaki ludzie nas traktują? Bo najczęściej społeczne myślenie o nas jest takie, że albo jesteśmy pomyłkami natury, takimi biednymi, pokrzywdzonymi przez los osobami, które urodziły się w nie swoich ciałach, albo że to, co robimy, robimy dla seksu. Seks na razie zostawmy, chodzi mi o to nie swoje ciało. Myślę, że takie społeczne wyobrażenie o tym, że rodzimy się w nie swoich ciałach, osoby trans chętnie kupują jako

eprasa.pl dc8f67621c

własne przekonanie. Mnie to nie odpowiada. Nie uważam, że mam nie swoje ciało. Moje ciało jest moje i nigdy nie będę miała innego. Poprawić w nim to i owo to jedno, ale traktować je jako nie moje, to całkiem co innego. Sądzę, że z tego myślenia o nie swoim ciele wynikają potem problemy z akceptacją tego ciała, które wśród osób trans są dość powszechne. A w szerszym kontekście chodzi o problemy z samoakceptacją. Nie masz wrażenia, że sporo osób trans chętnie posługuje się taką narracją, by dopasować się do pewnego społecznie funkcjonującego wzorca osoby trans jako tej biednej, pokrzywdzonej, która urodziła się w nie swoim ciele?

– Hmmm, dostosowywanie się do wzorca… Nie myślałam tak o tym. Chociaż coś w tym jest. Przypomina mi się teraz opowieść jednej z transdziewczyn, która do tego stopnia nie akceptowała swojego penisa, że gdy chodziła sikać, to trzymała go przez chusteczkę.

– Poważnie?! No właśnie! Skoro już wspomniałaś o penisie, to idźmy dalej: nie masz wrażenia, że spora część operacji, przez które osoby trans przechodzą w trakcie korekty, jest robiona nie dlatego, że te osoby rzeczywiście ich potrzebują, ale dlatego, żeby dopasować się do wzorca? Mam na myśli szczególnie operacje genitalne. Panuje przekonanie, że jeśli już jesteś transdziewczyną, to musisz chcieć pozbyć się penisa za wszelką cenę. Z doświadczenia wiem, że to niekoniecznie jest prawda. U jednych będzie trzeba to zrobić, u innych nie. Znam opowiadania koleżanek, które przez to przeszły, i ich wrażenia są bardzo różne: od zachwytu poprzez stwierdzenie, że zamiana penisa na waginę jest zdecydowanie przereklamowana, po żal, że się to zrobiło. A ty? Nie miałaś nigdy wrażenia, że robiłaś swoje operacje, żeby dopasować się do wzorca?

– Trudne pytanie. Ja byłam wtedy w takim ciągu… Chciałam być kobietą na maksa. Nie myślałam tak o tym. Też miałam problem z akceptacją penisa. Ale czy on był tak duży…

– Duży?

– Problem, nie penis! Ale czy on był tak duży ten problem, że musiałam robić operację? Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Byłam w takim rozpędzie podczas korekty, myślałam, że jak już robię korektę, to muszę zrobić wszystko…

– No właśnie! „Myślałam, że jak już robię korektę, to muszę zrobić wszystko!". Czy to nie brzmi jak chęć dopasowania się do wzorca?

– Twoja myśl o dopasowaniu się do wzorca jest bardzo trafna i ważna. Szczerze mówiąc, mało na ten temat myślałam. Przeżyłam olśnienie podczas naszej rozmowy. Teraz tak myślę, że wiele z tego, co robimy, polega na tym, że chcemy się dostosować, a nie badamy swojego wnętrza, nie jesteśmy do końca zgodne z naszymi odczuciami.

Edyta Baker – transpłciowa kobieta, współtwórczyni polskiego ruchu na rzecz osób transpłciowych, była prezeska Fundacji Trans-Fuzja, z zawodu dziennikarka.

– Myślę, że wiele osób trans powiedziałoby to samo. Przyznam, że ja też miałam taki moment, gdy zaczynałam korektę płci, że gdyby trochę inaczej potoczyły się wówczas pewne sprawy, zrobiłabym wszystko z operacją genitalną włącznie. I dziś bym żałowała! Uważam, że każda osoba trans powinna bardzo dokładnie przemyśleć kwestię wykonania poszczególnych operacji i innych ingerencji w ciało – wiadomo, że w ciągu procesu korekty może ich być wiele. To, co jest dobre dla jednej osoby, nie musi być dobre dla drugiej i nie powinny obowiązywać żadne wzorce. Myślę, że nie to, jak wyglądamy, stanowi problem. Problemem jest to, jak odbierają nas ludzie. Ale to nie my powinnyśmy się dostosowywać do ludzkich wyobrażeń, tylko ludzie powinni w końcu zaakceptować fakt, że mogą być kobiety z penisami, podobnie jak mężczyźni z waginami. I powinni przestać się temu dziwić i dopisywać do tego od razu kontekst seksualny.

– Tak, każda osoba trans powinna móc sama decydować, co robi ze swoim ciałem, i żadna presja ani żadne wzorce nie powinny jej w tym ograniczać. Chociaż… Ten kontekst seksualny, o którym wspomniałaś… Myślę, że on zawsze był nam przypisywany już choćby z racji tego, że to, o czym rozmawiamy, nazywało się kiedyś transseksualizmem. Już więc w samej nazwie był kontekst seksualny, bo ludzie zazwyczaj nie rozumieją, że ten „seks" oznacza w tym słowie po prostu „płeć" (angielskie „sex" to właśnie „płeć"), tylko zawsze (szczególnie Polakom) kojarzy się z seksem, który pojmujemy jako erotykę. Sporo pewnie też zrobił przemysł pornograficzny, w którym kobieta z penisem jest jednym z częściej eksplorowanych tematów. No i fakt, że niektóre osoby trans pracują też seksualnie…

– Pracują, pracują! Chociaż nie są pod tym względem wyjątkiem. No i przecież nie pracują dlatego, że potrzeba takiej pracy wynika z jakichś szczególnych cech ich charakteru, tylko dlatego, że jest na to zapotrzebowanie. Szczególnie na transkobiety, które mają penisy. Z mojego doświadczenia wynika, że wyobrażenie seksu z transkobietą, taką z piersiami i penisem, mieści się wśród najpopularniejszych fantazji mężczyzn heteroseksualnych. Fantazjuje o tym wielu facetów, a nie tylko pojedynczy fetyszyści.

– Pracują seksualnie nie tylko dlatego, że jest popyt na osoby z penisem, ale także dlatego, że tych ludzi zmusza do tego sytuacja: wyrzucenie z pracy albo wyklęcie z rodziny. Ale fakt! Popyt chyba też. Pamiętam, że gdy byłam w Tajlandii w szpitalu, w którym robiłam operacje, spotkałam transdziewczynę z Francji, prześliczną, niezwykle kobiecą. Poznałyśmy się i ona dała mi wizytówkę, na której było napisane, że prowadzi dom publiczny w Paryżu. Miała około czterdziestu lat i przez całe życie pracowała seksualnie właśnie jako kobieta z penisem. Jako shemale…

– Shemale! Nie lubimy tego słowa, bo to termin z branży porno i powoduje, że właśnie potem ludzie nas postrzegają w kontekście seksualnym, sprowadzają nas do roli fetyszu…

– Tak, nie lubimy! Ta dziewczyna powiedziała mi: „Doszłam już do tego wieku, że chcę skończyć z pracą seksualną i dokończyć korektę. Ale przez te wszystkie lata moim atutem było to, że byłam kobietą z piersiami i penisem. Dzięki temu miałam mnóstwo klientów, zarabiałam duże pieniądze i dorobiłam się własnego domu i domu publicznego". Niewątpliwie więc zapotrzebowanie na transkobiety jest.

– Dodajmy: na transkobiety, które mają penisa. Tu rzeczywiście – muszę to przyznać z doświadczenia – nasza pozycja jest dobra. Faceci walą do nas drzwiami i oknami. Wystarczy założyć konto w mediach społecznościowych i napisać, że się jest trans, a nie można się opędzić od natrętnych propozycji. Jedno z pierwszych pytań wtedy brzmi: „Masz penisa?". A jeśli odpowiesz, że nie, to twoja pozycja automatycznie spada i facet traci zainteresowanie. Jeżeli transkobiety miałyby się spełniać w ten sposób, to mogą przebierać w partnerach jak w ulęgałkach. Wcale się nie dziwię, że twoja znajoma Francuzka była w stanie zarobić sporą kasę. Ale to tylko seks. Mało który z tych facetów zdecydowałby się na życie z transkobietą, na stały związek, w którym chodziłoby o coś więcej niż tylko o seks.

– Tak myślisz?

– No tak! Transdziewczyna jest dobra, żeby się z nią spotkać sam na sam, intymnie, w zaciszu pokoju lub wynajętego na godziny apartamentu. Ale transdziewczyna nie nadaje się do tego, by zabrać ją na świąteczną wizytę u rodziny, by pójść z nią do znajomych na grilla, by wziąć ją na spotkanie z kumplami w pubie. To jest tabu. Bo my jesteśmy tabu. Faceci hetero (których pożądanie ukierunkowane jest na płeć odmienną) strasznie jarają się fantazjami o kobiecie z penisem. Ale żaden z nich nie ujawni publicznie, że spotyka się z laską, która ma penisa. Jesteśmy dla nich fetyszem, ale nie partnerkami. Na taki obrót sprawy wiele transdziewczyn się nie godzi. Nie chcą być tylko fetyszami facetów, z którymi się spotykają. Pragną miłości, bliskości, ciepła, zaufania, bezpieczeństwa…

– Wiem, że niektóre osoby trans łączą się w pary między sobą. Jeżeli jesteś osobą niehetero, to masz więcej możliwości. Ale rzeczywiście wygląda na to, że heteroseksualne transkobiety, czyli te, które są zainteresowane mężczyznami hetero, nie mają wielkiego wyboru. Dlatego zapewne sporo z nas żyje samotnie jako singielki. A seksualnie idą w samozaspokojenie. To oczywiście nic złego i też powinno się o tym więcej mówić, nie tylko przy okazji badań naukowych, gdy okazuje się, że 90 procent ludzkości się masturbuje lub uprawia jakieś formy autoerotyzmu. Ale tak normalnie, po prostu, jako o jednej z naszych naturalnych aktywności, które uprawiamy.

– Owszem, uprawiamy. Choć jestem zdania, że autoerotyka nie musi być zamiast życia partnerskiego. Może je równie dobrze uzupełniać.

– No tak! Wracając do twojego pytania z początku rozmowy, to rzeczywiście wychodzi na to, że mamy przegwizdane. Same problemy z nieprzyjaznym systemem, opresyjnym państwem i nawet partnera sobie znaleźć nie można, a seks trzeba uprawiać samemu (śmiech).

– Aby nie popadać w czarnowidztwo, to chyba czas zakończyć tę rozmowę. Zwłaszcza że my tu sobie gadu-gadu, a za chwilę święta. Trzeba lecieć do domu, jakiegoś maku ukręcić, piernik upiec, mieszkanie wysprzątać dla Jezuska…

– Wierzysz w Jezuska?

– Nie wierzę. Ale dopasowuję się do wzorca. A ty? Jesteś wierząca?

– Odpowiem słowami Jeremiego Przybory: jestem głęboko niewierząca.

– Ale świętujesz?

– Cóż, cały kraj zamyka się na 2 tygodnie i świętuje, to co mam robić? Też chcę coś smacznego zjeść.

– To chodźmy świętować! Do siego roku!

Rozmawiała **EDYTA BAKER**

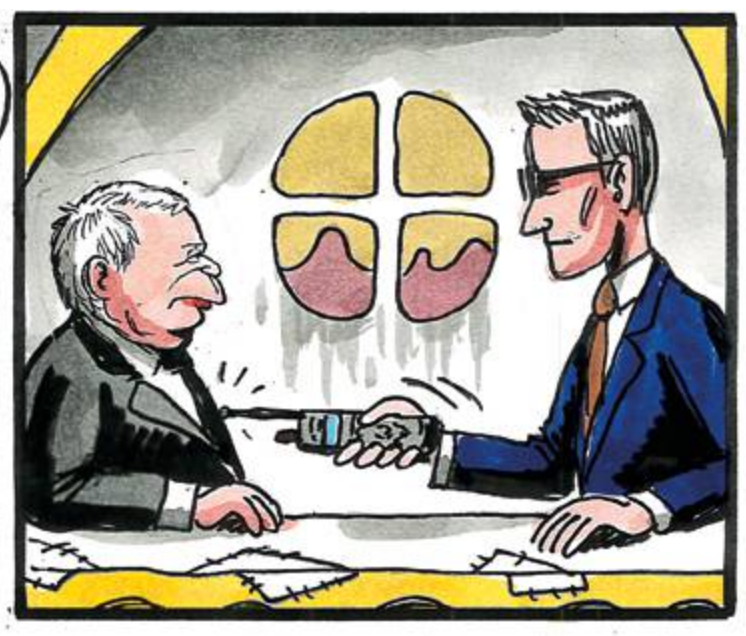

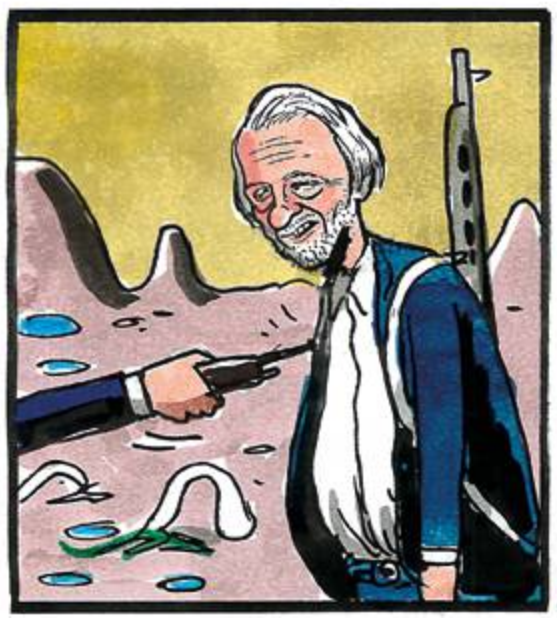

Hys. HYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl dc8f67621c

A delfiny mają gęby pełne kłów

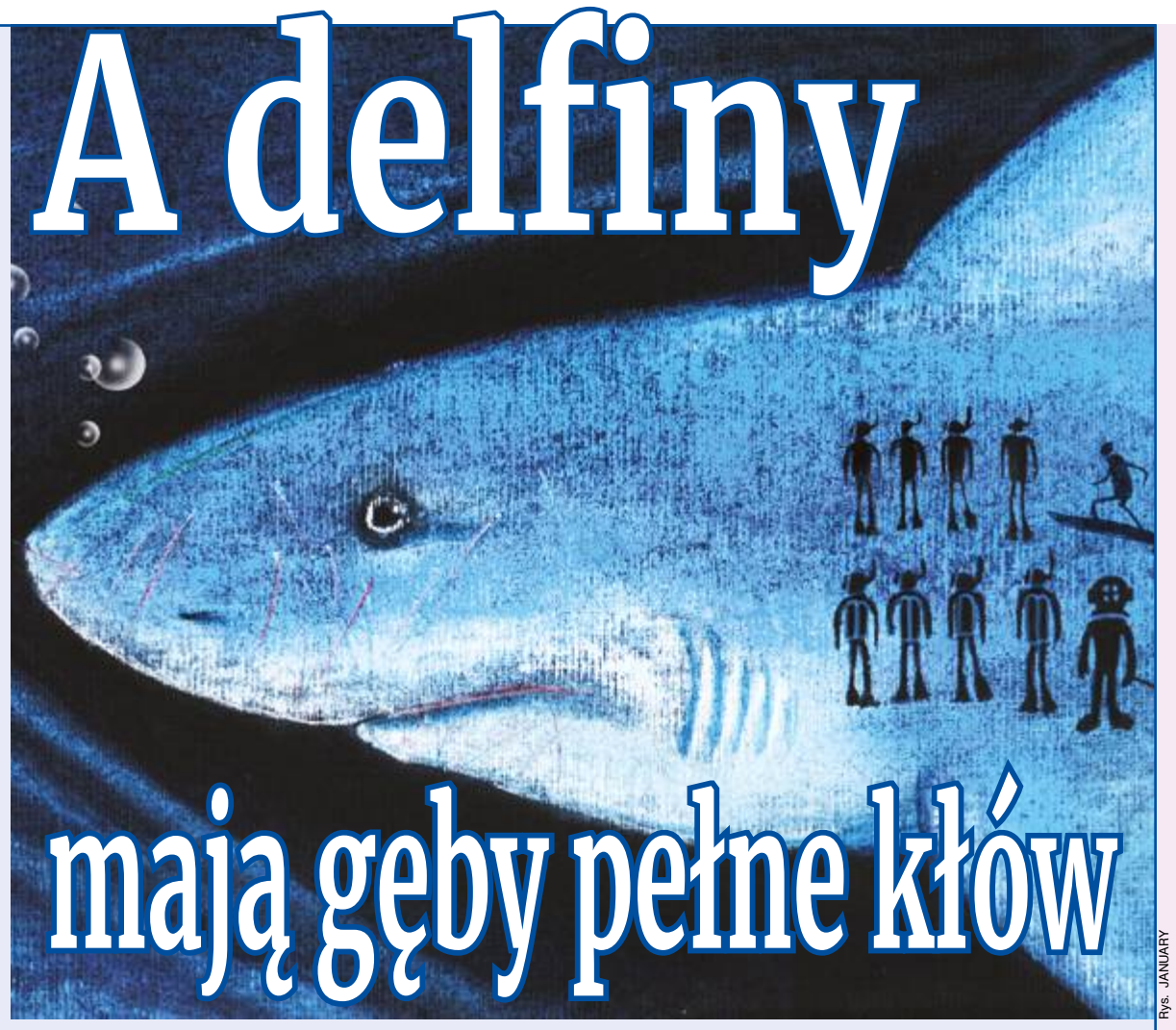

Rys. JANUARY

Biologiczne spojrzenie na politykę historyczną. Bożonarodzeniowa refleksja o zwierzętach, co nie gadają ludzkim głosem. A także o stereotypach i piarze.

Kogo wolicie: rekiny czy delfiny? Pudło!

Rekiny to piękne, szlachetne zwierzęta, ofiary ludzkiego okrucieństwa. Delfiny to zboki i sadyści.

Muśnięcie płetwą

Rekiny swoją fatalną reputację zawdzięczają głównie Hollywood. Kto nie oglądał „Szczęk”? Wystarczy usłyszeć 3 takty motywu przewodniego filmu – luźno opartego na wydarzeniach z New Jersey z 1916 r. (!) – żeby oczami duszy zobaczyć bezwzględną maszynę do zabijania o martwych oczach, która nadciąga, żeby znienacka odgryźć nogę dzieciom radośnie baraszkującym przy brzegu.

Tymczasem z pięciuset istniejących gatunków rekinów zaledwie 3 od biedy mogą zasługiwać na tytuł ludojada: żarłacz biały, żarłacz tygrysi i żarłacz tępogłowy. Tylko te 3 gatunki mogą się poszczycić dwucyfrowymi wynikami w kategorii zabijania ludzi – w odnotowanej historii. Rekiny zabijają od czterech do dziesięciu osób rocznie na całym świecie. Dla porównania – psy: 30 tysięcy. Komary: 750 tysięcy, bo wywołują malarię i gorączkę denga. Ludzie zabijają co roku 475 tysięcy ludzi. Szansa człowieka na śmierć z ręki (szczęki) rekina jest jak 1:3 700 000. Odpierdolcie się od rekinów, OK?

Badacze rekinów podkreślają, że bardzo rzadko atakują człowieka niesprowokowane. Generalnie unikają ludzi. Nawet nie lubią ludzkiego mięsa. Większość ataków spowodowana jest ciekawością: rekin widzi coś dziwnego, co może być foką i robi dużo szumu w wodzie, podpływa więc znienacka, gryzie, nie smakuje mu i znika w oddali. Najczęściej trafia na surferów, co samo w sobie trochę je usprawiedliwia. Poza tym za „atak rekina” media uznają każdą interakcję człowieka z rekinem, nawet jeśli ograniczy się ona do muśnięcia płetwą. Żadne zwierzę na planecie nie ma gorszego piaru.

Tymczasem rekiny są niezwykłym prehistorycznym gatunkiem. Najstarsze rekinie skamieniałości pochodzą z wczesnego dewonu – sprzed czterystu milionów lat. Są nieprawdopodobnym żywym świadectwem ewolucji. Ledwo żywym – bo przez ostatnie 50 lat ich populacja zmniejszyła się o 71 proc.

Ludzie zabijają 100 mln rekinów rocznie – i jest to tzw. konserwatywna estymacja, bo nie wszędzie połowy rekinów są kontrolowane i rejestrowane. Niektórzy naukowcy twierdzą, że liczba ta jest bliższa 273 milionom. Z czego spora większość jest mordowana przez ludzi ze szczególnym okrucieństwem: rekiny są wyławiane z oceanu, po czym rybacy obrzynają im płetwy – przysmak niezbędny do zupy z płetwy rekina – i takie okaleczone, krwawiące i bezradne wrzucają z powrotem do wody na pewną śmierć.

Głupio Wam trochę?

Dymanie na okrągło

To teraz będzie o delfinach.

Jeśli ktoś, tak jak ja, wychowywał się w latach 70., to z całą pewnością jest ofiarą prymitywnej prodelfiniej propagandy zawartej w serialu „Biały delfin Um”. Rozkosznej opowieści o uroczym ssaku morskim, zawsze gotowym nieść pomoc przyjaciołom: chłopczykowi imieniem Janek i dziewczynce Marince. Później było już tylko gorzej: opowieści o inteligencji, empatii, szlachetności i bezinteresowności „uśmiechniętych” delfinów zalewają nas ze wszystkich stron, a 4 kraje – Chile, Kostaryka, Węgry i Indie – uznają nawet delfiny za **„osoby pozaludzkie”**, którym przysługują ludzkie prawa, np. prawo do wolności osobistej.

Nie mam nic przeciwko wolności delfinów, ale z wolnością wiąże się odpowiedzialność. A tymczasem nikt nie myśli, żeby pociągać delfiny do odpowiedzialności np. za gwałty zbiorowe, które należą do ich ulubionych rozrywek.

Są rozliczne świadectwa tego, jak grupy delfinów otaczają samicę, zastraszają ją, gryząc i okładając ogonami, a następnie gwałcą po kolei, co potrafi trwać nawet pół godziny. To dużo gwałtów, zważywszy że delfini stosunek trwa ok. 10 sekund. Na tym nie koniec: delfinie gangi, działające w Zatoce Rekina w Australii – co samo w sobie jest dodawaniem krzywdy do zniewagi – porywają młode delfinice i przetrzymują je tygodniami, gwałcąc regularnie.

Delfiny bowiem – to akurat świadczy o ich pokrewieństwie z ludźmi – mają ochotę na seks na okrągło, w okresach płodnych i bezpłodnych, z przedstawicielami płci przeciwnej oraz tej samej, nie stronią też od kazirodztwa: z braku wyboru gwałcą córki lub matki. Samce delfinów uprawiają homoseksualny seks nasalny, czyli dymają kolegów w dziurę na czole służącą do wydmuchiwania powietrza. Są też bardzo pomysłowe w samozaspokajaniu się: swego czasu karierę na YouTube zrobił filmik z delfinem, który onanizował się truchłem ryby bez głowy (już go nie obejrzycie, YouTube usunął go z powodu **„naruszenia zasad dotyczących nagości i treści erotycznych”**). Zaobserwowano też delfina, który robił sobie dobrze, owijając penisa żywym węgorzem. W razie gdyby ktoś się zastanawiał, jak to robił bez rąk: na końcu fiuta delfiny mają coś na kształt chwytnego palca…

Zabijanie nie na śniadanie

„Pływanie z delfinami” – atrakcja oferowana turystom w wielu ośrodkach wakacyjnych – to bardzo ryzykowna rozrywka. Pół biedy, jeśli chodzi o nieszkodliwe w sumie ocieractwo; ale często molestanci posuwają się dalej. W Dorset wielką popularnością cieszył się swego czasu delfin butlonosy imieniem George, który bardzo chętnie towarzyszył ludziom, ale w pewnym momencie stał się agresywny seksualnie i zaczął brutalnie molestować nurków. W Brazylii w okolicach Caraguatatuba butlonosy delfin Tiao uwielbiał pływać z ludźmi – szczególnie z kobietami – ale gdy stał się zbyt natarczywy i jeden z molestowanych pływaków w dość rozpaczliwej próbie samoobrony (delfin butlonosy ma 2 do 4 m długości i potrafi ważyć pół tony) wsadził mu kij do nosa, Tiao wpadł w szał i poranił 20 osób; jedna zmarła. Przy wybrzeżach hrabstwa Clare w Irlandii przyjacielska zazwyczaj delfinica Dusty dostała amby na widok niejakiej Valerie Ryan.

Kobieta, widząc dziwne zachowanie Dusty, usiłowała zawrócić do brzegu, ale było za późno: oberwała dziobem, co skończyło się pęknięciem ośmiu kręgów, złamaniem dwóch żeber i przebiciem płuca.

Badaczka seksualności delfinów z Uniwersytetu Georgetown prof. Janet Mann opisuje konfrontację stad delfinów butlonosych z delfinami tropikalnymi – zakończoną czymś w rodzaju homoorgii, w której silniejszy gang butlonosych gwałcił mniejszych kolegów.

I – żeby nie było wątpliwości – bezwzględność delfinów nie ogranicza się do egoizmu w seksie. Wykazują także mordercze skłonności: w odróżnieniu od szlachetnych rekinów nie zabijają po to, żeby jeść.

Są dowody na to, że delfiny setkami mordują morświny. Morświny w żaden sposób delfinom nie zagrażają, nie są także konkurencją w walce o pożywienie, gdyż żywią się innymi gatunkami ryb.

Pod koniec lat 90. na plaży Moray Firth w Szkocji pojawiły się setki morświnich trupów z pogruchotanymi kośćmi, zmarłych w wyniku krwotoków wewnętrznych. Zagadka wyjaśniła się, gdy do naukowców zaczęły napływać nagrania, na których delfiny masakrują morświny, okładając je dziobami i gryząc bez intencji zjedzenia. Delfiny mają bowiem bardzo ostre zęby, które jednakowoż nie konkurują w opinii publicznej ze zgrozą umieszczoną w paszczy rekina – jak w pamiętnym songu Brechta: **„A rekiny w oceanie mają zębów pełen pysk”.** Mark Cotter z organizacji Okeanis udokumentował kilka takich masakr, dokonywanych przez grupy młodych delfinów – które, ewidentnie celowo i dla przyjemności, pastwiły się nawet nad martwymi już ofiarami.

Zbiorowe dzieciobójstwo

Oceanolodzy, usiłujący znaleźć jakiekolwiek alibi dla delfiniego okrucieństwa, spekulują, że gangi młodych delfinów wyładowują w ten sposób seksualną frustrację związaną z niedostatkiem samic, które są porywane, zawłaszczane i gwałcone przez bandy starszych i silniejszych osobników. Inni tłumaczą – co jest doprawdy interesującą formą usprawiedliwienia – że pogromy morświnów to trening przed dzieciobójstwem; delfiny znane są bowiem z tego, że mordują własne młode. Ben Wilson, delfinolog z Uniwersytetu Aberdeen, obserwował taki akt, podczas którego dorosły delfin butlonosy bawił się delfiniątkiem – a później trupem delfiniątka – tłukąc je dziobem, wyrzucając w powietrze i łapiąc – i tak przez 53 minuty. Jeszcze inni łagodzą ten przekaz, mówiąc, że to nie trening, tylko pomyłka: w mętnych zimnych wodach północy morświny łatwo pomylić z małymi delfinami. A wszystko dlatego – spekulują badacze – że małe delfiniątka są zależne od matek przez 3 do 5 lat, gwałciciele pozbywają się więc bękartów, żeby mamusie znowu chciały się ruchać…

„Niezwykła inteligencja delfinów” może skłaniać je do zacierania śladów dzieciobójstwa. Gdy pod koniec lat 90. XX w. zaczęto wykrywać trupki delfinków, wyrzucane na różne wybrzeża, naukowcy byli kompletnie zdezorientowani, albowiem obrażenia były prawie wyłącznie wewnętrzne. **„Tylko jeden miał ślad ugryzienia”** – mówi Susan G. Barco, badaczka z Muzeum Nauk Morskich w stanie Wirginia. **„Rozstaw zębów odpowiadał zgryzowi delfina butlonosego. Nie było dowodów na ugryzienie przez rekina lub poranienie przez łódź”.**

Cały ten przydługi wykład służy ilustracji jednej tezy: wiele rzeczy nie jest takimi, jakimi się je przedstawia.

Opowiedzcie o tym dzieciom uczącym się w Czarnkowej szkole o „Solidarności” i „komunistach”.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Romantyzowanie samobójstwa w literaturze, sztuce i popkulturze sprawiło, że wielu samobójców nie dość, że często skazuje siebie na długą agonię w mękach, to jeszcze w razie odratowania tkwi w jeszcze gorszej chujni niż ta, z którą chcieli się rozstać.

Tzw. sytuacja losowa zmusiła mnie do wizyty w siedzibie jednego z towarzystw ubezpieczeniowych. Podczas wypełniania dokumentacji pani konsultantka rzuciła mi ukradkowe spojrzenie i wycedziła przez zęby: **„Listopad był ciężki, dużo samobójstw”.** Przez moje galaretowate ciało przebiegł dreszcz podniecenia! Co jak co, ale żeby się wynieść z tego świata na własne życzenie, trzeba mieć nie tylko wielką odwagę, ale i naprawdę sporo szczęścia.

Już starożytni greccy filozofowie, Arystoteles, Platon czy Sokrates, skłaniali się do potępienia czynu odebrania sobie życia. W Rzymie natomiast miało ono uratować od splamienia honoru, a także pomóc w uniknięciu nadchodzącej porażki i stało się dość powszechne.

Potem przyszło chrześcijaństwo i postawiło na całkowity zakaz popełniania samobójstwa. Synod w Arles w 452 r. ogłosił formalny zakaz odwalania kity na własne życzenie. Podczas synodu w Orleanie w 533 r. Kościół uznał samobójstwo za najgorszą zbrodnię, za którą groził brak pochówku.

Chociaż Polska chrześcijaństwem stoi, dane statystyczne są nieubłagane: w 2020 r. Komenda Główna Policji odnotowała 5165 samobójstw, w 2021 r. było ich 5201 i wiele wskazuje na to, że dane w roku 2022 będą rekordowe. A już i tak jesteśmy w europejskiej czołówce.

Ludzie decydują się kopnąć w kalendarz z różnych powodów. Według danych KGP najczęściej są to choroby psychiczne (1068 przypadków w 2021 r.), trudna sytuacja życiowa i rodzinna (241) oraz zawód miłosny (191). Niepokojące jest to, że największą grupę udanych samobójstw (3183) stanowią te, których powodów nie da się ustalić. Bywa, że jeśli postrzegasz siebie jako uwięzionego w ciemnej i zimnej piździe, to wyjście z niej widzisz tylko jedno: do wieczności. Niestety nieudane samobójstwa bywają gorsze niż nieudane życie. Dlatego zanim ktokolwiek postanowi rozstać się na własnych zasadach z tym łez padołem, warto poznać kilka faktów. Dla własnego dobra.

Na Szekspira. Ten wątpliwej jakości romans zna każdy. Romeo, który nie otrzymał na czas wiadomości, że śmierć Julii jest tylko pozorna, na widok ukochanej w trumnie wypija truciznę. Przebudzona Julia spija resztki trucizny z ust Romea i przebija się sztyletem. Fajnie brzmi, panie Szekspir. Rzeczywistość wygląda jednak inaczej. Dzięki niezliczonym filmom panuje powszechne przekonanie, że podcięcie sobie żył to świetna metoda samobójstwa. Niestety nawet jeśli delikwent będzie ciął wystarczająco głęboko, nad samą arterią, to i tak zajmie to sporo czasu. Wystarczająco sporo, żeby odpuścić, zanim się odleci.

Kosztowne obracanie się w proch.

Miły świąteczny temat: porozmawiajmy o kompostowaniu ludziny.

Na razie mamy w Polsce wybór jedynie między tradycyjnym pogrzebem a kremacją – i jest to wybór quasi-polityczny. Co prawda nie aż tak jak w USA, gdzie mapa pogrzebów i kremacji pokrywa się dokładnie z mapą stanów „republikańskich” i „demokratycznych”, ale i u nas regiony konserwatywne, głosujące na PiS, takie jak Podlasie i Podkarpacie, przodują w zakopywaniu

trupów w całości,

podczas gdy regiony bardziej postępowe wolą krematoria. Oczywiście nie odbywa się to bez udziału czarnej siły: Kościół katolicki teoretycznie zezwala na kremację, ale jest to pewnego rodzaju kapitulacja wobec realiów rynkowych, bowiem tak naprawdę szczerze jej nie znosi. W drugiej dekadzie XXI w. papizm nadal wierzy, że – zgodnie z proroctwem Ezechiela – Bóg „mówi do kości”: **„Włożę na was ścięgna, naprowadzę na was muskuły, powlokę was skórą oraz obdarzę was duchem, byście ożyły”;** w tym samym czasie ksiądz mówi do pogrążonych w żałobie wiernych, ile kosztują 2 mkw. ziemi na parafialnym cmentarzu. Spopielenie zwłok jest ewentualnie dopuszczalne, ale wytyczne z Watykanu z 2016 r. wyrażają oba-

eprasa.pl dc8f67621c

Autoeutanazja

Rys. TOMASZ WIATER

Żeby wjebać sobie sztylet czy nawet nóż kuchenny w bebechy, tętnicę szyjną, udową, nie wspominając o sercu, trzeba mieć podstawową wiedzę na temat anatomii człowieka, a z tym w kraju nad Wisłą bywa raczej słabo.

Na samuraja. O seppuku, rytualnym samobójstwie polegającym na rozcięciu mieczem lub sztyletem brzucha, gdzie według japońskiej tradycji mieściła się dusza, a według współczesnej wiedzy są jelita, przeciętny Polak może zapomnieć. Noże dostępne w sieciówkach rzadko kiedy nadają się do poszatkowania truchła zwierząt hodowlanych, a co dopiero do operacji na wciąż żywym pacjencie. Przedarcie się takim ostrzem przez kilka warstw tkanek drżącą ręką jest niemożliwe. Po takiej akcji zostanie pełen zażenowania wzrok ratowników medycznych i blizna.

Na Paracelsusa. Trucizna to zupełnie inna historia, na dodatek z gorszym od wstydu zakończeniem w razie niepowodzenia. Paracelsus, lekarz i przyrodnik zwany ojcem medycyny nowożytnej, mawiał: **„Wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną. Tylko dawka czyni truciznę”.** Według statystyk młodzież najczęściej sięga po łatwo dostępny paracetamol; ci z kryzysem wieku średniego stawiają na antydepresanty; natomiast starsi wybierają leki nasenne. Większość popełnia ten sam błąd: biorą za mało. Wielu obywateli nieraz zabalowało na imprezie, na której za przekąskę do drinków robiły cukierki bynajmniej nie z salonu Wedla, a jednak nie wyciągnęli kopyt. Wychodzi więc na to, że aby zejść z tego świata, trzeba polecieć naprawdę ostro.

Jeśli delikwent weźmie „prawie” odpowiednią ilość, sprawy przybierają jeszcze bardziej fatalny obrót. Wątroba dostaje z kopa, człowiek robi się żółty, krwawi, skąd się da, dochodzi do encefalopatii (przewlekłe bądź trwałe uszkodzenia w strukturach mózgu), a jedynym ratunkiem jest przeszczep wątroby – krótko mówiąc: sporo gównianych doznań. Naprawdę nie warto.

Picie wybielacza to też zły wybór. Jeden łyk napoju za mało i pozostaje czekać, aż rozpuści się żołądek. Wysoka nota za pomysł, ale za wykonanie zero punktów.

Na Annę Kareninę. Sto kilkadziesiąt osób rocznie postanawia wygumkować swój żywot metodą na Annę Kareninę. Ci, którzy rzucają się pod pociąg, stanowią 2,3–2,8 procent ogółu samobójców. Ta metoda charakteryzuje się wysoką skutecznością. Szacuje się, że umiera 90–95 procent osób podejmujących próbę samobójczą na torach.

Na internetowym forum dla ludzi chcących strzelić samobója krąży instrukcja ustawienia ciała na torach w taki sposób, żeby oszczędzić sobie w ostatnich chwilach cierpienia. Z grubsza wyjaśniając, chodzi o to, żeby wpierw oberwała głowa. Niby logiczne: jeśli lokomotywa upierdoli głowę, reszta ciała nie będzie miała się czym przejmować.

Są też złe informacje. Badania prowadzone w różnych krajach wskazują na znaczącą rolę alkoholu w tego typu przedsięwzięciach (w co czwartym przypadku). Niby fajnie się znieczulić w tym trudnym życiowym momencie, ale mniej fajnie zasilić te pozostałe 5–10 procent i na kacu dowiedzieć się, że w wyniku głupiego pomysłu będzie można parkować na niebieskiej kopercie.

Od siebie dodam, że kilka lat temu byłam pasażerką pociągu relacji Warszawa Centralna–Zielona Góra, pod który wtargnął człowiek. Siedziałam w pierwszym wagonie za lokomotywą i muszę stwierdzić, że estetyka takiej śmierci pozostawia wiele do życzenia.

Na brelok. Najczęściej stosowanym sposobem samounicestwienia w Polsce jest metoda na brelok, czyli powieszenie się. Ponad 70 procent osób usiłujących skrócić sobie żywot wybiera sznur. Zanim ktoś zdecyduje się na niewątpliwą klasykę gatunku, warto poznać historię tej metody. Powieszenie przez wieki należało do najpopularniejszych sposobów egzekucji. W Stanach Zjednoczonych stracono w ten sposób ponad 9 tysięcy skazańców. Do XIX w. stosowano powszechnie tzw. krótki sznur – wieszani w ten sposób dusili się w pętli pod własnym ciężarem. To była śmierć raczej powolna. W Europie zorientowano się, jakie znaczenie mają długość sznura i siła ciążenia. Irlandzki naukowiec Samuel Haughton wykazał, że ciało skazańca musi opaść pionowo z odpowiedniej wysokości, aby doszło do przerwania rdzenia kręgowego i natychmiastowej śmierci. Tak pojawiła się metoda średniego sznura. Ale i ona miała zasadniczą niedoróbkę – sznur był równie średni dla wszystkich skazanych, niezależnie od ich budowy ciała, wzrostu i wagi. Zanim zaczęto uwzględniać te różnice i zanim wiedza o nich dotarła przez ocean do poszczególnych amerykańskich terytoriów, przydarzały się w Ameryce egzekucje jak z horroru – bywało, że człowiekowi o odpowiedniej tuszy, spuszczonemu na sznurze z odpowiedniej wysokości dosłownie urywało głowę, np. Tomowi Ketchumowi, bandycie znanemu jako „Black Jack”, osądzonemu w 1901 r. Warte przemyślenia, jeśli ktoś w szkole średnio ogarniał fizykę i matematykę…

Na wieczność. Ludzie są kiepscy w samobójstwach. Mogłoby się wydawać, że od momentu, gdy osobnik zdecyduje się odebrać sobie życie, będzie już tylko z górki. Nic bardziej mylnego. Co roku życie odbiera sobie 800 tysięcy osób na świecie, a 16 milionów czyni próby nieudane.

W Polsce na ponad 100 tys. prób samobójczych ginie 5 tysięcy osób. Ludziom nie udaje się zabić, bo tak naprawdę nie chcą umierać.

Życie może wydawać się niewarte ciągnięcia, ale śmierć na pewno nie jest warta zachodu.

IDALIA DUBICKA

Kompost z ludziny

wę, żeby decyzja o upieczeniu dziadka nie była podjęta **„z wolą odrzucenia chrześcijańskich dogmatów, w duchu sekciarskim albo też pod wpływem nienawiści wobec religii katolickiej i Kościoła”.**

Jako że

nienawiść do Kościoła

i religii jest w Polsce postawą coraz powszechniejszą, także kremacje zyskują na popularności – stanowią już 40 proc. pogrzebów. To niezły wynik, ale jest jeszcze wiele do zrobienia.

Zwłaszcza że dziura w ziemi kontra piec nie jest jedyną alternatywą.

Na rewolucyjny pomysł wpadła Katrina Spade, architektka i ekoaktywistka z Seattle, która w 2014 r. założyła organizację Urban Death Project – w luźnym tłumaczeniu: Projekt Miejska Śmierć – poświęconą stworzeniu w centrach miast ludzkich kompostowni.

Spade zaczęła swoją radosną przygodę z kompostowaniem ludzi pod wpływem zajmującej się gleboznawstwem biolożki Lynne Carpenter-Boggs z Uniwersytetu Stanu Waszyngton, która opracowała ekologiczne metody utylizacji inwentarza żywego na farmie. Od kiedy przerabianie padłej krowy lub konia na żelatynę, klej albo psią karmę nie uchodzi już za dopuszczalne rozwiązane problemu logistycznego – uczeni głowią się nad sposobami pozbycia się padliny bez użycia spalarni, co jest kosztowne finansowo i ekologicznie. Tak powstał pomysł kompostowania. Wychodząc ze słusznego założenia, że chemicznie ciało ludzkie nie różni się specjalnie od zdechłego cielaka czy rozjechanego oposa, Spade postanowiła zaprojektować stylowy kompostownik na ludzinę.

Wygląda on jak biały

plaster miodu

wielkości trzypiętrowego budynku. Każda komórka to osobny walec o rozmiarach 2,5 na 1,2 m, w którym trupa w bawełnianym worku – zwanym uprzejmie całunem – układa się na warstwie trocin, siana i lucerny. Bogata w azot lucerna służy do podniesienia temperatury gnicia; przy utylizacji zwierząt gospodarczych używa się w tym celu obornika, ale Spade słusznie uznała, że przy utylizacji ludzi może to być uznane za nietakt.

Bliscy zwłok mogą je pożegnać, a także dołożyć do kompostownika różne symbole przywiązania – pod warunkiem że także mają potencjał gnilny (kwiaty, listy itp.). Następnie wspólnie przysypują zwłoki trocinami i machają do nich, gdy wjeżdżają do walca, gdzie zostają na sześć do ośmiu tygodni, obracane w regularnych interwałach niczym leżakujące butelki wina, nawilżane i odpowietrzane przez specjalne filtry, co pozwala uniknąć sytuacji, w której dziadek cuchnie pod niebiosa. Po tym czasie ziemię z resztkami dziadka wyjmuje się z walca, odsiewa sztuczną szczękę i endoprotezę biodra, a także większe fragmenty kości. Części sztuczne trafiają do recyklingu, kości i zęby do blendera, a ziemia do suszarni, gdzie przez następne dwa do czterech tygodni poddawana jest łagodnemu procesowi odwilgacania. W końcu – dwa do trzech miesięcy po zgonie – rodzina dostaje około metra sześciennego najwyższej jakości kompostu.

„Poziom pH kompostu ludzkiego wynosi zwykle od 6,5 do 7 i jest odpowiedni dla większości roślin. Przewodnictwo elektryczne jest umiarkowane, co wskazuje na obecność jonów rozpuszczalnych. Jako nawóz kompost ludzki posiada zbalansowaną kompozycję azotu, fosforu, potasu i siarki, co zapewnia dobrą zawartość składników odżywczych i wysoki poziom makroelementów” – informuje z dumą organizacja Spade.

Jeśli ktoś nie ma ochoty bawić się w ogrodnika z

resztkami dziadka,

może oddać go organizacji Remember Land, opiekującej się 300-hektarowym lasem Bell Mountains na terenach należących kiedyś do Czinuków i Saliszów. Remember Land ma za cel **„wdzięczną celebrację przeszłości i teraźniejszości tych plemion, ich trwałego związku z tą ziemią”.** Dziadek będzie użyty do nawożenia szkółki leśnej, naprawiania skutków erozji, wypełnienia ubytków w glebie, słowem: **„składniki odżywcze, które kiedyś były ciałem człowieka, powrócą do ziemi”** – piszą z natchnieniem organizatorzy nowej formy pochówku.

Są też pewne rozczarowania. Gdy w 2015 r. „New York Times” po raz pierwszy pisał o Spade i jej rewolucyjnym projekcie powrotu do naturalnego cyklu węglowego po śmierci – zapowiadała ona, że kompostowanie jednego trupa będzie kosztować 2,5 tys. dolków. Dziś na wyrafinowanej, utrzymanej w jasnych pastelowych barwach stronie internetowej Recompose – komercyjnej korporacji, w którą przerodził się założony jako organizacja non profit Projekt Miejska Śmierć – cena przekształcenia ukochanego zmarłego w nawóz wynosi 7 tys. dolarów plus dodatkowe 350 dolków za wynajęcie na godzinę pomieszczenia na ceremonię pożegnalną (posypywanie trupa trocinami) i drugie 350 za godzinny dostęp do pokoiku, gdzie można odprawić dyskretny rytuał religijny, zrobić zwłokom stosowną fryzurę i pomalować paznokcie. Do tego dochodzi cena za transport: od 300–400 dolarów za dostawę trupa z sąsiednich hrabstw do 1200 za przewiezienie z drugiego końca stanu.

„Nie chcę, aby mój ostatni gest jako istoty ludzkiej był wielkim fuckiem adresowanym do naszej planety” – zwierzała się Spade kilka lat temu w jednym z natchnionych jej wizją reportaży. Spade ma zaledwie 45 lat, od jej ostatniego przedśmiertnego gestu dzielą ją zapewne dekady. Na razie pokazuje wielkiego fucka frajerom, którzy uwierzyli w jej czyste intencje ekologiczne.

AWŁ

eprasa.pl dc8f67621c

Pisanie jak ruchanie

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Zdradzamy największą tajemnicę polskich uczelni.

Zygmunt Bauman zwykł mówić, że jeśli ja ci dam dolara, a ty mi dasz dolara, to po takiej wymianie nadal będziemy mieć tylko po dolarze. Jeśli jednak ja ci dam jedną myśl, a ty mi się odwdzięczysz myślą, to każdy z nas będzie mieć po dwie myśli. Czas zatem podzielić się kilkoma myślami, które mogą uprościć życie wielu ludziom.

Gdy byłam małą dziewczynką, z utęsknieniem czekałam na prezenty pod choinką. Szybko jednak odkryłam, że o wiele większą frajdę niż otrzymywanie prezentów sprawia mi obdarowywanie nimi innych. Ale co ja mogę dać innym poza częstowaniem żuli na dworcu fajkami? Długo nad tym myślałam. I w końcu wymyśliłam.

Skoro w ciągu kilkunastu lat opublikowałam grubo ponad setkę artykułów, wypromowałam trzycyfrową liczbę dyplomantów i magistrantów, to mogę udzielić praktycznych wskazówek, jak pisać prace studenckie i naukowe. Takich, które ułatwią życie męczącym się nad magisterkami, doktoratami, habilitacjami, a niekiedy nawet próbującym publikować w dobrych czasopismach zagranicznych, co mnie zresztą też się zdarza.

1. Profesor Google

Jest takie powiedzenie – nie ma w Google, nie ma w ogóle. Coś jest na rzeczy, zatem pisanie publikacji naukowych warto zacząć od odpalenia serwisu akademickiego Google Scholar. Wpisujemy tam temat naszych rozważań, jakieś słowa kluczowe, najważniejsze pojęcia, wokół których będzie się kręcić nasz tekst. Praktycznie zawsze okaże się, że w chuj ludzi na całej kuli ziemskiej zajmowało się już tym przed nami. Stąd przydatne jest wyszukiwanie fraz nie tylko po polsku, chociaż nie warto martwić się nieznajomością języków obcych – do tego tematu wrócę później.

Rzecz jasna, algorytmy Google są owiane tajemnicą i tak naprawdę do końca nikt nie wie, dlaczego dany rekord pojawia się na miejscu pierwszym czy drugim, a jaki na tysięcznym, po który zapewne nie sięgnie nawet pies z kulawą nogą. Ale najczęściej jest tak, że google'owska sztuczna inteligencja wypluje na początkowych stronach teksty najistotniejsze, najczęściej cytowane, pojawiające się w renomowanych wydawnictwach itp. Czyli naprowadzi nas na dobre tory.

Jeśli mamy szczęście, to okaże się, że sporo z interesującej nas literatury będzie w wolnym dostępie i po kliknięciu w linki zyskamy do nich dostęp, a często będziemy mogli je pobrać w formacie PDF. Trzeba sięgnąć również do serwisów akademickich z pracami naukowymi, takich jak ResearchGate, Academia czy baz danych czasopism. Gdybyśmy byli Niemcami, Holendrami czy Brytyjczykami, mielibyśmy zapewniony przez naszą szkołę wyższą dostęp do baz danych książek i pism naukowych, ale polski akademik i student jest jak Chuck Norris we wczesnych filmach: musi walczyć gołymi rękami, zdobywając coraz lepszą broń na wrogu.

I tu pojawia się kwestia delikatna, a mianowicie to, czego nie należy absolutnie robić, czyli korzystać z rosyjskich serwisów pirackich. Nawet jeśli wszyscy, których znam, to robią i czerpią z tego niemałe profity zawodowe, zdobywają granty, nagrody rektora i takie tam… I niniejszym chciałam podkreślić – odpowiadając na rzucane na mnie kalumnie – że to absolutnie nieprawda, że dzięki temu pobrałam kilkanaście tysięcy plików, za które musiałabym zapłacić może i milion dolarów. Inna rzecz, że to by z kolei potwierdzało, że pierwszy milion trzeba ukraść…

2. Abordaż ruskich piratów

Chciałam zaprotestować przeciwko używaniu przez rodzimych akademików – wzorem studentów i uczonych z Chin i Indonezji – rosyjskich serwisów, które umożliwiają nielegalne pobieranie książek i artykułów naukowych. Projekt Library Genesis (LibGen) – warto zapamiętać tę nazwę, rzecz jasna po to, aby wiedzieć, czego unikać – to największa na świecie darmowa biblioteka cyfrowa.

Odsłona książkowa pozwala na ściągnięcie milionów (sic!) książek w różnych formatach, a można je wyszukać dzięki intuicyjnej wyszukiwarce. Odsłona z czasopismami (zwana sci-hub), które zasysa po identyfikatorach cyfrowych (z angielska zwanych DOI) lub z innych witryn, w ostatnim miesiącu pozwoliła – jak chwalą się twórcy serwisu – na ściągnięcie w samych Chinach ponad 56 mln artykułów.

Nie dziwota, że w niektórych krajach – jak w Wielkiej Brytanii – sądownie blokuje się sci-huba, toteż mieszkający na Wyspach używają alternatywnych wirtualnych lokalizacji, choćby amerykańskich, dzięki czemu pobierają teksty, stosując tzw. VPN-y.

Globalne korporacje akademickie – chciwe i oparte na bezpłatnej pracy nieprzeliczonej rzeszy uczonych – wytaczają procesy LibGenowi w różnych krajach na świecie. Sędziowie skazują serwis na kary rzędu wielu milionów dolarów, ale długa ręka wymiaru sprawiedliwości krajów zachodnich nie sięga jeszcze Rosji.

Źli ludzie mówią, że bezprecedensowa fala tekstów polskich uczonych w zagranicznych pismach, jaka przetoczyła się w ostatnich latach, byłaby niemożliwa bez LibGena, ale kto by im wierzył. Jestem pewna, że rodzimi akademicy brzydzą się piractwem, na dodatek ruskim!

3. Głęboki język

Wiem, że wielu naukowców lubi głębokie gardło, ale jeśli nie są oni poliglotami, to powinni polubić – co tam polubić, pokochać! – głęboki język, czyli po angielsku Deep Language, w skrócie DeepL. Rozwiązuje on w sposób mistrzowski odwieczny problem uczonych, a mianowicie barierę językową uniemożliwiającą zapoznanie się ze stanem badań w danej gałęzi wiedzy, wytworzonych w innym języku.

Skoro pisałam o Amerykanach, Ruskich, to czas na Niemców, kolońskich właścicieli tłumacza DeepL. Owo cudo sztucznej inteligencji bije na łeb wszystkie inne popularne i darmowe translatory, włącznie z korporacyjnym Google'em i Amazonem. Niezależne badania dowiodły, że DeepL jest od nich nawet sześciokrotnie dokładniejszy. Co więcej, program ten jest w wersji podstawowej bezpłatny.

Co ważne, owo teutońskie cudo obsługuje nie tylko języki międzynarodowe, ale także polski, estoński czy słoweński. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co piszą Chińczycy o naszym nadwiślańskim kraju, możesz się tego dowiedzieć w sekundę.

Rzecz jasna nie jest to narzędzie doskonałe – choćby tłumaczenia na polski są nieco słabsze od tłumaczeń z naszego na języki obce – ale jeszcze nigdy w historii ludzkości zapoznanie się z dorobkiem światowym nie było tak łatwe. Spełniają się wizje Marksa i Engelsa z „Manifestu komunistycznego" o **„wszechstronnej współzależności narodów"** i erze literatury światowej wypierającej literatury narodowe. W przypadku literatury naukowej jest to już – także dzięki DeepL – zwykła codzienność.

4. Uczniowie czarnoksiężnika

Śmieszy mnie, jak wielu moich znajomych akademików puszy się tym, że publikuje książki, rozdziały w zbiorówkach i artykuły naukowe. Rację miał ironista Thorstein Veblen, który twierdził, że uczeni są pogrobowcami szamanów, przekonanymi, że posiedli wiedzę tajemną niedostępną umysłom szaraczków. Nie ma w tym chełpliwym stanowisku krztyny prawdy.

Postęp technologii powoduje, że każdy w miarę ogarnięty człowiek może bez trudu stworzyć licencjat, magisterkę, a nawet cenioną książkę naukową.

Rację miał Arthur C. Clarke, mówiąc, że wystarczająco zaawansowanej technologii nie sposób odróżnić od magii. Jako demokratka, która cieszy się z postępu, witam to z nieukrywaną radością. Akademii przyda się świeża krew i nowoczesne spojrzenie, nieobarczone złudnym poczuciem wyższości i pogardą dla zwykłych ludzi.

Dobre i złe naukowe pisanie jest obecnie proste jak ruchanie – co było do udowodnienia. Ale niczym w ruchaniu można to robić marnie, dość poprawnie, ale tylko w drodze wyjątku po mistrzowsku.

Z.J.

Rys. TOMASZ WIATER

Zastąpić kapitalizm czymś fajnym.

Jeszcze jako nastolatka na początku lat 90. XX w. pisałam markerem na ścianie w szkolnym korytarzu: **„Komuno, wróć!"**. Nie tylko mnie wkurwiał polski kapitalizm, czego dowodem były kolejne sukcesy dawnych komuchów w wyborach. Jak to ktoś żartobliwie kiedyś powiedział, ludzie nie chcieli powrotu komuny, ale chcieli, żeby było jak za Gierka. Prawdę mówiąc, pamiętam końcowe kilka lat realnego socjalizmu i nie bardzo za nim tęsknię.

Ostatnie lata rządów generała Jaruzelskiego to był syf, kiła i mogiła, przynajmniej dla dzieciaka, który mieszkał w miejscowości zapomnianej przez bozię i sekretarza wojewódzkiego nieboszczki partii. Gdy miałam 6 lat, wysyłano mnie co poniedziałek rano do sklepu i czekałam kilka godzin na przywiezienie towaru, dzierżąc w ręku kartki na mięso. Czas się dłużył niemiłosiernie, a jedyną rozrywką – bo nie było wtedy smartfonów – było obserwowanie pijących wódkę z musztardówek alkoholików, wśród których brylowała sprzedawczyni, zwana potocznie sklepową.

Pamiętam też szary papier toaletowy, szorstki jak papier ścierny, którego wieczne braki zwiększały sprzedaż gazet, używanych często gęsto do podcierania tyłka. Liberałowie do dziś straszą młodych ludzi o poglądach lewicowych, że jak chcą komuny i centralnego planowania, to muszą pożegnać się z Netfliksem i stać godzinami w kolejce nie po kolejne modele iPhone'a, lecz po podstawowe produkty, racjonowane jak w czasie wojny.

Ale okazuje się, że może być inaczej, a przynajmniej tak przekonuje brytyjski dziennikarz Aaron Bastani, autor książki pod prowokacyjnym tytułem „W pełni zautomatyzowany luksusowy komunizm. Manifest", która niedawno ukazała się po polsku. Warto zapoznać się z jego linią rozumowania, działającą jak odtrutka między siermiężnym państwem pseudodobrobytu PiS-u a neoliberalnymi ciągotami tzw. opozycji demokratycznej.

Komuniści piją toast

W Pełni Zautomatyzowany Luksusowy Komunizm (WPZLK) to

Krótki słownik postępowego języka dla lewicowych dinozaurów.

Chcecie porozumieć się z wnuczką? A nawet z wnukiem, jeśli wyjątkowo nie głosuje na Konfederację? Przeczytajcie, wytnijcie, nauczcie się na pamięć.

Tak, wiem, ja też uważam, że postępowy język zawiera terminy takie jak **„wyzysk klasowy"** i **„fałszywa świadomość"**, ale okazuje się, że to już jest całkiem wsteczne. Nowy lewicowy język nie zajmuje się losem klasy robotniczej, tylko wszystkich grup, które są – lub uważają się za – dyskryminowane.

Woke – to słowo, bez którego nie ma postępu. **„Woke"** to niepoprawna gramatycznie forma słowa **„woken"** – co oznacza **„obudzony"** czy też raczej **„przebudzony"** – zaczerpnięta ze slangu, który dziś poprawnie nazywamy **„afrykańsko-amerykańskim angielskim"**. Pierwotnie oznaczało czujność na przejawy uprzedzeń i dyskryminacji rasowej w działaniu i języku (tego ostatniego dopuściłam się przed chwilą, opisując formę imiesłowu jako niegramatyczną); obecnie obejmuje nieskończoną kategorię zjawisk związanych z postępowym światopoglądem. **„Wokeness"** – przetłumaczyłabym to jako **„przebudzeństwo"** – to czujność na nierówne traktowanie gejów i osób transpłciowych, kobiet i zwierząt – w zasadzie każdego, kto nie jest bogatym białym mężczyzną. Jak to bywa

eprasa.pl dc8f67621c

Szampańska komuna

koszmar każdego neoliberała i konserwatysty. Snują oni rozważania, opierając się na założeniu gospodarki niedoboru – cennych rzeczy jest zawsze za mało, toteż muszą one sporo kosztować i wielu osób nie będzie na nie stać. Bastani twierdzi, idąc śladem Karola Marksa, że dzięki technologiom wszystkiego może być dużo, bardzo dużo i wciąż więcej.

Skoro potrzeby ludzkie zmieniają się wraz ze zmianami otoczenia, to nigdy wszystkiego nie będzie za dużo. I tak marzeniem dla rzeszy nędzarzy w Indiach jest spożywanie co najmniej 2 tys. kalorii dziennie i dochody w wysokości 500 dolarów miesięcznie, a na drugim końcu skali bogactwa ludzie płacą za podróże w kosmos i pałace nad Loarą.

Bastani ma rację, że choć marksizm kojarzy się z walkami społecznymi o prawa robotników, to – jeśli wczytać się dokładnie w pisma klasyków – idzie im o to, aby pracować najemnie jak najmniej.

Prawdziwy komunizm (czy, jak kto woli, socjalizm) zakłada, że życie zaczyna się w czasie wolnym. A brudną robotę niech wykonują maszyny.

Stąd też nie ma co się bać automatyzacji, postępu technicznego, lecz należy przywitać go z radością.

Jak wykorzystać mnóstwo wolnego czasu, gdy – jak by powiedział anarchistyczny antropolog David Graeber – nie trzeba będzie wykonywać gównianej pracy? To pytanie za sto punktów, ale – jeśli Marks miał rację – będzie to wreszcie szansa, żeby pokazać, na co nas stać, uwolni się ludzka kreatywność, wskoczymy z królestwa konieczności do królestwa wolności.

Tok myślenia o WPZLK najlepiej pokazać na prostym przykładzie. Wiadomo dziś, że przejście setek milionów ludzi na dietę mięsną w bogacących się Chinach czy Indiach jest zabójcze dla planety, dlatego – co jest skądinąd najzdrowsze dla naszego organizmu – powinniśmy wszyscy

ilust. WŁODEK KIERUS

być weganami. A co, jeśli ktoś lubi mięso i nabiał? Z odsieczą przychodzi syntetyczne mięso, równie smaczne jak zwierzęce, ale pozyskiwane dzięki najnowocześniejszym technologiom inżynierii genetycznej.

A co, jeśli ktoś lubi pić szampana, a zdaje sobie sprawę, jak uciążliwa dla środowiska jest uprawa winorośli? Naukowcy dla niej czy dla niego przygotują sztucznego szampana, nieustępującego w niczym najlepszym rocznikom dom pérignona. Co mi skądinąd przypomina „Kongres futurologiczny" Lema, w którym pojawia się wątek jedzenia i alkoholu produkowanych bardzo ekologicznie, bo z ludzkich wydzielin…

Pytania bez odpowiedzi

Książka Bastaniego, jak mówi podtytuł, jest manifestem, a nie drobiazgową analizą naukową, jaką można spotkać choćby u najwybitniejszego obecnie marksisty, amerykańskiego geografa o brytyjskich korzeniach Davida Harveya. „W pełni zautomatyzowany…" ma jednak kilka słabszych punktów, które rzucają cień na rozważania autora. Wyłuszczmy je.

Po pierwsze, nawet uznając możliwość istnienia luksusowego komunizmu, jego zaprowadzenie napotkałoby ogromny opór. Rację miał Marks, że ludzie sami tworzą swoją historię, ale w warunkach, jakich nie wybierali. Dziś przywódcy nawet najpotężniejszych państw są wpatrzeni w multimiliarderów dolarowych jak ptak w grzechotniki. Sprawdza się marksowska diagnoza, że pieniądz jest formą władzy społecznej. Elon Musk więcej znaczy w globalnej polityce niż przywódcy dziesiątków małych i biednych krajów świata. Czy on i jego koledzy – bo to męskie grono – megakrezusi będą spokojnie patrzeć, jak ich fortuny znikają? Czy raczej użyją wszystkich swych nieprzebranych możliwości wpływu – choćby posiadanych przez siebie mediów, tradycyjnych, streamingowych i społecznościowych – aby sabotować pożądane przez miliardy ludzi zmiany?

Po drugie, czytając Bastaniego – a w książce znać rękę doświadczonego pismaka – ma się uczucie déjà vu. Owe bajeczki o supertanich towarach i usługach dla każdego brzmią niepokojąco znajomo. Przypominają powojenne utopie technologiczne. Świetnie pokazuje to Stephen Del Sesto w publikacji z roku 1986 „Wasn't the future of nuclear energy wonderful?". W latach 50. i 60. XX w. obiecywano, że energia atomowa będzie tak tania, że nie będzie się opłacało jej mierzyć. Że prędzej czy później poprawi los każdego człowieka. A potem przyszły Czarnobyl i Fukushima…

Po trzecie i być może najważniejsze, nie jest do końca jasne, czy luksusowy komunizm nie wyrodzi się w społeczny koszmar. Jeśli jednostki nadal, jak w obecnej fazie kapitalizmu, będą skupiać się na konsumpcji bez granic, to ceną będzie jeszcze większa alienacja i izolacja człowieka od człowieka. Bo, powtórzmy za Baumanem, skoro wszystko jest płynne, niedookreślone i chwiejne, to siłą rzeczy takie same muszą być relacje międzyludzkie. Druga osoba staje się nie celem, lecz narzędziem do zaspokajania naszych nawet już nie potrzeb i pragnień, lecz zachcianek.

Socjalizm albo barbarzyństwo

Na naszych oczach spełnia się chińskie przekleństwo: obyś żył w ciekawych czasach. A czasy mamy niespokojne, ludzie są zalęknieni i boją się o przyszłość. Jak pisze we wstępie do książki Bastaniego Krystian Szadkowski, szef Fundacji im. Edwarda Lipińskiego: **„Kryzys niejedno ma imię. Media codziennie odmieniają to słowo przez wszystkie przypadki: kryzys klimatyczny, kryzys zdrowia publicznego, kryzys finansów publicznych, kryzys migracyjny, kryzys kończących się zasobów, kryzys paliwowy. Nasza planeta płonie. Tymczasem politycy, korporacje i ekonomiści wydają się zgodni w kwestii pożądanego rozwiązania. Zaciskanie pasa, ograniczanie długu publicznego, prywatyzacja, zwinięcie państwa i inwestycji publicznych".**

Siłą wizji luksusowego komunizmu jest to, że próbuje naszkicować realia socjalistyczne, podczas gdy znacznie łatwiej wyobrazić sobie nam koniec świata niż koniec kapitalizmu. Gwoli ścisłości, potęgę globalnych rynków może zastąpić jakaś forma totalitaryzmu, świata zamordystycznej dystopii. A ja nie lubię dyktatur, nie tylko brunatnych, ale też czerwonych czy zielonych.

Jeśli nie zaczniemy – nie jutro, nie za rok, ale tu i teraz – pracować na rzecz fajnej szampańskiej komuny, to czeka nas los z serii filmów „Mad Max" albo opowiadań Philipa K. Dicka, czyli wojen o zasoby naturalne: wodę, pożywienie i źródła energii. To właściwie już się dzieje: co baczniejsi obserwatorzy zwracają uwagę, że u źródeł rosyjskiej agresji na Ukrainę leży m.in. próba przejęcia żyznych pól naszego wschodniego sąsiada. Sukces Putina oznaczałby, że nie tylko węglowodory, ale i eksport zbóż byłby potężną bronią w arsenale rosyjskim. To ja już zdecydowanie wolę WPZLK, jeśli obecnie nie ma nic lepszego pod ręką.

ZUZANNA JURCZYŃSKA
zuzanna.jurczynska.69@gmail.com

Gdzie zerka dziaderka

w takich przypadkach, słowo **„woke"** zostało przejęte przez konserwatywny komentariat – a także progresywnych, choć niepoprawnych komików – i służy do opisania postawy, która każe reagować z oburzeniem na zdanie brzmiące np.: **„Kobiety nie mają penisów".**

Przebudzeństwo ma bogaty i ciągle się rozwijający język, głównie służący do karcenia postaw niedostatecznie przebudzonych. Poniżej subiektywnie dobrana garść przykładów.

Blackface – dosłownie **„czarna twarz".** Najgorsza rasistowska zbrodnia: pomalowanie białej twarzy na czarno. Niewątpliwie 100, a nawet 50 lat temu tego typu makijaż miał charakter wredny i obelżywy – biali artyści występujący z **„czarnymi twarzami"** wyglądali karykaturalnie, głównie przez monstrualnie wielkie usta, i zachowywali się idiotycznie, co miało oddawać niższość **„Murzynów"** (**„Murzyn",** gdyby ktoś nie wiedział, jest także słowem niecenzuralnym, stąd cudzysłów). Jednak dziś wszelki rodzaj przyciemniającego makijażu uważany jest za rasistowski – premier Kanady Justin Trudeau miał wielkie kłopoty, gdy okazało się, że 20 lat temu pomalował sobie twarz na czarno na jakimś balu maskowym w ramach przebrania się za postać z „Księgi tysiąca i jednej nocy", choć bynajmniej nie planował wyglądać groteskowo – ewidentnie sądził, że jest w tym stroju bardzo przystojny. W Polsce gównoburza powstała wokół ciemnego makijażu dwojga uczestników programu „Twoja twarz brzmi znajomo", odgrywających ciemnoskórych artystów Tinę Turner i Billa Withersa. Trudno odpowiedzieć, co wobec tego zrobić z tego typu telewizyjnym formatem w kraju, gdzie brakuje ciemnoskórych uczestników – czy wykluczyć czarnych artystów spośród wzorców do naśladowania? Czy to nie byłoby rasistowskie?

Bropropriating – występek z kolei seksistowski. Zbitka słów **„bro" („brachol", „ziomal")** i **„appropriating":** nagminnie występująca w patriarchalnych społeczeństwach sytuacja, w której mężczyzna przypisuje sobie sukcesy kobiety lub kradnie jej pomysły.

Cisgender – po polsku **„cispłciowość"** – to nie do końca jest coś złego, ale warto zachować czujność. Cispłciowość to słowo, które jeszcze kilka lat temu mogło się wydawać niepotrzebne – w tych zamierzchłych czasach, gdy zdawało się, że starczy „hetero" i „homo". Osoba „cis" to osoba, której płeć społeczno-kulturowa zgadza się z tą przypisaną przy urodzeniu. Dopuszczalne, ale niezbyt postępowe.

Cultural appropriation – **„zawłaszczanie kulturowe"** – następuje wtedy, gdy biali ludzie robią rzeczy, które wymyślili niebiali: noszą dredy przynależne Afrykanom albo kolczyki w formie wielkich złotych kół, popularne wśród Latynosek. Specjaliści od śledzenia tego zjawiska zalecają białym kobietom noszenie mniejszych kolczyków. Za zawłaszczenie kulturowe uchodzi także jedzenie – a już zwłaszcza gotowanie – potraw kuchni mniejszości. Np. **„pozbawione szacunku i obraźliwe"** jest działanie **„nieazjatyckich szefów kuchni, którzy z sukcesem sprzedają klientom niewłaściwe interpretacje kuchni azjatyckiej".**

Deadnaming – zrost **„śmierci"** i **„imienia":** używanie imienia (czasem także nazwiska), które osoba transpłciowa nosiła przed tranzycją. Np. przypomnienie, że Caitlyn Jenner przez 64 lata była Bruce'em – mistrzem olimpijskim w dziesięcioboju lekkoatletycznym na igrzyskach w Montrealu w 1976 r.

Gaslighting. Bardzo ciekawy termin, który jeszcze nie dorobił się swojej polskiej odmiany, wywodzący się z thrillera George'a Cukora z 1944 r. o takim właśnie tytule. Film był o facecie, który doprowadzał swoją żonę do szaleństwa, organizując w domu różne dziwne zjawiska – np. gasnące i zapalające się bez powodu lampy gazowe (stąd tytuł) – a później wmawiając jej, że jej się przywidziało. **„Gaslighting"** to forma przemocy – głównie domowej, głównie uprawianej przez mężczyzn wobec kobiet – która polega w największym skrócie na robieniu z baby wariatki.

Mansplaining – połączenie słów **„man" („mężczyzna")** i **„explaining" („wyjaśnianie"):** specyficzny sposób, w jaki mężczyźni wyjaśniają kobietom świat, tak żeby zmieściło się to w ich ślicznych główkach. Termin ukuty przez feministyczną badaczkę Rebeccę Solnit po rozmowie z przypadkowo spotkanym na przyjęciu facetem, który wyjaśniał jej sens jej ostatniej książki – i nie przestał nawet wtedy, gdy się dowiedział, że rozmawia z autorką. Po polsku czasem nazywany **„panjaśnieniem"** lub **„tłumaczyzmem".**

Manterrupting – **„man"** plus **„interrupting",** czyli **„przerywanie".** Powszechny w dyskusjach naukowych i telewizyjnych zwyczaj przerywania wypowiedzi kobiet przez – nie zgadniecie – mężczyzn.

Queerbaiting. To jeden z moich ulubionych dyskryminacyjnych występków: **„wabienie na gejostwo".** Cierpliwości, tłumaczę: to taki zabieg przy promowaniu filmów i przedstawień, gdy w zwiastunach wykorzystywana jest scena sugerująca relację homoseksualną – dwie kobiety się całują, dwaj faceci trzymają za rękę – a później się okazuje, że pocałunek był eksperymentalny, a gest przyjacielski i bohaterowie tak naprawdę nie są LGBT. Grzech polega na tym, że osoby nieheteronormatywne liczą na to, że zobaczą na ekranie reprezentantów swojego środowiska, a potem muszą znów oglądać heteryków.

Speciesism – **„gatunkowizm";** stawianie interesów własnego gatunku – *Homo sapiens* – ponad interesami innych gatunków. Pojęcie, które zrodziło się jako protest przeciwko bezdusznemu traktowaniu zwierząt – w takim sensie używa go np. Richard Dawkins – rozwinęło się do tego stopnia, że powstały prace naukowe porównujące jedzenie mięsa i noszenie skórzanej odzieży do Holokaustu.

Dla porządku: mam pełną świadomość, że powyższy słownik trąci dziaderstwem. Ale, po pierwsze, skończywszy 50 lat, czuję się oficjalnie uprawniona do uprawiania dziaderstwa. A po drugie i ważniejsze, nie jestem entuzjastką tej koncepcji, w której progresywność polega głównie na śledzeniu i piętnowaniu u innych – zwłaszcza lewicowców – myślozbrodni bycia nie dość progresywnym.

Daleko tak nie zajedziemy, towarzysze.

AWŁ

eprasa.pl dc8f67621c

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Księża do gazu...

...prądu i paliwa. Nadzwyczajna kasta pławi się w rabatach.

Gruchnęła wieść, że księża mają rabat na Orlenie. 16 groszy na litrze w kryzysowych czasach to już coś, zwłaszcza gdy ktoś sporo jeździ. Koncern dowodzony przez Obajtka nie wypiera się i nie widzi w tej promocji nic zdrożnego. W oficjalnym stanowisku przedstawiciele Orlenu stwierdzili, że stało się tak na zasadzie **„standardowej umowy biznesowej, zawartej na warunkach rynkowych. Z tego produktu, na zasadach rynkowych, korzystają również inne instytucje, stowarzyszenia, fundacje czy podmioty gospodarcze. Rabat negocjowany jest każdorazowo w zależności od realizowanego wolumenu sprzedaży”.**

I to jest generalnie dobre tłumaczenie – bez cienia ironii. Biznesowo słuszna i opłacalna decyzja Orlenu. Księży i zakonników w Polsce mamy około 30 tysięcy, większość z nich ma samochód, wielu dużo jeździ. Z perspektywy koncernu paliwowego duchowny to cenny klient, bo tankuje regularnie i może sobie pozwolić – w przeciwieństwie do innych Polaków – na tankowanie do pełna. Różne firmy oferują programy lojalnościowe dla klientów, bo dla przedsiębiorstwa ważne jest nie tylko to, by klienta pozyskać, ale i to, by go utrzymać. W przypadku Orlenu i księży taki deal opłaca się obu stronom. Propisowsko nastawiony kler i tak chętnie korzysta z usług państwowego koncernu w ramach patriotycznego obowiązku, a dodatkowy rabat tylko utwierdza w przekonaniu, że PiS i Obajtek to najlepsze, co spotkało Polskę od czasów Jana Pawła II.

Z punktu widzenia interesów Orlen nie popełnił więc grzechu. Zniżki ma też dla innych grup zawodowych, tak jak to wspomniano w oświadczeniu. Przywileje w tankowaniu mają choćby członkowie Ochotniczych Straży Pożarnych, Wojsk Obrony Terytorialnej czy niektórych związków zawodowych, w tym oczywiście zblatowanej z rządem „Solidarności”. Prawdopodobnie gdyby zebrało się odpowiednio duże stowarzyszenie antyklerykalne, to też udałoby się coś wynegocjować. Nie jest również tak, że tylko państwowy, czyli pisowski obecnie, Orlen robi dobrze klechom, bo tego wymagają Rydzyk z Kaczyńskim.

Klient do dechy

Specjalne oferty dla księży mają też inne firmy, choćby motoryzacyjne. Volkswagen, Opel, Fiat czy Kia – te marki oferują duchownym solidne rabaty na auta. Kia miała nawet specjalny program nazwany w chrześcijańskim duchu „Ziarno” – skierowany do osób oraz instytucji związanych z Kościołem kat., w tym także do świeckich katechetów. Był to efekt negocjacji powołanej przez episkopat spółki PPU Port, która **„specjalizuje się w obsłudze kościelnych osób prawnych, księży, zakonników, sióstr zakonnych i osób związanych z Kościołem katolickim w Polsce”** (za stroną Ekai.pl).

„Jako osoba duchowna dobrze wiesz, że dyspozycyjność i zaufanie jest podstawą budowania relacji. Nowy Hyundai zapewni Ci spokój ducha” – kusi z kolei Hyundai i zastrzega, że **„upust dla duchownych przyznawany jest księżom, biskupom i duchowieństwu figurującemu w oficjalnym spisie Duchowieństwa RP”.** Zeby nie było: zniżki ma też dla architektów, górników, lekarzy, nauczycieli, rolników czy taksówkarzy. Czysty biznes, a nie żadna klerykalizacja motoryzacji. Ksiądz to klient solidny, z gotówką, sumienny i regularny płatnik, mogący sobie pozwolić na zmianę modelu auta co kilka lat. Nie ma obciążeń rodzinnych, pracuje na własny rachunek w stabilnej firmie. Po prostu nabywca idealny. Żadne religijne sentymenty ani strach przed biskupem nie mają tu nic do rzeczy, to się po prostu opłaca.

Nasza grupa zakupowa

Trzeba przyznać, że Kościół w sposób dobrze zorganizowany i metodyczny dba o swój personel. Do tej pory wszystko w porządku: firma zarabia, ksiądz zyskuje, nikt nie traci. Wszystko na warunkach rynkowych, przejrzyście, bez walenia w chuja. Schody zaczynają się w momencie, gdy to rząd robi episkopatowi łaskę, dyskryminując innych podatników. I tak oto parafie stały się beneficjentem zamrożenia cen energii elektrycznej w 2023 r. Ekonom diecezji płockiej w okólniku (piśmie do wszystkich księży diecezji) z 29 listopada 2022 r. przypomina zapominalskim: **„W związku z rozporządzeniem ministra klimatu i środowiska z 10.11.2022 r. za pośrednictwem e-Biuletynu przesłałem wzór Oświadczenia do Ustawy z 27 października 2022 r. o środkach nadzwyczajnych mających na celu ograniczenie wysokości cen energii elektrycznej oraz wsparcie niektórych odbiorców w 2023 r., które należy złożyć swojemu sprzedawcy energii elektrycznej, jeśli jako jednostki kościelne (parafie – dotyczy tylko taryfy C) jesteśmy zainteresowani zamrożeniem cen na poziomie (785 zł/MWh) proponowanym w ww. ustawie. Ustawa obowiązuje od 1 grudnia 2022 r. do 31 grudnia 2023 r. Nieprzekraczalny termin złożenia deklaracji mija 20 grudnia 2022 r. dla wszystkich parafii będących w Diecezjalnej Grupie Zakupowej. Dla parafii, które nie są w naszej grupie zakupowej i nie mają podpisanych umów terminowych, termin ten mija z dniem 30 listopada”.**

Pal licho ten prąd; z zamrożenia cen mogą korzystać też mali i średni przedsiębiorcy, choć

Kościół został tu akurat zaliczony do odbiorców wrażliwych, podobnie jak szpitale, szkoły czy domy pomocy społecznej.

W przypadku prądu wiele podmiotów skorzystało, klienci indywidualni też nie są w tragicznej sytuacji, jeśli nasza sytuacja ogólnie nie jest tragiczna. Ale już w przypadku cen gazu mali i średni przedsiębiorcy nie mogą liczyć na zamrożenie cen, a Kościół owszem. Wiadomo, jest to przedsiębiorca duży, a nawet gigantyczny. A przy tym oczywiście odbiorca wrażliwy, szczególnie na punkcie własnych pieniędzy.

Sutanna z pagonami

Księża też, podobnie jak politycy, unikną planowanych na 2023 r. ćwiczeń wojskowych. W ustawie o obronie ojczyzny, którą reklamował – jeszcze jako wicepremier – Jarosław Kaczyński, stoi jak wół, że **„duchowni, z wyjątkiem wybieranych na określoną kadencję, oraz członkowie zakonów mogą być powoływani do odbywania ćwiczeń wojskowych tylko w celu przeszkolenia do pełnienia funkcji kapelana wojskowego, za zgodą właściwego przełożonego kościelnego”** (art. 253). Przypomnijmy, że nie przeszkadza to klerowi paradować w mundurach i pobierać generalskich apanaży, czego ikonicznym przykładem jest generał dywizji abepe Sławoj Leszek Głódź ze swoją generalską emeryturą. Tabun kapelanów i pracowników ordynariatu polowego mówi sam za siebie. Kler jest z wojskiem duchowo i finansowo, ale fizycznie niekoniecznie. Jeśli zaś chodzi o wykręt, że ksiądz nie powinien chwytać za broń, to niech powiedzą to księżom-myśliwym. A zatem: pensja i stopnie? Tak jest! Ćwiczenia? Spocznij!

Wspólnota wykluczenia

Kościół systemowo dba o swój dobrostan. Oczywiście ten Kościół hierarchiczny, kasta kapłańska. Jako taki negocjuje korzystne kontrakty zarówno z prywatnymi przedsiębiorstwami, jak i z instytucjami państwa. Kler występuje tu jako zbiorowość, duża grupa reprezentująca silną instytucję. Jako jedna silna grupa jest brany pod uwagę, gdy chodzi o specjalne traktowanie. Diecezje czy zakony umieją organizować się i jak jedna pięść walczyć o przywileje. Gorzej, gdy idzie o odpowiedzialność.

Gdy np. trafi się jakiś gagatek – choćby pedofil – wówczas kler nie jest już jednością ani podmiotem zbiorowym. Przestępca jest jednostką i indywidualnie musi odpowiadać zarówno prawnie, jak i finansowo. **„Trudno, żeby za każdego wiernego, tak samo i za kapłana, cały Kościół miał ponosić odpowiedzialność. Idąc takim tokiem rozumowania, można dojść do wniosku, że za każde zło popełnione przez katolika ma odpowiadać – także finansowo – biskup. To nie wchodzi w grę”** – tłumaczył „Frondzie” ks. Jan Sikorski, doktor teologii i pierwszy naczelny kapelan Duszpasterstwa Więziennego Rzeczpospolitej. **„Pomysł przerzucenia na wspólnoty kościelne wypłaty odszkodowań ofiarom nadużyć seksualnych poszczególnych księży i zakonników jest nie tylko niesprawiedliwy, ale wręcz diaboliczny”** – jeszcze dobitniej przedstawia sprawę ks. Henryk Zieliński, redaktor naczelny tygodnika „Idziemy”.

„Nikt np. nie słyszał, żeby pozywano filharmonię w Poznaniu za dyrektora czy telewizję za muzyczny program” – brawurowo porównywał pełnomocnik diecezji kaliskiej adwokat Marek Markiewicz, gdy na diecezję spadł obowiązek zapłacenia 300 tys. zł Bartłomiejowi Pankowiakowi jako zadośćuczynienie za molestowanie przez księdza tej diecezji. Owszem, ale i nikt nie przenosi spalonych moralnie skrzypków do innej filharmonii ani też nie walczy w ich imieniu o upusty na instrumenty czy prąd.

Ł.P.

Papież kocha kobiety

Mam problem z Franciszkiem: nie umiem go tak do końca nie znosić.

Zgoda, jest autokratycznym władcą najbardziej toksycznej globalnej instytucji, współodpowiedzialnym za cierpienia setek milionów osób – zwłaszcza kobiet – podlegających mizoginicznym regułom jego archaicznej wizji świata; bądź to „z wyboru”, czyli w wyniku wyznawanej wiary, bądź to narzucanym przez państwo, np. w Polsce. Ale z drugiej strony – przynajmniej się stara, prawda? Nie kryje i nie awansuje pedofilów, nie lubi kapitalizmu i USA i przyjął od Evo Moralesa, prezydenta Boliwii, krucyfiks w kształcie sierpa i młota.

Jednak to wszystko nie chroni go od katolskiej hipokryzji.

W najnowszej edycji magazynu „Ameryka – Przegląd Jezuicki” 5-osobowe katokomando dziennikarskie przesłuchuje papieża na różne okoliczności teologiczno-polityczne. Z przesłuchania wynika, że Franciszek nie odbiega aż tak bardzo od purpurackiego standardu swojej firmy.

Katożurnaliści pytają o polaryzację w Ameryce – ale także w Kościele. Wielki Biały Ojciec z Watykanu odpowiada: **„Polaryzacja nie jest katolicka”**, dodając, że „katolik **nie może myśleć w kategoriach »albo, albo«, tylko »i to, i to«”**. To niewątpliwie zrobi olbrzymie wrażenie na biskupie Jędraszewskim, który dotychczas nie wiedział, że **„im więcej jest harmonii między różnicami i przeciwieństwami, tym bardziej jest to katolickie”**. Uczciwie powiedziawszy, jeśli chodzi o to, co jest **„bardziej katolickie”**, to szczerzej mi brzmi Jędraszewski niż Bergoglio. Katolicyzm – przynajmniej w krajach, gdzie ma dominującą pozycję – jest czynnikiem ekstremalnie polaryzującym, m.in. wskutek działań Watykanu.

Jednym z głównych zakresów tej polaryzacji jest naturalnie aborcja.

Zabójcy na zlecenie. Gloria Purvis, ciemnoskóra gwiazda katomediów, pyta papieża o podziały społeczne wywołane niedawnym wyrokiem Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, który zniósł obowiązującą od półwiecza konstytucyjną gwarancję prawa do przerywania ciąży.

W USA zagadnienie aborcji ma, podobnie jak w Polsce, wymiar klasowy, a dodatkowo rasowy; ubogie, gorzej wykształcone kobiety, głównie Afroamerykanki i Latynoski, są zmuszane do rodzenia niechcianych dzieci, podczas gdy białe i bogate stać na zorganizowanie sobie skrobanki.

Papież jednak – tak wiele zwykle mówiący o bogatych i biednych – tego elementu dyskusji nie dostrzega.

To zabawne, jak usiłuje wykazać postępowość, podkreślając, że katolicki punkt widzenia nie jest jedyny na świecie: skoro **„maleńki płód ma już zaczątki narządów i określone DNA”**, to **„jest to żywa istota ludzka; nie mówię »osoba«, ponieważ to jest przedmiotem dyskusji, ale żywa istota ludzka”**. Niezależnie od tego dość sofistycznego rozróżnienia papież uważa, że przerwanie ciąży to wynajęcie **„zabójcy na zlecenie”**, a **„problem pojawia się, gdy ta rzeczywistość zabijania istoty ludzkiej przekształca się w pytanie polityczne lub gdy pasterz Kościoła używa kategorii politycznych”.**

Tutaj nie sposób się z papieżem nie zgodzić: problem pojawia się, gdy aborcja zostaje przeniesiona z kategorii moralnych do politycznych – a dokładnie: gdy zamiast zakazu moralnego pojawia się zakaz polityczny, czyli przegłosowane przez polityków prawo.

Nikt nie miałby pretensji do Kościoła, gdyby zakazywał wiernym przerywania ciąży, grożąc im najgorszymi mękami piekielnymi; problem pojawia się, gdy zmusza państwo do tego, żeby pilnowało przestrzegania norm religijnych.

Gdyby Franciszek naprawdę chciał, aby aborcja pozostała zagadnieniem **„pastoralnym, a nie politycznym”**, powinien zapewnić, że Kościół nie domaga się delegalizacji aborcji i nie będzie się sprzeciwiał jej legalizacji – a zamiast tego skupiać się na pracy duszpasterskiej i przekonaniu wiernych do przyjęcia z radością każdej nowej **„żywej istoty ludzkiej”.**

Tego, jak zgadujecie, Wielki Biały Ojciec nie mówi.

Krycie potworów. Pytany o plagę księżej pedofilii, nowoczesny papież Franciszek odpowiada mniej więcej tak samo jak zgoła nienowocześni polscy biskupi. To odpowiedź, którą w zeszłym ustroju zwykliśmy charakteryzować hasłem: **„A u was biją Murzynów”.**

„Problem wykorzystywania seksualnego jest niezwykle poważny w społeczeństwie. Poprosiłem o oficjalne statystyki i okazuje się, że 42–46 proc. nadużyć ma miejsce w domu rodzinnym lub w bliskim otoczeniu. Na następnym miejscu jest świat sportu, potem edukacji, a 3 procent dopuszczających się nadużyć to księża katoliccy” – wykłada głowa Kościoła, po czym szybko podejmuje polemikę z samym sobą: **„Ktoś może powiedzieć: »To dobrze, jest nas niewielu«. Nie! Gdyby był tylko jeden przypadek, byłby potworny”.** To po cholerę pan papież opowiada o innych? Którzy – dodajmy – nie reprezentują instytucji przedstawiającej się jako mająca osobiste umocowanie od Stwórcy świata?

eprasa.pl dc8f67621c

Można się z Rydzyka śmiać, można go nie lubić, ale trzeba wiedzieć, że wyprzedził epokę.

Ojciec prekursor

Rys. TOMASZ WIATER

„Ojciec Tadeusz jak Prometeusz” – śpiewała Kapela znad Baryczy w laurkowym songu dla Rydzyka, skomponowanym w tonacji wazeliny. Piosenka stała się memem i pośmiewiskiem. Kiczowatej muzyce towarzyszy bałwochwalczy tekst, robiący z toruńskiego zakonnika herosa, który walczy o lepszy byt ludzkości i chce jej podarować geotermię. **„Ale krajem rządzi jednak klika, której wyobraźnia chora, jakby siadła jej psychika, każe – jak pies ogrodnika – ugryźć ojca dyrektora!”** (było to za rządów Platformy Obywatelskiej) – śpiewali natchnieni wyznawcy. Pominąwszy to, że odwoływanie się do pogańskich mitów trąci herezją, to sam tekst oddaje wiernopoddańczy stosunek fanów do idola, którego mają za wizjonera i nowatora. Są bliżej prawdy, niż mogłoby się wydawać. Ale leży ona nie tam, gdzie widzą ją mohery.

„Rydzyk” i „nowoczesność” – te słowa raczej nie występują w parze. Radio Maryja ma już 31 lat i przez ten czas dochrapało się statusu ostoi wstecznictwa, bastionu ciemnogrodu i ambasady średniowiecza w XXI w. Wszystkie te epitety odnoszą się głównie do linii programowej mediów Rydzyka – najgorszej wersji polskiego katolicyzmu, okraszonej garścią manipulacji i porządną szczyptą szczucia na wroga. Wróg przez lata się zmieniał, doktryna ewoluowała. Masoni i Żydzi się przejedli. Zresztą od kiedy Rydzyk ciągnie hajs na muzeum upamiętniające Polaków ratujących Żydów w czasie II wojny światowej, narracja toruńskich mediów w temacie starozakonnych znacznie się ociepliła. **„Systematycznie rozchodzący się wszędzie zarzut, że Radio Maryja i ojciec Rydzyk to antysemici. Jak się to ma do tego, co robimy? Mamy dobre kontakty z dobrymi Żydami. W każdym narodzie są i tacy, i tacy. Niepokalanie poczęta jest tylko Matka Najświętsza, a ludzie są i dobrzy, i niedobrzy. Te zarzuty to kwestia niechęci i zamierzonego niszczenia ludzi wierzących”** – skarżył się w zeszłym roku na antenie swojego radia ojciec dyrektor, po tym jak stowarzyszenie Sieć Obywatelska Watchdog złożyła przeciw jego fundacji Lux Veritatis pozew, bo czarni nie chcieli udostępnić informacji na temat środków publicznych uzyskanych przez fundację.

Antysemityzm to pieśń przeszłości. Teraz wrogiem jest marksizm kulturowy i gender. Można pod te terminy podłożyć wszystko, co się Rydzykowi nie podoba. Każda aktywność wymierzona w hegemonię Kościoła kat. czy w faszyzujący patriotyzm – wszystko to pokłosie marksizmu kulturowego, który zasiał zamęt w umysłach i deprawuje młode pokolenie. Tak oto media Tadeusza Rydzyka stoją na straży tradycyjnych polskich wartości, wyłączając wszelako antysemityzm.

Nie spotkaliśmy się tu jednak, by rozprawiać o ideologii Radia Maryja, bo ten temat pochłonął już tysiące drzew przerobionych na papier i zapełnił gigabajty tekstów w sieci. W tytule i na wstępie postawiona została teza, że Rydzyk jest prekursorem i nowatorem, nie wypada jej pozostawić bez dowodów.

Otóż Rydzyk, przy całym swoim anachronicznym myśleniu o świecie, wyprzedził większość dzisiejszych twórców mediów. Tworząc media tradycyjne, takie jak radio, telewizja czy prasa, przetarł szlaki twórcom internetowym. Większość tzw. kreatorów kontentu, czyli dostawców rozrywki i wiedzy w sieci, działa na podstawie modelu, który Rydzyk opatentował trzy dekady temu, gdy o internecie w każdym domu – a co dopiero w smartfonie – niewielu marzyło. Youtuberzy, blogerzy, twórcy podcastów – wszyscy oni, zapewne nieświadomie, robią to, co Rydzyk robi od lat. Wielu z nich zapewne oburzyłoby się na to porównanie, twierdząc, że to przecież zupełnie co innego. Oni w dobrej sprawie, a on to manipulant i wyłudzacz. Nie twierdzę, że tak nie jest, ale to nie zmienia faktu, że zakonnik z Torunia ogarnął temat, zanim większość dzisiejszych gwiazd internetu pojawiła się na świecie.

Jednym z najpopularniejszych modeli funkcjonowania w sieci jest ten oparty na wsparciu odbiorców. Widz płaci, twórca tworzy. Dzięki stworzonym do tego platformom, np. Patronite, każdy może regularnie wspierać ulubionego autora określoną kwotą. Nie trzeba pamiętać co miesiąc o przelewie, wystarczy zadeklarować kwotę, która ma być pobierana z konta, i wszystko dzieje się samo. Dzięki temu twórca ma zagwarantowaną niezależność – nie musi się łasić do sponsorów, wrzucać nachalnych reklam ani pracować na etacie, co znacznie zmniejszyłoby produktywność i atrakcyjność jego dokonań.

Rydzyk zrobił dokładnie to samo. Wybrał sobie grupę docelową i utworzył wokół siebie coś, o czym w internecie mówi się „społeczność” – grono ludzi gotowych regularnie wspierać pasujące im projekty zastrzykiem gotówki. Dzięki temu otrzymują treści, które im się podobają i są zgodne z ich wizją świata. Przy czym Rydzyk miał wiele trudniej – działał w czasach przedinternetowych, musiał więc dotrzeć do większej liczby ludzi osobiście i przekonać ich na tyle, żeby przekonywali innych. Oczywiście kasę na rozruch dostał od szemranej mistyczki Vassuli Ryden, ale nie był to jeszcze czas tak cieplarnianych warunków politycznych i kościelnych, jakie ma teraz. Dotacje nie płynęły szerokim strumieniem. Wdowie grosze były na wagę złota.

Rydzyk trafnie odczytał rynek i skierował swoją ofertę do tych, którym ówczesne media nie miały do zaoferowania nic albo niewiele. Radio Maryja mówiło głośno w ich imieniu to, co leżało im wątrobie, poczuli się więc wreszcie reprezentowani w ogólnopolskiej debacie. Tę frustrację Rydzyk umiejętnie podsycał i tym sposobem konsolidował środowisko, z którym trzeba się było zacząć liczyć ze względu na rosnącą liczebność. I tak z rozgrywanych stali się rozgrywającymi.

Mohery zyskały podmiotowość. Koła Rodziny Radia Maryja przy parafiach pokazały zdolność oddolnego organizowania się słuchaczy i ich zapał do działania.

Skupieni wokół swojego guru karnie głosowali na tych, których im wskazał. Politycy zaczęli się łasić do dyrektora i słuchaczy Radia Maryja, czas antenowy stawał się coraz cenniejszy, a łaska ojca Tadeusza na coraz bardziej pstrym koniu jeździła. Względy miał ten, kto mógł więcej zaoferować i miał bardziej realne szanse na spełnienie obietnic. Ukoronowaniem tego randkowania jest dość stabilny związek z PiS.

Nabijano się z Rydzyka, że natrętnie przypomina słuchaczom Radia Maryja i widzom Telewizji Trwam numer konta. Tymczasem teraz prawie każdy youtuber mniej lub bardziej namolnie wspomina o możliwości wsparcia jego kanału, zastrzegając, że to bardzo ważne, aby mógł swobodnie tworzyć. Link do zbiórki widnieje pod prawie każdym filmikiem znanych twórców. Pod tym względem Rydzyk też miał trudniej, bo za jego czasów mobilna bankowość była terminem niezrozumiałym. Każdy, kto zechciał wysłać do Torunia część emerytury, musiał dymać na pocztę, wypełnić druczek, odczekać swoje w kolejce i wpłacić w okienku. Dziś takie rzeczy załatwia się kilkoma kliknięciami. Nie jest to rzecz naganna – płaci ten, kto chce. Rydzykowe media mają status nadawcy społecznego, nie mogą więc emitować reklam, nie mają też wpływu z abonamentu, muszą więc sobie radzić w inny sposób. Można się wkurwiać, że babka wydaje emeryturę na Rydzyka. Ale jeśli wkurwia się na to wnuczka, która co miesiąc karmi swojego ulubionego youtubera kasą z kieszonkowego od tejże babci, to mamy sytuację nieco absurdalną.

Naganne jest oczywiście dojenie państwa, ale to temat na osobną rozprawkę. Pisowcy w ten sposób spłacają dług i dają zaliczkę na kolejną kadencję, ale – w przeciwieństwie do moherów – nie robią tego z własnych emerytur, tylko biorą z tej kupki, która mogłaby być na emerytury przeznaczona. A to już grzech, także w niereligijnym znaczeniu tego słowa. Niech sobie każdy słucha, czego chce, ale za swoje.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Przecież papież doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, iż to, że księża bzykali ministrantów, to zaledwie połowa problemu. Druga – o większym gravitasie – to system krycia i wspomagania zboczeńców, który stworzyła jego natchniona Duchem Świętym instytucja, chroniąc ich przed odpowiedzialnością, przenosząc z parafii do parafii, zapewniając stały dopływ świeżych ofiar, wymuszając milczenie szantażem moralnym i groźbą wiecznego potępienia. Podobnego systemu nie było ani w rodzinach, ani w sporcie – zatem temat niekościelnych nadużyć w jego wypowiedzi to dość prostacka próba odwrócenia uwagi.

Okrutny jak Buriat. Pytany o Ukrainę papież Franciszek – najwyraźniej pomny faktu, że rozmawia z dziennikarzami amerykańskimi – nie powtórzył swojej odważnej tezy z początku konfliktu: że napaść Rosji, jakkolwiek nielegalna i godna potępienia, nie była całkiem niesprowokowana przez NATO. Ogłosił za to dziwaczną teorię, że **„najokrutniejsi są ci, którzy pochodzą z Rosji, ale nie należą do rosyjskiej tradycji: Czeczeni, Buriaci itd.”**. Skąd papież to wie? Nie wyjaśnił, ograniczył się do stwierdzenia, że **„ma dużo informacji”**. Tymczasem to, co łączy obie te republiki Federacji Rosyjskiej, to fakt, że są niechrześcijańskie. Czeczenia to oczywiście kraj muzułmański; Buriaci to lud mongolski, wśród którego dominuje buddyzm i różne odmiany tradycyjnych wierzeń szamańskich.

Atak papieża na Buriatów jest szczególnie paskudny, ponieważ stali się oni kozłem ofiarnym wojennej propagandy – zarówno media ukraińskie, jak i rosyjscy opozycjoniści oskarżają ich o wszystko, co najgorsze, choć nie ma żadnych dowodów na to, żeby ta maleńka, uboga i spokojna grupka etniczna była bardziej niż inne zaangażowana w zbrodnie na Ukrainie. Buriatom przypisuje się np. odpowiedzialność za Buczę, choć buriackie nazwiska stanowią zaledwie 2 proc. składu 64. Zmotoryzowanej Brygady okupującej Buczę, a Buriacja jest oddalona o 2,5 tys. km od Chabarowska, gdzie brygada ta stacjonuje. Legenda o okrutnych Buriatach powstała w 2016 r., gdy na YouTube pojawił się filmik z udziałem kilkunastu entuzjastów rosyjskiego prezydenta zatytułowany „Buriaccy wojownicy Putina”. Filmik stał się głośny i teraz każdy rosyjski żołnierz o azjatyckich rysach uważany jest za Buriata, choć może równie dobrze być Kałmukiem, Jakutem albo Tuwińcem. Głowa Kościoła katolickiego, facet, który chce uchodzić za światowy autorytet, po prostu powtarza niesprawdzone i wyraziście rasistowskie stereotypy.

Kobieca intuicja. I wreszcie, zapytany o rolę kobiet w Kościele – a zwłaszcza o kapłaństwo kobiet – papież odpowiedział spokojnie, że zgodnie z **„teologiczną zasadą Piotrową”** po prostu **„nie ma na to miejsca”**, ale **„godność kobiety jest odbita w byciu żoną i matką”** – ponieważ sam Kościół (który po angielsku ma zaimek „ona”) jest żoną i matką właśnie. Co jest – powiedzmy sobie szczerze – odpowiedzią dość protekcjonalną. A gdyby tego było mało, papież dorzuca „anegdotę” o kobiecej intuicji: jak kiedyś zbierał opinie na temat pewnego kandydata do kapłaństwa i wszyscy – nauczyciele, znajomi, przyjaciele – byli za, z wyjątkiem jednej kobiety z jego parafii, która napisała: **„On jest niebezpieczny i się nie sprawdzi”**. Bergoglio zadzwonił do niej z pytaniem, dlaczego tak sądzi, i usłyszał: **„Nie wiem dlaczego, ale gdyby był moim synem, nie pozwoliłabym mu na wyświęcenie”**.

Przyszły papież posłuchał kobiecej intuicji i odmówił młodzieńcowi święceń, a on 3 miesiące później odszedł z seminarium – co jest w oczach papieża dowodem na to, że **„kobieta jest matką i widzi tajemnicę Kościoła wyraźniej niż my, mężczyźni; z tego powodu rada kobiety jest bardzo ważna, a decyzja kobiety lepsza”**. Cieszę się szczęściem tego młodego człowieka, który uciekł biskupowi spod kropidła, ale czy nie mogło być tak, iż przyczyną jego odejścia z seminarium był fakt, że jakieś wredne babsko zniszczyło jego marzenie o zostaniu księdzem, choć nie potrafiło nawet wyjaśnić dlaczego? I czy to aby na pewno jest argument na rzecz tego, że z kobiecymi opiniami należy się liczyć?

Gdy porównujemy Bergoglia z obsesyjnie nienawidzącym lewicy i równie obsesyjnie skupionym na seksualnej pruderii Wojtyłą czy też ekstremalnie konserwatywnym Ratzingerem, odczuwamy jako lewacy pewną pokusę sympatii.

Lepiej jej nie ulegać.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

eprasa.pl dc8f67621c

Szopka z Wojtyłą

Taki duży, taki mały może świętym być. Pod warunkiem że jest rodziną Jana Pawła II.

Kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie. A kto ma papieża w rodzinie, tego beatyfikacja nie ominie. Kult jednostki w postaci Karola Wojtyły jest zbyt wielki, aby otaczać nim tylko jego samego. Świętość polskiego papieża promieniuje na wszystko wokół – począwszy od rodziców, a na bieliźnie skończywszy. Dyktatorzy wszech czasów i szerokości geograficznych zerkają z podziwem i zazdrością na determinację Dziwisza, który nie ustaje w trudach wskrzeszania pamięci po zmarłym szefie, mentorze i faktycznym stworzycielu.

„Św. Jan Paweł II w pełni sobie zasłużył na tytuł »Papież Rodziny« swoim nauczaniem i wszystkimi decyzjami, które podejmował dla dobra rodzin najpierw jako metropolita krakowski, a potem jako biskup Rzymu i papież” – mówił Dziwisz podczas mszy na rozpoczęcie konferencji „Rodzina w czasie przemian” w Krakowie. Rzadko bywa tak blisko prawdy. Trzeba jednak słowa kardynała traktować dosłownie.

Świętość i wielkość J.P.2 na naszych oczach blednie. Rękę na aureolę Wojtyły podnoszą już nie tylko zajadli wrogowie Kościoła kat., ale i jego wierni. Wyniesienie J.P.2 na ołtarze odbyło się z pominięciem zwykłych procedur. Normalnie musi upłynąć co najmniej 5 lat od śmierci delikwenta, żeby można było rozpocząć proces beatyfikacyjny, czyli przygotowanie do ogłoszenia błogosławionym. W przypadku Wojtyły proces rozpoczął się niezwłocznie po wyborze kolejnego papieża. Po tym, jak lud zebrany na pogrzebie wołał *„Santo subito!”*, Benedykt XVI uznał, że nie ma co czekać, bo świętość Polaka jest niepodważalna. Jak się okazuje, pośpiech ten był zgubny. Upłynęło niemal 20 lat od śmierci Jana Pawła II i trupy wypadają z szafy. Ale przecież go nie odświęcą!

Wojtyła to postać znana na całym świecie, dla Kościoła zapewne zasłużona. Jednak jego kult zabrnął w rejony kabaretowe. 2 grudnia w Warszawie odbyła się konferencja prasowa pt. „Czy Edmund Wojtyła zostanie świętym?” zorganizowana przez Katolicką Agencję Prasową. Było to wydarzenie promujące 16-stronicową wkładkę do „Gościa Niedzielnego” poświęconą starszemu bratu Karola Wojtyły, którego 90. rocznica śmierci przypadła 4 grudnia. Tytuł konferencji miał być niby to prowokacyjny, niby tak tylko luźno rzucony, ale fakt jest taki, że pomysł ten zaświtał w niektórych głowach. Najbardziej podjarana tą perspektywą jest jedna z głównych wojtyłożek kraju dr Milena Kindziuk, dziennikarka i badaczka dziejów rodu Wojtyłów.

Tym, którzy myślą, że idea wyniesienia brata papieża na ołtarze to mrzonki, przypominamy: od 2020 r. trwa proces beatyfikacyjny jego rodziców. Emilia i Karol senior czekają tylko na cud. Tzn. muszą dokonać cudu, żeby dostać od Watykanu glejt, że są już na chmurce. Ponieważ żeby zostać błogosławionym Kościoła kat., zmarły musi mieć na koncie cud za swoim wstawiennictwem. Chyba że umarł śmiercią męczeńską; wówczas św. Piotr wita czerwonym dywanem bez zbędnych pytań. Ot, takie tam ziemsko-niebiańskie sprawy.

O rodzicach Wojtyły wiadomo niewiele, ale od czego mamy dr Milenę Kindziuk. Z pustego Salomon nie naleje, a ona owszem. Nawet książkę na ten temat napisała. Emilia zmarła, gdy przyszły papież miał 9 lat. Późniejszy Jan Paweł wspominał ją bardzo ciepło i z szacunkiem. A skoro taki święty człowiek wspominał kogoś ciepło, to ta osoba musiała być wyjątkowa.

Niewiele wiadomo o pochodzeniu Emilii Kaczorowskiej, później Wojtyłowej. Trwają spory, czy to Polka, a może Litwinka, Ukrainka, Słowaczka albo, o zgrozo!, Żydówka. Pewne jest to, że ukończyła 8-letnią szkołę zakonną prowadzoną przez siostry Bożej Miłości, wyszła za żołnierza Karola Wojtyłę, z którym miała troje dzieci. Dorabiała jako krawcowa i zmarła w 1929 r. w wyniku zapalenia mięśnia sercowego i niewydolności nerek. Była pobożną katoliczką, podobnie jak mąż. Jako że wypuścili na świat przyszłego papieża i świętego, beatyfikacja należy im się jak psu micha – taką logiką zdają się kierować inicjatorzy tego przedsięwzięcia. Niczym na tle wielu innych polskich małżeństw się nie wyróżniali.

Do zacnego grona świętych miałby też dołączyć brat papieża Edmund. Zmarł młodo, jako 26-latek. Był lekarzem. Zaraził się szkarlatyną od pacjentki i umarł. Podczas wspomnianej konferencji prasowej trochę rozsądku zaprezentował kardynał Kazimierz Nycz, który wydawał się nieco zażenowany całą sytuacją, ale przecież nie wypada wyśmiewać zbożnych inicjatyw. Metropolita warszawski studził nastroje, mówiąc: **„W tym szybkim odejściu z tego świata za wiele bym nie widział tego, co się nazywa nadzwyczajnością, natomiast gdyby mówić o świętości, o procesie beatyfikacyjnym, trzeba by więcej, dużo więcej wiedzieć o szczegółach jego życia, bo do tego nie powinno mieć wielkiego znaczenia to, że był bratem przyszłego papieża”.**

Nycz trzeźwo wspomniał, że jak ktoś jest lekarzem, to musi się liczyć z tym, że coś złapie i zejdzie. Jako przykład podał lekarzy w czasie pandemii. Ryzyko wliczone w zawód nie może być uznane za heroizm. Ma rację.

Inaczej musielibyśmy beatyfikować wszystkich ginących na drodze zawodowych kierowców, padłych na planie kaskaderów czy wreszcie kurwy pochowane z AIDS.

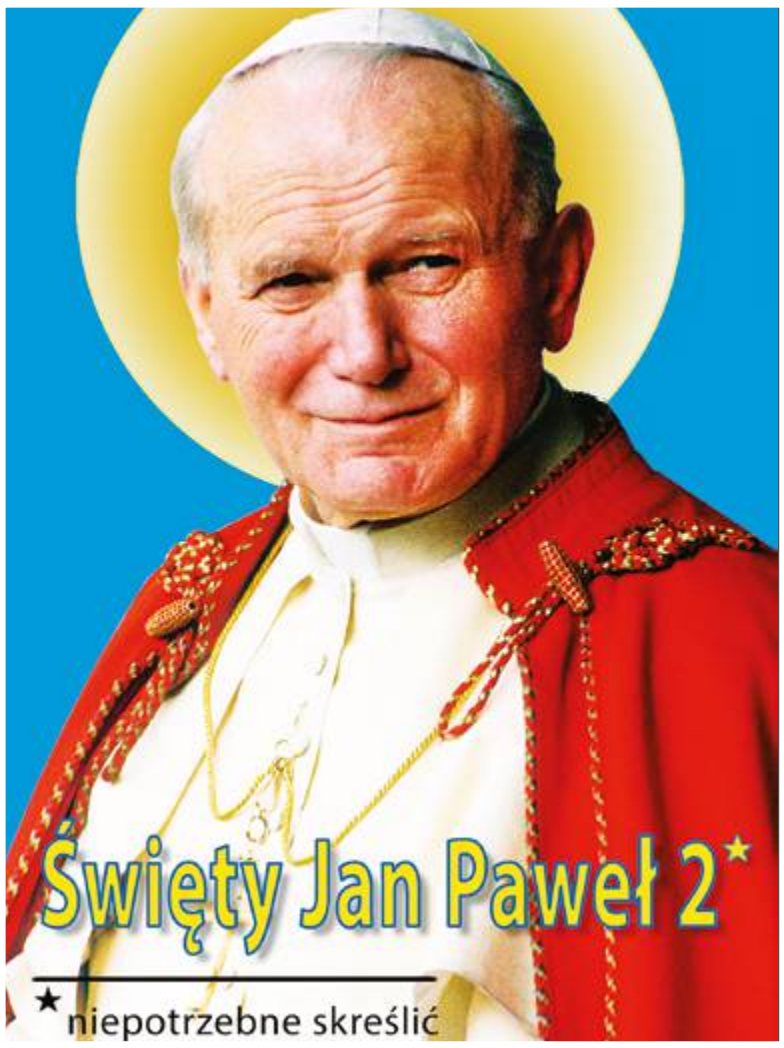

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kardynał ujął tę kwestię nieco bardziej dyplomatycznie, ale sens był ten sam. Niezłomna Milena Kindziuk bagatelizowała wątpliwości purpurata, stwierdzając, że Edmund Wojtyła był święty i chuj. Nie dość, że oddał życie w służbie chorym, to modlił się do św. Mikołaja, bo kochał dzieci i chciał być pediatrą. W dodatku małego Lolka uczył jeździć na nartach, przyszły papież go kochał i się na nim wzorował. A w ogóle to J.P.2 po latach przyznał, że śmierć brata przeżył bardziej niż śmierć matki. Jeśli to nie jest dowód na świętość, to Kindziuk może tylko załamać ręce nad naszą ignorancją. Na nic subtelna uwaga kardynała, że jak matka umarła, to Lolek miał 9 lat, a jak brat – to 13, a dla takiego dziecka to kolosalna różnica. Dr Kindziuk swoje wie. Chciałbym, żeby ktoś tak we mnie wierzył, jak Kindziuk wierzy w świętość rodziny Wojtyłów.

I tak to się kręci. Podczas gdy katolikom na całym świecie w grudniu na hasło **„święta rodzina”** przed oczami staje obraz stajenki betlejemskiej, my widzimy wadowicką rodzinę Karola, który został papieżem.

„Atak na papieża wychodzi z Polski” – alarmuje „Gazeta Polska Codziennie”. Osiołki ze stajenki Sakiewicza zachodzą w głowę, jak to może być, że współplemieńcy największego z Polaków go atakują. Najwięcej dla ośmieszenia Wojtyły robią na razie jego zwolennicy, co pokazują akcje z beatyfikacjami rodziny czy relikwie ze skarpetek. Jak Kaczyński z PiS-em ośmieszyli katastrofę smoleńską, tak fani J.P.2 zrobili ze swojego idola pośmiewisko.

Na koniec jeszcze raz dr Milena Kindziuk ze słowami otuchy na święta i Nowy Rok. **„Nic tak nie daje dziś popularności jak narracja antykościelna. Można na niej znakomicie wypłynąć na szerokie medialne wody i stać się celebrytą”** – pisze pani doktor w „Gościu Niedzielnym”. Wreszcie coś pozytywnego.

Czekamy w redakcji na pierwsze zaproszenia do telewizji śniadaniowych i artykuły na „Pudelku”.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

ETYKA BEZBOŻNA

Bezgrzesznicy

Koncepcja bezgrzeszności jest niepojęta i krzywdząca dla Matki Boskiej. Powiem więcej – dehumanizuje ją i czyni z niej jakieś psychologiczne monstrum.

Idą święta, jakże więc tu nie zająć się świętą mamą i jej boskim synkiem. Co ich łączy, oprócz, rzecz jasna, pokrewieństwa? Otóż oboje są jedynymi w dziejach ludzkości osobami, które nigdy nie popełniły żadnego grzechu! Żadnego! Pamiętam, jaki byłem zdumiony, gdy pani katechetka (tak, tak, uczestniczyłem w kilku katechezach – w roku 1974) tłumaczyła, że każdy z nas popełnia grzech w każdej minucie życia, podczas gdy Najświętsza Panienka nigdy, przenigdy. I jest jedną jedyną taką świętą. Tylko o niej nie można powiedzieć „grzesznica”, choć słowo „grzesznik” w Kościele katolickim to synonim człowieka. Bo po prostu każdy ciągle grzeszy – i nie ma na to rady. Grzech jest jak choroba przenoszona drogą płciową – od Adama i Ewy. Dlatego aby być bezgrzesznym, trzeba zerwać łańcuch seksu. Nazywa się to niepokalanym poczęciem. I tak Jezus jest synem Maryi i Ducha Świętego, natomiast sama Maryja wprawdzie ma dwoje ludzkich rodziców, lecz w jej poczęcie również wmieszał się Duch Święty, w specjalnym trybie zapobiegając przeniesieniu się na malutką Marysię zarazy grzechu pierworodnego. Od małego była ona już „odkupiona”, czyli zbawiona, a jej życie to jakby już życie w Królestwie Bożym. Przypomina anioła w niebie, z tym że przebywając tam razem z aniołami, zachowała ciało. Tym sposobem jest jedną z dwóch cielesnych istot zamieszkujących niebo – oprócz swego syna Jezusa. O tym, czy mają tam na czym siedzieć i co jeść, dogmaty kościelne nie wspominają. Należy sądzić, że są ubrani skromnie, a ich boskie ciała nie potrzebują ani wypoczynku, ani strawy. Są też zapewne niezwykle piękne, lecz budzić mogą jedynie pełne skromności upodobanie.

Co robią w niebie? Dokładnie nie wiadomo. Pewnie dużo się modlą, jakkolwiek ciągłe modły matki do własnego syna i syna do ojca, z którym pozostaje ona w absolutnej jedności, nie wydają się zdrowym sposobem spędzania czasu. Poza tym jednak Maryja zajmuje się wysłuchiwaniem modłów starszych pań i orędowaniem za nimi u swego boskiego syna. Inaczej mówiąc, rozmawiają o paniach gromadzących się w Częstochowie, Licheniu, Toruniu itp., pochylając się z troską nad ich chorobami, niedostatkami materialnymi itd. Pan Jezus podejmuje w wyniku tych rozmów rozliczne decyzje, jakkolwiek wszystko i tak było już rozstrzygnięte w momencie stworzenia świata, w boskiej stwórczej wszechwiedzy. Powiedzmy więc, że wskutek modłów wznoszonych w sanktuarium maryjnym Pan Jezus przypomina sobie o sprawie i potwierdza decyzje ojca podjęte w momencie stworzenia.

Wróćmy jednak do tej fascynującej bezgrzeszności. W przypadku Jezusa nie ma sprawy. Jako Bóg tak już ma, że grzeszyć nie potrafi. Po prostu cokolwiek uczyni, to z natury swej jest to dobre i doskonałe. Może poturbować straganiarzy w świątyni albo ot, tak sobie odebrać zdolność owocowania drzewu figowemu, ale grzechu z tego nie będzie. Sprawa jest jasna i nudna. Chrystus robi, co chce, i wszystko mu wolno. Jego cyrk, jego małpy. Ale Maryja? Ona jest tylko człowiekiem. Nic nie może. Może jedynie prosić swego syna. Stara się, jak może, o nikim nie zapominając i nie robiąc sobie żadnych przerw. Na tym chyba polega jej bezgrzeszność w niebie. Ale jak było na ziemi? Muszę powiedzieć, że mnie to – jako etyka – autentycznie fascynuje. Maryja przeżyła na ziemi pół wieku i udało jej się przez ten cały czas nie nagrzeszyć tyle, ile ja grzeszę w ciągu minuty. Ani myślą, ani słowem, ani uczynkiem. Jak to jest możliwe?

Nasza codzienna grzeszność polega po prostu na niedoskonałości naszej woli, poznania i sposobów działania. Trudno sobie wyobrazić, aby jakikolwiek nasz czyn był doskonały, to znaczy wynikał wyłącznie z dobrej woli, był w pełni przemyślany i odpowiedzialny, przezorny i angażujący nasze wspaniale rozwinięte i ugruntowane cnoty. Chwalimy czyny naszych bliźnich, gdy udaje im się pokonać egoizm, interesowność i podszepty złej woli, by mimo tych naturalnych przywar dać z siebie innym jakieś dobro. Właśnie to pokonywanie słabości cenimy w ludziach. Każdy lubi pieniądze, jeśli więc wpłaca na pomoc dla chorych dzieci, to musiał się jakoś przemóc. Każdy lubi seks, jeśli więc nie skorzystał z okazji, pamiętając o żonie, to jest wierny. Ale co z Maryją, która nawet pokus (grzesznych myśli) mieć nie mogła? Jak mogła być czysta, jeśli nie odczuwała popędu płciowego? Jak mogła być hojna, nie czując nigdy radości posiadania pieniędzy?

Poza tym pojęcie grzechu jest tak szerokie, że odnosi się do każdej niedoskonałości działania. A doskonałość w działaniu jest tak samo niemożliwa jak perfekcja kształtu czy jakiejkolwiek miary. W przyrodzie nic nie jest idealne! Działanie ludzkie także nie może być takie! Wyobraźmy sobie coś takiego: Maryja nigdy nie pomyślała o nikim nieżyczliwie i z niechęcią. Nie miała nigdy dość? Nie zostawiła nigdy żadnego bałaganu albo śmiecia? Nie spóźniła się? Nie odmówiła jałmużny, śpiesząc się albo uznając, że dość już ostatnio dała? Nie skarciła zbyt surowo swego świętego dziecka? Nigdy nie była niemiła dla nikogo? Wszystkim zawsze ufała i nigdy nie była podejrzliwa? Nie okazała zniecierpliwienia, kiedy była zmęczona i zmartwiona? Nie uniosła się ani razu? Nie zażartowała z nikogo? Nie powtórzyła żadnej plotki? Nie sprawiła niepotrzebnie przykrości? Nie wykonała żadnej pracy niedokładnie? Nie umyła się nigdy nie dość starannie? W synagodze nie odbiegła myślą od modlitwy ani na chwilę? Nie zdeptała owada, stąpając nieostrożnie? Nie rozminęła się z prawdą, aby uniknąć niepotrzebnych komplikacji? Nie skorzystała z niczyjej pomocy, nie wywdzięczając się należycie w późniejszym czasie? A czy była zawsze dość odważna, gdy możny pan albo kapłan kogoś w jej obecności albo i ją samą źle potraktował? Czy broniła pokrzywdzonych zawsze, jak należy? Czy była dla wszystkich życzliwa i sprawiedliwa? Czy nie wyróżniała bliskich kosztem słusznego interesu ludzi obcych? Czy zawsze wspierała swego męża i nigdy niczego nie zaniedbała jako żona i matka? Czy była dość stanowcza i konsekwentna w wychowywaniu syna? Czy nigdy go nie rozpieszczała?

Sami sobie odpowiedzcie na te pytania. Teologowie też sobie je zadają. Ale po cichu. Odpowiadają zaś tak jak każdy normalny człowiek – tyle że również po cichu. Bo w odróżnieniu od reszty są jednak związani dogmatem i nigdy nie powiedzą głośno tego, co myślą. W tym przypadku dogmatem niemądrym i szkodliwym.

JAN HARTMAN

eprasa.pl dc8f67621c

W polskim niebie

Subiektywny poczet świętych.

W polskiej części nieba nie jest tłoczno. Według ostatnich danych przebywa tam trzydziestu trzech świętych. W części włoskiej jest aż 256 wybranych. No, ale ten kraj ma 60 milionów żyjących obywateli. I lepsze dojścia w Watykanie. Wydał 210 papieży, a Polska tylko Jana Pawła II.

Zastanawialiście się kiedyś, ile kobiet uhonorowano Nagrodą Nobla? Tyle co kot napłakał: 61. Wynika to z tradycji (baba siedzi w domu) i – do niedawna – z gorszego wykształcenia płci pięknej.

Świętość nie wymaga wiedzy ani rozumu. Przy włoskim stole towarzyszy Panu Bogu 187 panów i 69 pań. Liczyłam samodzielnie, możliwy jest błąd. Mało kobiet? Jasne. Ale co drugi, trzeci włoski święty jest w spódnicy. W Polsce zaszczytu świętości dostąpiło 33 mężczyzn i 5 kobiet. Czyli tylko co szósty, siódmy polski święty to baba.

Bo były obrotne

Włoskie święte wybrałam na chybił trafił.

Aniela Merici urodziła się pod koniec XV w. Straciła rodziców. Nie miała biologicznych dzieci, dorobiła się jednak duchowego syna. Musiała mieć wiele ziemskich zalet, bo „matko" zwracał się do niej książę Franciszek Sforza, pierwszy władca dynastii Sforzów, co pozwoliło Merici na skuteczniejsze prowadzenie działalności charytatywnej i edukacyjnej. Była przekonana, że **„nieład w społeczeństwie wywodzi się od nieładu w rodzinie"**. Założyła zakon Urszulanek, które poświęciły się wychowywaniu młodych dziewcząt, przyszłych matek.

Joanna Beretta Molla, lekarka, zmarła w 1962 r. w wieku 39 lat. W trakcie ostatniej ciąży stwierdzono u niej raka macicy. Molla urodziła dziecko, choć oznaczało to dla niej wyrok śmierci.

Róża Venerini, córka lekarza, jest założycielką szkół powszechnych dla dziewcząt. W 1716 r. papież Klemens XI obejrzał lekcje i ocenił, że w ten sposób **„uświęca Rzym"**. Venerini założyła ponad 40 szkół.

Teresa Małgorzata Redi to karmelitanka żyjąca w XVIII w. Poświęciła życie szpitalom i służbie dla chorych.

Zyta z Lukki (*zitella* to po włosku „panna") urodziła się w 1218 r. Była nie tylko dziewicą, ale przede wszystkim oddaną służącą. Przez 42 lata pracowała w domu miejscowych tkaczy. Na początku była źle traktowana, potem zdobyła szacunek pracodawców. Z czasem powierzono jej zarządzanie całym gospodarstwem. Wieść niesie, że zdarzało jej się zamieniać wodę w wino, a kwiaty w bochny chleba. Znalazła nieśmiertelność w dziełach Dantego. Patronuje samotnym ubogim dziewczętom, służbie domowej i kelnerkom.

Bo warto je naśladować

Od wymienionych pań, znajdujących sens życia w rodzeniu, prowadzeniu domu, zwłaszcza cudzego, szpitali i szkół, czyli miejsc niesłychanie przydatnych z punktu widzenia włoskiego społeczeństwa, odstaje Fina z San Gimignano. Zmarła w wieku 15 lat w 1253 r. Przez ostatnie 5 lat nie była w stanie ruszyć się z dębowych desek, niczym więc się nie zasłużyła.

Najwyraźniej wyniesiono ją na ołtarze, żeby nieuleczalnie chorzy mieli z kogo brać wzór: cierpienia znosiła z pokorą i pogodą ducha. A wiadomo, jak ważne jest, żeby terminalnie chorzy nie psuli humoru domownikom koncentrowaniem się na umieraniu.

Bo urodziła papieża

Niektóre Włoszki dotarły do nieba po znajomości. Weźmy świętą Sylwię, której największym sukcesem było urodzenie Grzegorza Wielkiego, papieża i świętego Kościoła kat. O Sylwii wiadomo, że mieszkała na Wzgórzach Awentyńskich. I troszczyła się o syna, wysyłając mu warzywa na srebrnej tacy.

Bo robiła to, co lubi

Wśród świętych Włoszek było kilka niewiast spełniających własne pragnienia na przekór oczekiwaniom społecznym. Choćby Patrycja z Neapolu. Urodziła się w VII w. w Konstantynopolu. Spokrewniona z rodziną panującą miała szansę na bardzo wygodne życie. Jednak nie zgodziła się wyjść za mąż za człowieka wybranego przez tatkę. Zamiast maszerować do ołtarza, czmychnęła do Ziemi Świętej, a potem do Neapolu i Rzymu. Z uwagi na kierunek ucieczki można się upierać, że Patrycja nie stanęła na ślubnym kobiercu, bo ukochała Jezusa Chrystusa. Jednak to idea naciągana.

Na razie święta ocalała od topora watykańskiej cenzury, który ściął kilka najbardziej kontrowersyjnych świętych pod pretekstem, że to postaci legendarne. Specjaliści sądzą jednak, że Patrycja to najpewniej też postać wymyślona i warto uwolnić Pana od jej towarzystwa.

Bo pochodziły z rodzin panujących

3 na 5 polskich świętych to księżniczki. Jesteście pewni, że wyniesienie ich na ołtarze jest zgodne z polską racją stanu?

Jadwiga Andegaweńska – królowa Polski. Narzeczona Wilhelma Habsburga, którego polscy panowie przepędzili z Wawelu. Jak pisze Jan Długosz, zrozpaczona dziewczyna na próżno próbowała wyrąbać toporem bramę wawelską. Wtedy przemówił do niej Chrystus z czarnego krucyfiksu, doradzając ślub z Jagiełłą. Jak wiadomo, uległa. Zmarła w wieku 25 lat na gorączkę popołogową bądź otruta przez tych, którym nie po myśli była silna dynastia w Krakowie.

Jadwiga Śląska – żona Henryka I Brodatego, matka siedmiorga dzieci. Zaliczała dziennie po kilka mszy, chodziła w habicie i boso. Planowała, że trzy wnuczki zostaną zakonnicami, a dwóch wnuków księżmi, ostatecznie dwie wnuczki wbrew woli świętej uniknęły habitu. Zaangażowała się w ożywienie życia religijnego na Śląsku, sprowadzając duchownych z Niemiec.

Kinga – królewna węgierska, księżna krakowska i sandomierska. Żona Bolesława zwanego Wstydliwym, bo zgodził się na śluby czystości małżonki złożone przed biskupem krakowskim. Gdyby z tego związku byli potomkowie, dzieje Polski mogłyby potoczyć się inaczej. Bolesław, ostatni przedstawiciel małopolskiej linii Piastów, umarł bezpotomnie, bo Kinga od kołyski chciała umrzeć jako dziewica.

Bo była bratanicą prymasa

Urszula Ledóchowska urodziła się w Austrii, zmarła w Rzymie. Też sroce spod ogona nie wypadła. Wnuczka generała Ignacego Ledóchowskiego, bratanica prymasa Polski. Zakonnica, założycielka Urszulanek Serca Jezusa Konającego, tzw. szarych.

Wypada zauważyć, że to jedyna polska święta biorąca wzór z włoskich koleżanek. Nauczycielka, kierowniczka internatu w Petersburgu, założycielka szkoły w Skandynawii i ochronki dla sierot po polskich emigrantach.

Bo spotykała się z Jezusem

Z gminu pochodziła Faustyna Kowalska – córka cieśli i gospodyni domowej. Nie wystarczy największa flaszka, żeby pojąć, czego święta Faustyna ma nauczyć polskie dziewczęta.

Zamiast zgodnie z wolą rodziców zająć się czymś pożytecznym, zapragnęła zostać mniszką. Dopięła swego, bo w 1924 r. podczas zabawy tanecznej miała widzenie umęczonego Jezusa, który kazał jej pójść do zakonu.

Do nieba dostała się z powodu objawień i przeżyć mistycznych. Miała przekonanie, że jest powiernicą i sekretarką samego Jezusa. Szczegóły zapisała w „Dzienniczku". Pierwszego objawienia dostąpiła podczas pobytu w Kiekrzu w lipcu 1929 r.: **„Po południu poszłam przez ogród i stanęłam na brzegu jeziora. Nagle ujrzałam przy sobie Pana Jezusa, który rzekł do mnie łaskawie: To wszystko dla ciebie stworzyłem, oblubienico moja, a wiedz o tym, że wszystkie piękności niczym są w porównaniu z tym, co ci przygotowałem w wieczności"**.

Do kluczowego objawienia doszło 2 lata później w Płocku. Jezus polecił jej namalowanie swojego obrazu z podpisem: **„Jezu, ufam Tobie"**. Faustyna ograniczyła się do podania artyście szczegółów wyglądu Pana. Jak oświadczyła, płótno nie oddaje piękna oryginału.

W maju 1935 r. Jezus zażądał od Faustyny powołania zgromadzenia zakonnego głoszącego ideę boskiej miłości.

Bo poskromiła lwy

W polskim niebie przebywa jeszcze 184 błogosławionych, którzy mogą zostać świętymi. Jest też długa lista kandydatów i kandydatek. Rozpoczęto 282 procesy kanonizacyjne. 70 procesów jest w fazie diecezjalnej, reszta w rzymskiej.

Oczekujących można podzielić na dwie grupy. 79 osób ma szanse na niebo z powodu heroizmu w praktykowaniu cnót. 203 osoby ubiegają się o ten adres z powodu męczeństwa.

Męczennicy zostają świętymi nie tylko nad Wisłą, choć trzeba powiedzieć, że gdzie indziej rzadko. I zwykle przenosili się do Pana bardziej spektakularnie.

Męczennicą jest np. włoska święta Martyna, żyjąca prawie 2 tys. lat temu. Pragnął ją poślubić cesarz Aleksander Sewerus, jeśli ukorzy się przed Apollinem. Dziewczyna wyprowadziła zalotnika w pole i w świątyni

zaczęła modlić się, aby prawdziwy Bóg zniszczył posąg fałszywego boga i pokazał, kim jest. Katolicki Bóg sprostał oczekiwaniom. Trzęsienie ziemi zabiło kapłanów i zrujnowało posąg Apollina.

Wówczas cesarz kazał poddać kobietę torturom, ale sprawiła, że kaci nawrócili się na chrześcijaństwo. Nie rozszarpały jej również lwy; odwrotnie – grzecznie ułożyły się u jej stóp.

Spalenie jej na stosie uniemożliwił ulewny deszcz.

Bo nie zdążył się urodzić

W Polsce do świętości pretendują przede wszystkim ofiary niemieckich i radzieckich okupantów, systemu komunistycznego i ludobójstwa na Wołyniu.

Całą rodziną znajdą się w niebie Ulmowie. Mieszkali w Markowej, pod koniec 1942 r. przyjęli pod swój dach dwie żydowskie rodziny. Ktoś doniósł. Niemcy zabili małżonków. Potem ich sześcioro dzieci. Jak poinformował o. Szczepan Praśkiewicz, relator Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, Kościół chce wynieść na ołtarze wszystkich członków rodziny, włącznie z bezimiennym 7-miesięcznym płodem, który zaczął się rodzić podczas śmiertelnych konwulsji matki.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

Rysunki TOMASZ WIATER

eprasa.pl dc8f67621c

Jedna martwa dziewczyna

Śladami Wojtyły podąża Zając.

Nocą 24 stycznia 2017 r. w boliwijskiej Cochabambie w czekającym na otwarcie budynku ochronki Sióstr Służebniczek Dębickich zabito 25-letnią stewardesę Wizz Air Helenę Kmieć.

Dziewczyna postanowiła wziąć urlop w pracy i zaliczyć egzotyczny półroczny wolontariat, zanim ogłosi zaręczyny i weźmie się za produkcję katolickich niebożątek. Towarzyszyła jej koleżanka Anita Szuwald (obecnie Adamczyk). Ta panna miała więcej szczęścia. A właściwie całe mnóstwo szczęścia, bo stanęła oko w oko z kolesiem, który sprzedał śpiącej Kmieć serię uderzeń nożem (15 ran kłutych, 11 ciętych) i oddalił się ze znajomym, unosząc jako łup dwie butle z gazem i trochę suwenirów.

Zakonnice uznały to, że Szuwald nie spadł włos z głowy, za cud. I był to pierwszy cud z wielu. A kolejne od pięciu lat się produkują… W sumie zupełnie niepotrzebnie, bo do wyniesienia na ołtarze męczennika Kościoła katolickiego cuda nie są akurat potrzebne, wystarczy paskudna, odpowiednio krwawa śmierć. Jakiego męczennika? Męczennicy, bowiem kilka godzin po napadzie stało się jasne, że rodzinne otoczenie stewardesy spróbuje na niej natrzepać forsy i prestiżu.

Coś się święci

Pierwsze komunikaty koncentrowały się na tym, że Kmieć nie została zgwałcona, a pierwsza inba dotyczyła sprowadzenia kompletnego ciała (relikwie!), które władze boliwijskie chciały poddać tradycyjnej w tamtym klimacie kremacji. Na początku grudnia 2022 r., po upływie obowiązujących w prawie kanonicznym pięciu lat od tragicznej śmierci katolika, krakowska kuria ogłosiła powołanie postulatora, który będzie odpowiadał za przygotowania i prowadzenie procesu beatyfikacyjnego Heleny Kmieć. Tego zaszczytu zrzekł się ordynariusz Cochabamby abp Oscar Aparicio, który morderstwo stewardesy umieścił w nurcie *femicidio* – zabójstw kobiet, paskudnej rozrywki latynoskich mężczyzn. Zrzekł się szybko, bo cała sprawa dla boliwijskich sukienkowych miała urok przerzucanego gołymi dłońmi gorącego kartofla.

„Błogosławiona, bo jakiś Mokebe jej kosę sprzedał… no bez jaj” – takie komentarze jak ten można było przeczytać w sieci rychło po ogłoszeniu dekretu abp. Marka Jędraszewskiego.

Inny komentarz: **„Helenka stała się ofiarą napadu bandyckiego, nie była żadną męczennicą, wuj biskup załatwił wyjazd w bezpieczne miejsce do Boliwii, gdzie miała spełniać swoje młodzieńcze marzenia i pragnienia, a przy tym się dobrze bawić. Jeżeli Kościołowi katolickiemu brakuje osób, które mógłby wynieść na ołtarze, to niech raczej zamknie listę świętych”.** Takie jak ten nie są odosobnione. Już wcześniej na YouTube, zalewanym filmami o glorii Heleny Kmieć, wyłączono możliwość komentowania, aby uniknąć podobnych.

„Stało się to, co miało się stać. Ale gdybym była rodzicem, to miałabym żal do zakonnic, które miały się tymi dziewczynami opiekować. Znam trochę latynoskie realia. Byłam miesiąc w Ekwadorze i parę dni w Boliwii. Słyszałam różne opowieści od ludzi, którzy tam pracują. Dziewczyny powinny dla bezpieczeństwa mieszkać tam, gdzie zakonnice. W tak biednym kraju zawsze istnieje większe zagrożenie napadem rabunkowym, a wystraszony człowiek czasem zachowuje się jak osaczone zwierzę. Siostry znały realia tego kraju. Zbyt lekkomyślnie umieściły dziewczyny poza swoim domem. I nie tłumaczy tego klauzura, bo można podzielić pokoje czy korytarze” – pisze dziewczyna o nicku Joanna Joanna w jednym z komentarzy. Tymczasem dziewczyny – Helena i Anita – miały do obrony pluszowego psa Hanesa, o czym bardzo błyskotliwie przez publiczne media społecznościowe poinformowały internautów na całym świecie 2 dni przed napadem…

Cóż, niezbyt grzecznie jest wytykać martwej koligacje rodzinne oraz nieodpowiedzialność sukienkowych. Co jednak warto zapamiętać:

zanim postanowicie dać się zajebać z nadzieją na świętość, upewnijcie się, że macie w rodzinie ustawionego kościelnego przydupasa, bo inaczej nici z chwały w niebie.

Tam, gdzie stoją konfitury

Jak łatwo zorientować się po najwcześniejszych nagraniach z internetu, Wolontariat Misyjny „Salvator”, w ramach którego działała Helena Kmieć, był skłonny kilka godzin po tragedii dać se siana z misjami przynajmniej na rok. Siostrzyczki służebniczki dębickie nabrały wody w usta – o tyle słusznie, że ich reguła przewiduje rotacyjne obsadzanie placówek – obecnie nie ma w Cochabambie żadnej, która znałaby Kmieć. A sprawie szokującej nieodpowiedzialności zakonnic wobec naiwnych gówniar ukręcono łeb. Mało kto zresztą pamięta w tym pełnym przemocy postkolonialnym mieście zabójstwo dziewczyny. Jedna więcej, jedna mniej…

Przez pierwsze dni robiono wszystko, aby powszechnie nie wygadać się, kto jest wujkiem zabitej. Jan Zając – biskup pomocniczy senior archidiecezji krakowskiej – podawał się za przyjaciela rodziny Kmieciów, a nie za brata dziadka Heleny, choć krótki rzut okiem na życiorys dziewczyny pokazuje, że mamy do czynienia z tzw. katolickim bananowym dzieckiem. W sukurs Kościołowi przyszła starsza o 2 lata siostra Kmieciówny Teresa, cała załoga katolickich szczeniąt, a także… Szydło, Kempa, Duda wraz z dziennikarzami telewizji publicznej, Rydzykiem, „Niedzielą” i resztą świętojebliwych mediów. Postanowieniem Prezydenta RP z 7 lutego 2017 r. Helena Kmieć została pośmiertnie odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi. Miała 2-dniowy pogrzeb państwowy – taki z żołnierzami jak na pogrzebie generała Hermaszewskiego. Mszę przedpogrzebową celebrował kardynał Dziwisz. 18 lutego 2017 r. modlono się nad białą trumną w sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej w Trzebini, a dzień później w rodzinnym dla zmarłej Libiążu.

Rychło powstała Fundacja im. Heleny Kmieć, o co łaska zawołali też salwatorianie. Do tego okolicznościowe książki i nagrania-cegiełki dla małych i dużych. Harcerze, wspólnoty katolickie, konkursy poezji; modlitewne wyjce wszelkiego autoramentu obrały sobie tę jednak Bogu ducha winną młodą kobietę za patronkę. Została pośmiertnie Honorową Obywatelką rodzinnego miasta, a ulicę Kościelną w Libiążu przemianowano na Heleny Kmieć. Pod numerem 2 mieści się zespół szkół Katolickiego Stowarzyszenia Wychowawców, do którego uczęszczała Helena, zanim dostała stypendium w brytyjskim katolickim Leweston Sherborne.

A rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak przyznał Helenie pośmiertnie Odznakę Honorową. I powiedział: **„Helenka pozostała iskierką dobra na ziemi i płomieniem światła w niebie”.**

Rys. TOMASZ WIATER

Prałat Franciszek Ślusarczyk, były kustosz sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach, jodłował: **„Kiedy dowiedziałem się o tym męczeństwie, tak sobie pomyślałem, że to jest taka współczesna nasza polska męczennica, taka jak kiedyś błogosławiona Karolina Kózkówna, która również w bardzo młodym wieku oddała życie za Chrystusa. I myślę, że to świadectwo jej takiej pięknej żywej wiary, dojrzałej mimo jeszcze młodego wieku, będzie owocowało”.**

Teresa Kmieć w rozmowie z „Onetem” rzekła: **„Wylałam dużo łez i na pewno sporo jeszcze wyleję. Od początku jednak wiedziałam, że Helenka w niebie czuje się znacznie lepiej. (…) W nas na pewno jest głęboka tęsknota za Helenką, ale jest też wielka duma i przekonanie, że mamy w rodzinie świętą”.**

Kręcić korbę

Cały Libiąż, 17 tysięcy dusz, sprawia wrażenie miejsca nawiedzonego. W czasie II wojny światowej był tu podobóz KL Auschwitz Janinagrube, popularnie zwany Gute Hoffnung, czyli Dobra Nadzieja. Humor mieszkańcom wciąż dopisuje, skoro honorowymi mieszkańcami miasta oprócz Heleny Kmieć są: proboszcz parafii Przemienienia Pańskiego Stanisław Marchewka, biskup Jan Zając, kardynałowie Franciszek Macharski i Stanisław Dziwisz.

Zanim ubito Kmieciównę, miasteczko chwaliło się Franciszkiem Flasińskim, księdzem odstrzelonym w 1946 r. przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Działa tu Fundacja Brata Alberta, wspomniane Katolickie Stowarzyszenie Wychowawców, oazy i co można sobie jeszcze wymyślić dla uświęconego bólu głowy. W sumie nie ma się co dziwić, skoro nad okolicą czuwa Jan Zając. Kolega Jędraszewskiego, którego wyświęcał do zawodu Lolek Wojtyła, a na biskupa przerabiali Macharski z Dziwiszem. Zając przeszedł drogę od wikariusza w Wadowicach do rektora w krakowskim seminarium, a nawet do biskupa historycznej Tadduensis. Jest też komandorem Zakonu Rycerskiego Bożego Grobu w Jerozolimie, który wywodzi swoje pochodzenie od kompanów krzyżowca Godefroya de Bouillona. Celowo wspominam o tym, aby młodzież w czasie kryzysu nie pomyślała, że łatwo wpisać sobie do CV egzotyczne misje, a **„żyj szybko, umrzyj młodo, zostaw piękne zwłoki”** gwarantuje świętość… Nie, nie! Trzeba czegoś więcej. Koneksji. I pomyślunku. Dudki na wstępną promocję też są niezbędne. Ale pomyślunek najważniejszy. I taki ma biskup komandor.

W 2002 r. Zając objął funkcję kustosza sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach. Pełnił ją do 2014 r. i dziś jest kustoszem honorowym. Miał czas, aby zapoznać się z historią świętej Faustyny, której świątynia jest poświęcona. Faustyna (właściwie Helena Kowalska), mistyczka, stygmatyczka, gruźliczka, schizofreniczka, z której kultem Kościół przez lata walczył. No ale nie polski Kościół. Włochom było nie w smak, że Faustynce Jezus Chrystus pokazał się kompletnie na golasa, na robociarskiej imprezie w łódzkim parku Wenecja (w 1924 r.). Pokazał i nie odpuścił. Dalej były bilokacje, lewitacje i ataki demona. Również w zakonie Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, do których Faustyna wstąpiła. Zakonnice prędko miały nawiedzonej koleżanki po kokardę. Zmarła w 1938 r., do końca utrzymując, że jest sekretarką Jezusa Chrystusa. Pochowano ją w podkrakowskich Łagiewnikach. Sekretarzem zaś Faustyny został Jan Paweł II, który pod **„jej natchnieniem”** miał napisać encyklikę „Dives in misericordia” i zalegalizować kult Kowalskiej. Kult obecny w sanktuarium Bożego Miłosierdzia… Pod którego wpływem nieustająco przebywał Zając. Sekretarka Boga to jednak nie stewardesa, nawet z tytułem magistra inżyniera (taki miała Kmieć), no i Faustyna wzięła i umarła, nikt jej nie zabił.

Zając zaczął lansować Helenę Kmieć na wzór błogosławionej Karoliny Kózkówny. Kózkówna została zasieczona rosyjską szablą. Zmarła z wykrwawienia – zupełnie jak Kmieciówna. Została błogosławioną Kościoła, ponieważ uchroniła 16-letnią cnotę przed niezidentyfikowanym rosyjskim żołnierzem – wszystko u progu I wojny światowej. Karol Wojtyła ze swoimi macherami od katolickiego PR lansował Kózkównę jako polską Marię Teresę Goretti.

Goretti umarła w 1902 r. Obecnie jest świętą i męczennicą – beatyfikowana i kanonizowana przez Piusa XII. 11-latka oberwała 14 razy kosą, ale obroniła dziewictwo przed niecnym sąsiadem. Alessandro Serenelli ostatecznie odsiedział połowę wyroku – a został skazany na 30 lat – i stał się kapucynem w klasztorze. Jego ofiara wybaczyła mu na łożu śmierci.

Maria Teresa Goretti, Karolina Kózkówna, Faustyna Kowalska, Helena Kmieć – Zającowi trafiło się jak ślepej kurze ziarno… Aż trudno w jego wypadku nie uwierzyć w istnienie Boga.

Przydałoby się, aby teraz nawrócił się rówieśnik Heleny Kmieć, Romualdo Mamio Dos Santos – chłopak, który sprzedał jej na śpiku kosę, a który już wcześniej garował za gwałt. Ma, jak wcześniej Serenelli, 30 lat w pace na odkrycie łaski Chrystusa… **„W wizji lokalnej nie odtworzył on** (Dos Santos) **przebiegu tego bolesnego wydarzenia. Nie przyznał się, dlaczego to zrobił i czy miał wspólników. Nie padł na kolana, o czym też było głośno w mediach, żeby przeprosić. Wzruszył się, to prawda, gdy nasze siostry Boliwijki dały mu coś do jedzenia i ciepły koc oraz gdy powiedziały, że my (siostry) i rodzice Helenki przebaczyliśmy mu i że modlimy się, by Pan Bóg dał mu łaskę nawrócenia. Wyraził się, że nie jest godzien otrzymywać dobroć i dary od sióstr, wtedy wypowiedział nawet słowo »przepraszam«. To wskazuje, że jakieś uczucia skruchy się w nim wzbudziły, i za to dziękuję Bogu, ponieważ gdy zobaczyłam jego fotografię tuż po aresztowaniu, a potem na naszym monitoringu, to już sam jego wygląd wzbudzał we mnie lęk. Zło przebijało z wyrazu jego twarzy, był jakby bez uczuć. Ale do prawdziwego nawrócenia wciąż bardzo daleko”** – powiedziała na łamach „Niedzieli” (nr 7/2018) służebniczka dębicka siostra Savia Bezak.

Należy pamiętać, że Dos Santos jest jednym z „bękartów”, których stworzyła w Boliwii nędza wyrosła na wspólnych grabieżach hiszpańskich konkwistadorów i Kościoła katolickiego. A sięgając bliżej – na ogołoceniu Boliwijczyków najpierw ze srebra, a później z cyny. Cochabamba robiła za zaplecze upiornej kopalni w Potosi. ***„Valer un potosí”*** oznacza w boliwijskim slangu **„być wartym fortunę”,** ale raczej nie dotyczy to tubylców…

Cud w Libiążu

Nie trzeba specjalnie się zastanawiać, jaki hajs na błogosławionej, a może i świętej dałby radę zarobić Libiąż. Choć i tak będzie to marny grosz w porównaniu z tym, który zgarnie Kraków. Marek Jędraszewski umie liczyć. **„Wstań! Chrystus cię woła”** (Mk 10, 49) było hasłem tegorocznego sympozjum CCEE (Consilium Conferentiarum Episcoporum Europae). W Krakowie zastanawiano się, jak ściągnąć do Kościoła młodych, a jedną z prelegentek była Teresa Kmieć, która dawała ustne świadectwo świętości Heleny…

Prawdą jest, że rozśpiewana, fotogeniczna i co najmniej seksowna ewentualna oficjalna męczennica bardzo by się propagandzie kościelnej dzisiaj przydała. **„Bóg nie powołuje uzdolnionych, ale uzdalnia powołanych”**, jak mawiają. Smutne jest w tej historii to, że dziewczyna zginęła, bo zaniedbano bezpieczeństwo ochronki w myśl polskiej zasady: jakoś to będzie. Smutne jest, że dziewczyna, której matka umarła na tętniaka 6 tygodni po porodzie, całe krótkie życie zabiegała wręcz z narcystyczną zachłannością o miłość, uwagę i prawo do istnienia, a teraz wszyscy wokół, począwszy od starszej siostry, odcinają od tego kupony…

Smutne jest, że człowiek był i człowieka nie ma. Pośmiertna sława to raczej słaby powód, żeby się jarać. Ale może katolicy mają inaczej…

Procedura kanonizacji to co najmniej 250 000 euro dla Watykanu, które ostatecznie musi uiścić wnioskodawca. Żeby wyjąć, trzeba włożyć… Dlatego choć cuda są w tym konkretnym przypadku (męczeństwo) potrzebne psu na budę, przygotujmy się, że w najbliższym czasie Polskę – za przyczyną Heleny Kmieć – zaleje ich fala. Plus rzeka cegiełek „co łaska”.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl dc8f67621c

Na randce z matką

Pansatanizm, czyli diabeł zawsze dzwoni dwa razy.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Gdy politycy skoczyli sobie do gardeł z powodu zamieszania wokół obecności na polskiej ziemi niemieckich patriotów, Wojownicy Maryi – formacja niekosztująca podatników nawet złamanego grosza, a wykazująca na współczesnym polu walki skuteczność większą od rakiet, czołgów i bomb atomowych – modlili się za ojczyznę. To unieważnia wszelkie spory na temat kształtu polityki obronnej, bo wszczynane przez nich modły już od dłuższego czasu przynoszą oszałamiające rezultaty. Jesienią zeszłego roku polsko-białoruską granicę szturmowali ciapaci gwałciciele zwierząt i niemowląt; w odpowiedzi Wojownicy Maryi zorganizowali „Szturm do nieba", czyli serię mszy w intencji ojczyzny. **„Owoce tej zbiorowej modlitwy były wielkie. Odnotowano spadek nielegalnych przekroczeń granicy, odparta została nawałnica nielegalnych imigrantów. Te wydarzenia pokazują, jak ważna jest modlitwa"** – skromnie ocenił efekty szturmu jeden z jego koordynatorów. „Skromnie", bo pominął długą na 170 km i wysoką na 5,5 m zaporę graniczną, która sterowanym przez kremlowskie służby sodomitom uniemożliwia gwałcenie polskich krów i osesków, a bez modłów maryjnych wojaków i wstawiennictwa Najświętszej Panienki takie ustrojstwo nigdy by nie powstało.

Putin wisi

Kolejną porcję propolskich modlitw Wojownicy Maryi zmówili 26 lutego 2022 r. Planując event, nie mogli wiedzieć, że Rosja napadnie na Ukrainę i przyjdzie im prosić patronkę nie tylko o pomyślność ojczyzny, ale także o spuszczenie łomotu agresorom.

Owoce tej akcji modlitewnej okazały się pokaźniejsze niż w przypadku granicznej sodomii, albowiem skazanym na klęskę Ukraińcom udało się odeprzeć ruski atak na Kijów, a kilka miesięcy później przejść do kontrataku, co graniczy z cudem. I – rzecz jasna – leży w interesie stojącej na straży tradycyjnych wartości Rzeczpospolitej. Teraz Wojownicy Maryi zapowiadają, że 11 grudnia w całej Polsce odbędą się procesje pokutne, a w przyszłym roku walkę o przychylność mieszkańców nieba będą prowadzić często i regularnie. Ergo: Putin prawie wisi, tylko jeszcze o tym nie wie.

„Prawie" czyni jednak różnicę, bo diabeł nie próżnuje, wkłada komżę, mąci, a nade wszystko obrzuca błotem przywódcę Wojowników Maryi.

Demon ma kota

Formacją dowodzi Dominik Chmielewski, kapłan o nietypowym życiorysie. W latach 90. był zawodowym karateką (trzeci stopień mistrzowski) i gorliwym buddystą, lecz z ciekawości wybrał się do Medziugorie, tam przeszedł wstrząs duchowy, po powrocie do kraju wstąpił do Towarzystwa św. Franciszka Salezego, a 8 lat później przyjął święcenia kapłańskie. Ojciec Chmielewski od początku swej posługi głosi radykalne poglądy.

Przykład: całkiem serio utrzymuje, że demony potrafią opętać nie tylko ludzi, ale także koty. Żeby udowodnić tę śmiałą tezę, przytacza relację z egzorcyzmów, w których – jak twierdzi – brał udział.

„Modliliśmy się o uwolnienie opętanej niewiasty. Po modlitwie demony wychodziły z niej, ale już po chwili wracały. W końcu demon został zmuszony przez Matkę Bożą, żeby powiedział, dlaczego tak jest. Wyznał, że comeback przychodzi mu łatwo, bo pewna osoba, która źle życzy niewieście, podarowała jej kotka. Zwierzę było milutkie, ale intencją podarowania było złorzeczenie obdarowanej. I demon przejął to zwierzę. I przez to zwierzę był bardzo blisko kobiety, więc ona, wracając z egzorcyzmów do swego domu, wchodziła w bezpośrednie oddziaływanie z kotem i na nowo otwierała się na demony. Wszystko było oczyszczone w jej domu z wszelkiego okultyzmu, nie było talizmanów, amuletów, »Gazety Wyborczej«, wszystkie książki o magii i wróżeniu były wyrzucone i spalone. Ale infekował demonicznie kot" – głosi zakonnik.

Fenomen zlustrowany

Opus magnum salezjanina jest utworzona przez niego w 2015 r. **„męska wspólnota Wojowników Maryi"**. Początkowo o formacji słyszała garstka zapaleńców, ale gdy w 2021 r. trybunał Przyłębskiej orzekł, że nie można skrobać nawet bezgłowego płodu, i na ulice wyszły zjeżone białogłowy, Wojownicy Maryi zapowiedzieli, że księży i kościołów będą bronić do krwi ostatniej, a obietnica przysporzyła im popularności. Dziś do wspólnoty należy 5 tysięcy członków, głównie świeckich.

Episkopat uznał, że **„zgromadzenie tysięcy mężczyzn jest niewątpliwie fenomenem, ale niektóre kwestie wymagają zbadania"**, i przeprowadzenie lustracji powierzył Komisji Nauki Wiary. Komisja orzekła, że nauki ks. Chmielewskiego oraz działania Wojowników Maryi – delikatnie mówiąc – wymagają korekty.

W szczególności zarzuciła zakonnikowi, iż podczas kazań neguje prawdziwość pandemii i twierdzi, że **„lekarze przyznają w sekrecie, że biorą pieniądze za fałszowanie aktów zgonu i wpisywanie covidu jako przyczyny śmierci, a w rzeczywistości istnieje tylko pandemia strachu"**. Komisja wskazała, że ks. Chmielewski **„przepowiada, iż pandemia to narzędzie Szatana, wyrażając tym samym pogląd niezgodny ze stanem wiedzy w celu podsycania lęku społecznego"**.

W tym samym celu **„jego kazania często odwołują się do demonów i mają wymiar apokaliptyczny, zaś przesadna demonizacja i pansatanizm sprawiają, że gdy zadzwoni telefon podczas modlitwy, wierny traktuje to jako złośliwe działanie diabła"** – wywiodła komisja.

Ponadto oskarżono Chmielewskiego o sekciarstwo (**„Wizja świata prezentowana przez księdza zmierza w kierunku podziału na zły świat, będący w gestii szatana i w rękach przewrotnych ludzi, oraz dobry świat, który powstaje tam, gdzie są Wojownicy Maryi, co jest charakterystyczne dla sekty"**), przypisywanie różańcowi nadskuteczności (**„Wojownicy Maryi wykonują dla siebie różańce z metalowych kulek i linki spadochronowej, a kaznodzieja zdaje się sugerować, że jest on skuteczniejszy od egzorcyzmu uroczystego"**), militaryzm (**„retoryka militarna jest silnie obecna w kazaniach i być może ma swoje korzenie w osobistych doświadczeniach kaznodziei, ale niewątpliwie wypacza wizję Kościoła"**), a także erotyzację Matki Boskiej (**„poleca wojownikom myśleć o Maryi jako najpiękniejszej dziewczynie świata, zakochać się w niej jak w najwspanialszej kobiecie i umówić na randkę, co prowadzi do mariologii obarczonej naturalizmem, sensualizmem i sentymentalizmem"**).

Stos lub piach

Uczeni teologowie z komisji przyczepili się również do statutu Wspólnoty Wojowników Maryi, perorując, iż **„absolutyzuje on rolę kapłana prowadzącego – opiekuna duchowego ruchu, czyli księdza Dominika Chmielewskiego, co sprzyja pokusie podporządkowania ruchu jednej osobie, autorytaryzmowi i hermetyzacji ruchu"**.

Przebrany w komżę diabeł ataku dokonał więc na wielu frontach, lecz ks. Chmielewski jako doświadczony pogromca opętanych kotów szatańskie sztuczki zna na wylot i nie wystraszył się,

tylko obwieścił, że zarzuty komisji są wyssane z palca. Mówiąc wprost, wezwanie do korekty nauczania i działania olał dokumentnie. Episkopat ma dwa wyjścia: może spalić kapłana na stosie i zdelegalizować wspólnotę albo schować głowę w piach. Pierwsze niechybnie doprowadzi do schizmy, na co osłabiony skandalami Kościół nie może sobie pozwolić.

Wniosek: wojownicy nadal będą umawiać się na randki z dziewicą, a w przerwach bronić Polski i nawet bez niemieckich patriotów możemy spać spokojnie.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Deweloper co łaska

Jak się bardzo chce, to apartamentowiec można postawić nawet pod nosem Pana Boga i na terenie objętym ochroną konserwatorską.

Rys. TOMASZ WIATER

Na warszawskim Muranowie stoi zabytkowy kościół św. Augustyna. Świątynia znana jest z cudów. W latach 50. i 70. na kopule kościoła ukazywała się wiernym Matka Boska. Wśród mieszkańców stolicy wybuchło wielkie poruszenie, a funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa mało nie zesrali się ze strachu – nie przed Najświętszą Panienką, ale przed ewentualnymi niepokojami społecznymi. Wezwano fachowca, który pod osłoną nocy wdrapał się na wieżę i za pomocą farby, która nie odbijała promieni słonecznych, pomalował kopułę. Matka Boska zniknęła.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że wkrótce u św. Augustyna dojdzie do kolejnego cudu. Proboszcz parafii Walenty Królak zamierza postawić tuż przy świątyni, w miejscu gdzie znajduje się teraz prowizoryczny parking, 8-kondygnacyjny apartamentowiec z podziemnym garażem i działalnością usługową na parterze. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale dom boży wpisany jest do rejestru zabytków, a okoliczne kamienice z charakterystycznymi podwórkami w kształcie litery C, wzniesione po II wojnie światowej na gruzach getta, wpisano do ewidencji zabytków, co uniemożliwia stawianie nowych budynków.

Królak budowę planuje od dawna, ale kilka lat temu podległy ratuszowi stołeczny konserwator zabytków powiedział „nie". W międzyczasie PiS zmieniło prawo i kompetencje konserwatorskie przeszły do podlegającego rządowi wojewódzkiego konserwatora zabytków, który pobłogosławił księżowską inwestycję.

Okoliczni mieszkańcy są przeciwni budowie i nie ukrywają wkurzenia. Czują się ofiarami walki politycznej, gdy władze wojewódzkie podległe PiS robią wszystko, aby dopiec samorządowcom z Warszawy.

Zwykli ludzie dostaną rykoszetem.

Apartamentowiec nie tylko będzie pasował do okolicznej zabudowy jak pięść do nosa, zaburzając ład architektoniczny, ale spowoduje zagęszczenie budynków, a przez to ograniczy dostęp naturalnego światła do sąsiednich kamienic. Pod budowę trzeba będzie wyciąć 70-letnie topole, a zabetonowanie kwartału będzie miało wpływ na mikroklimat. Przy obserwowanych zmianach klimatycznych, suszy, złej jakości powietrza będzie to działanie wbrew zdrowiu i normalnemu funkcjonowaniu mieszkańców.

Najbardziej oburzające jest to, że Królak, aby się wzbogacić na planowanej inwestycji, okłamał owieczki, twierdząc, że buduje dom katechetyczny.

„Od niespełna 30 lat parafia próbuje zrealizować projekt budowy parafialnego domu katechetycznego. Jest ogromne prawdopodobieństwo, że budowa wkrótce ruszy. Wszystkim tym, którzy wspierają to dzieło, wielce dziękujemy" – napisał księżulo na stronie internetowej parafii i podał numer konta do wpłat.

Sługa Pana Boga liczy na to, że naiwni ludzie sfinansują budowę apartamentowca, z którego czarny będzie potem czerpał zyski.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl dc8f67621c

Chłopiec zły

Gangsterzy i prorocy.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Dlaczego właściwie zginął Nikodem Skotarczak „Nikoś” i kto go odpalił? Minęły 24 lata od jego śmierci i nadal nie wiadomo. A kto zastrzelił Papałę, w końcu komendanta głównego policji? Zginął w tym samym roku co „Nikoś”, czyli 24 lata temu. Powstały różne teorie, ale żadna się nie sprawdziła do tej pory. A Jeremiasz Barański, „Baranina”, oskarżony o zlecenie zabójstwa byłego ministra sportu Jacka Dębskiego – do zabójstwa się nie przyznał – dlaczego niby miał się powiesić w celi? Nic wcześniej nie wskazywało na to, że ma stany depresyjne. Twardy był. Dlaczego państwo trzyma ciągle w więzieniu Juranda Nagórskiego, choć odsiedział już tyle lat, że wyczerpał długość kodeksowej kary?

Butelka serce koi

Krótko po tym, jak zostałem zastępcą Urbana w tygodniku „NIE” i przeprowadziłem się do Warszawy, zadzwonił Jurand Nagórski i zaprosił mnie na kolację. Kolacja miała się odbyć we włoskiej restauracyjce w większym gronie. Miałem poznać kolegów i znajomych Juranda. Byłem podekscytowany, a jednocześnie trochę przestraszony. Dlaczego?

Juranda Nagórskiego, o którym prasa w swoim czasie pisała Jurand N. i którego przedstawiała jako wyjątkowo groźnego gangstera, poznałem kilka lat wcześniej. Spotykaliśmy się od czasu do czasu na kawie. Jurand przypadł mi do gustu jako sympatyczny, kulturalny, inteligentny człowiek. Owszem, miałem świadomość, czym się kiedyś zajmował i że był w tej robocie sprawny, a sławy dodawały mu pomysłowość, odwaga i brawura. Prasa rozpisywała się o nim szeroko jako o jednym z „wrogów publicznych”, zaliczając go do tzw. mafii, a wymiar sprawiedliwości go prześladował. Na mnie zawsze robił dobre wrażenie.

No, ale w Warszawie miałem spotkać się z ludźmi z tzw. miasta, z obrosłego złą sławą Pruszkowa. W głowie miałem uformowane przez media obrazy: gangsterzy, biesiada do białego rana, wódka się będzie lała, nie daj Boże pojawi się koks. Kto wie, jak taka kolacja może przebiegać i czym się może skończyć. Dla dodania sobie odwagi zapytałem redakcyjnego kolegę Maćka Wiśniowskiego, czy nie wybrałby się ze mną. Wybrałby. Uff… Pojechaliśmy.

Towarzystwo już siedziało, zostaliśmy sobie przedstawieni. Kto tam był, nie pamiętam, bo czasami zapominam, a już do nazwisk to pamięci nie mam kompletnie.

Panowie kulturalni, mili, sympatyczni. Atmosfera trochę jak z serialu „Rodzina Soprano”. Ten je tylko sałatkę, bo dieta, tamten tylko zupę, bo jednak wieczór i się nie będzie najadał, trzeci za wino dziękuje, bo będzie prowadził. Właściwie nikt poza mną i Maćkiem nie pił, pozostali ledwie moczyli usta w czerwonym winie. Ale i nam wobec tego nie wypadało pić za dużo. Wychodziło na to, że jedynym zainteresowanym wychyleniem większej ilości alkoholu na tym spotkaniu jestem ja. Wstyd było to okazać.

Po dwóch czy trzech godzinach towarzystwo zaczęło się żegnać.

Jeden ze starych towarzyszy Juranda, który przyjechał z nim z Gdyni i planował zostać w Warszawie dłużej, zaproponował przy pożegnaniu mnie i Maćkowi: „Chłopaki. Zatrzymałem się w Marriotcie. Wpadnijcie do mnie do pokoju. Mam dużą butelkę whisky. To jeszcze pogadamy”.

Zgodziliśmy się natychmiast.

Przewrotny uśmiech

Nagórskiego poznałem kilka lat wcześniej poprzez pewną panią mecenas. Zapytała, czy może dać mu mój numer telefonu. Zgodziłem się. Z mediów wiedziałem, jakie sprawki przypisuje się Nagórskiemu. Nie tylko kradzieże samochodów, ale przede wszystkim głośną ucieczkę z aresztu śledczego w Wejherowie, w trakcie której doszło do postrzelenia dwóch strażników.

Myślałem wówczas, że Jurand to nie imię, ale pseudonim. A najsłynniejszy polski Jurand, wiadomo, **„był to człowiek mający nie tylko ciało, lecz i duszę z żelaza, umiał łamać innych, umiał i siebie”**. W wyniku walk z Krzyżakami stracił jedno oko, w miejscu którego nosił przepaskę, przez co wyglądał jeszcze straszniej.

Umówiliśmy się na parkingu przed hotelem w centrum Gdyni. Wyobrażałem sobie, że zobaczę wielkiego faceta jeśli nie z przepaską na oku, to przynajmniej o bardzo ponurym obliczu, z łysą głową, obowiązkowo szerokimi barami, który w jednej ręce będzie trzymał może nie miecz, lecz przynajmniej maczetę albo kij bejsbolowy. Ujrzałem sympatycznego człowieka w moim wieku, do którego najlepiej pasowałoby określenie „student”. I to raczej z renomowanego college'u.

– Niech pan dobrze zamknie samochód, bo jeszcze go ktoś ukradnie – rzucił z przewrotnym uśmiechem.

Druga rzecz, jaka mnie zdziwiła, to że przyjechał fiatem punto, a nie jakimś wypasionym mercem. Miałem wówczas peugeota 206, żaden szał, ale jednak fiat punto to nie był samochód, którym moim zdaniem mógł się poruszać słynny złodziej samochodów.

Nagórski pokręcił z pobłażaniem głową: – Mały, to zaparkować w mieście wszędzie można. Samochód to urządzenie, służy do swobodnego przemieszczania się. Wyznacznikiem statusu jest najwyżej dla tych, którzy nie mogą zaimponować osobowością. Co pan tak szablonami myśli?

Zamknąłem się.

Wymyśleni z morza

Trójmiasto od zawsze miało specyficzny klimat. Porty to statki z całego świata, marynarze, obcokrajowcy. Co wieczór na poszukiwanie rozrywki, muzyki, alkoholu, seksu wyruszało kilkuset mężczyzn. Przede wszystkim zachodnich marynarzy mających dewizy.

Lata 70., gdy od władzy odsunięto siermiężnego Władysława Gomułkę, a funkcję I sekretarza KC PZPR objął „światowy” Edward Gierek, oznaczały skok inwestycyjny, konsumpcyjny i częściowe otwarcie PRL na Zachód. Pojawiły się pierwsze sklepy Peweksu, gdzie za dolary lub tzw. bony można było kupić towary z zagranicy: słodycze, alkohol, papierosy, kosmetyki, ciuchy. Podobną siecią była powstała w Gdyni Baltona.

To wokół tych sklepów rozwinęła się pierwsza przenośna i mobilna sieć tzw. kantorów, którą tworzyli panowie nazywani cinkciarzami (od zniekształconego angielskiego wyrażenia *„change money”*, wymawianego **„cincz many”** lub **„cieńć many”**) albo cynkami. To byli pierwsi ówcześni biznesmeni, którzy obracając walutą, regulowali kurs ówczesnego dolara i innych walut. Można śmiało ich nazwać maklerami Polski Ludowej. W Trójmieście zarabiali krocie.

To tu zaczęto, dzięki łatwiejszemu dostępowi do deficytowych towarów z Zachodu, tworzyć małe imperia handlowe i biznesowe, a kultowe już dzisiaj hale targowe w Gdyni i w Gdańsku – gdzie panie marynarzowe miały swoje boksy – stały się miejscem narzucającym trendy całemu krajowi: w co się ubierać, co jeść i jakiej muzyki słuchać.

Posiadanie w latach 70. czy 80. banknotu 100-dolarowego było obwarowane karą pozbawienia wolności od roku w górę. I tak władza była łaskawa. W październiku 1950 r. wprowadzono ustawę, zgodnie z którą za posiadanie złota czy dewiz można było dostać 15 lat więzienia, a za handel nimi groziła nawet kara śmierci. Potem ustawę złagodzono.

No i musiały być miejsca, gdzie marynarze, cinkciarze, złodzieje, ludzie z peerelowskiej elity politycznej i artystycznej mogli te pieniądze wydawać. Powstawały kluby nocne w Trójmieście – z najsłynniejszym wtedy „Maximem”. To w klubach nocnych wiele później znanych postaci polskiego podziemia gospodarczego rozpoczynało karierę jako szatniarze albo tzw. bramkarze.

Nic więc dziwnego, że Trójmiasto było wylęgarnią przestępstw: przemytu, handlu walutami, złotem i srebrem, kantów na walutach, prostytucji i nielegalnego hazardu. Złodzieje samochodów byli elitą.

Do drugiej połowy lat 90. milicjanci (później policjanci), ale przecież i urzędnicy miejscy czy przedstawiciele tzw. wymiaru sprawiedliwości byli bardzo często w ekonomicznej czarnej dupie. Średnie zarobki milicjantów, a następnie policjantów, do połowy lat 90. wynosiły około 300 dolarów amerykańskich. Widząc złodziei samochodów, którzy za jedno przywiezione do Polski kradzione auto inkasowali około 10 tys. dolarów, w markowych ciuchach, w luksusowych furach, z kieszeniami pełnymi pieniędzy, z atrakcyjnymi dziewczynami u boku, ślinili się często na ich widok i marzyli, żeby choć odrobina luksusu skapnęła na nich. Banknot 100-dolarowy wciśnięty w rękę robił cuda.

Tak w rodzącej się młodej polskiej demokracji z jednej strony rozwijała się gospodarka, z drugiej – na styku lokalnych urzędników państwowych, urzędników wymiaru sprawiedliwości, adwokatów, cinkciarzy i złodziei samochodów rodził się słynny układ trójmiejski. Niektórzy twierdzą, że trwa do dziś.

Wszyscy go kochają

Jurand Nagórski wychował się na osiedlu w Gdyni Oksywiu w normalnej porządnej rodzinie. Oksywie to blokowisko. Z jednej strony port wojenny, z drugiej stocznia. Gdy pod koniec lat 80. skończył 18 lat, wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec. Słyszałem dwie wersje – że spakował się i uciekł przez zieloną granicę albo że oryginalny paszport kupił i podarował mu „Nikoś”. Nieważne… Wiedział jedno: że chce zarabiać.

eprasa.pl dc8f67621c

Złodziejską karierę zaczynał w Hamburgu. Tam w dzielnicy Sankt Pauli Nikodem Skotarczak miał sklep z elektroniką i organizował kradzieże aut na wielką skalę. Zbigniew Nawrot (podobnie jak „Nikoś" – świętej pamięci; w 1991 r. wyleciał w powietrze ze swoim ferrari przed hamburską restauracją) też handlował elektroniką i dorabiał przemytem. W Hamburgu mieszkał Ryszard Glinkowski „Tato", przyjaciel i opiekun „Nikosia", organizator napadów na zakłady jubilerskie w Europie Zachodniej (zginął zastrzelony w 1998 r. na ulicy w Gdyni).

Nagórski od razu wszedł w biznes samochodowy. Specjalizował się w kradzieżach luksusowych aut z salonów na indywidualne zamówienia. Takie za 100––200 tys. marek zachodnich. Wówczas była na nie koniunktura w Rosji.

A z salonów, bo uznawał, że szkoda moralna w sumieniu mniejsza.

Miał zorganizowaną ekipę. Gangsterzy robili w nocy wjazd na salon i uprowadzali dwie, trzy, cztery takie fury. Następnie wozacy (często kierowcy rajdowi) przewozili samochody do dziupli w Polsce, a potem wkraczali do akcji fałszerze dokumentów i następował przerzut na Wschód. Zanim niemiecka policja wszczęła procedury, auto było daleko, już u nowego właściciela.

W rodzinnej Gdyni Nagórski był królem życia. Otworzył legalny salon z używanymi samochodami z Zachodu, warsztat, pub z bilardem, który był wtedy nowością. Przychodzili tam nie tylko koledzy z miasta, ale też stróże prawa i sprawiedliwości. Nagórski nawet zaczął udzielać się charytatywnie. „Nikoś" wspierał futbol, gdańską Lechię, a Jurand domy dziecka – rozdawał dzieciakom radia tranzystorowe i magnetofony kasetowe.

W noc hulają

Z opowieści Nagórskiego: **„Był październik 1991 r. »Nikoś« skontaktował się ze mną z gorącym zamówieniem na mercedesa klasy S 560 SEC. Wówczas był to mercedes najwyższej klasy, z najlepszym silnikiem, koszt przekraczał 200 tys. marek zachodnioniemieckich. Samo zamówienie było specyficzne. Przyszło z Moskwy. Zamawiający chciał auto koloru zielonego, z zielonymi skórami wewnątrz. Niezwykle rzadki model, jeżeli chodzi o kolor i kolor skóry. Samo znalezienie takiego auta zajęło mi 2 tygodnie. Nie było internetu, a jedynym źródłem informacji, gdzie taki samochód można znaleźć, były tzw. książki serwisowe z rozrysowanymi mapkami, gdzie znajdują się serwis Mercedesa, BMW, oraz coś, co nazywaliśmy »biblią złodziei samochodów« – katalog samochodów na sprzedaż wychodzący co tydzień, ze zdjęciem auta i adresem salonu, gdzie się znajduje. Wtedy topowe modele mercedesów i bmw stały tylko w autoryzowanych salonach i serwisach tych marek.**

Zamówiony model znalazłem w dopiero co otwartym salonie w Lüneburgu, niewielkim miasteczku oddalonym 60 km od Hamburga. Właściciel salonu, Włoch z pochodzenia, ustawił mojego »grubasa« na honorowym miejscu wewnątrz salonu na obrotowej scenie. Ślicznie się kręcił wokół własnej osi, a butelkowa zieleń podświetlona halogenami dawała piękne wrażenie zgrabności i lekkości bądź co bądź 2-tonowego auta.

Salon przez całą dobę był wewnątrz rzęsiście oświetlony, a jedyna możliwość sforsowania zabezpieczeń i wejścia do środka znajdowała się na dachu na wysokości ok. 8 m, poprzez tzw. świetlik szczytowy.

Była noc z niedzieli na poniedziałek, około jedenastej. Na miejsce, po przygotowaniu i rozpoznaniu terenu, wybrałem się z bratem, który miał mnie ubezpieczać od strony ulicy – przez krótkofalówkę informować o sytuacji na zewnątrz.

Gdy zjechałem po linie do środka salonu, podszedłem do auta, pogłaskałem je. Nic nie zapowiadało mających nadejść intensywnych przeżyć związanych z kradzieżą tego samochodu.

Odnalazłem skrzynkę z kluczykami auta, które niedługo miało się stać prezentem dla kolegi Nikodema z Moskwy. Włożyłem klucz do stacyjki. Samochód kręcił się cały czas na obrotowej wystawie. Przekręciłem klucz w stacyjce. Cisza. Kontrolki nie zamigały, znaczy trzeba podłączyć prąd. Akumulator znajdował się w bagażniku. Z reguły trzeba było tylko nałożyć klemę, czyli elektryczne łączniki pomiędzy akumulatorem a zewnętrznym obwodem.

Wyszedłem z samochodu, żeby dodatkowo, jak zwykle, zalać go kilkoma litrami paliwa. Nowe samochody z reguły co prawda miały kilka litrów w przewodach, ale na pierwsze 100 km – żeby odbić się od salonu – wolałem zawsze dolać nieco paliwa w salonie, żeby potem po nocy nie szukać zbyt szybko stacji benzynowej w nocy. W pewnym momencie usłyszałem w krótkofalówce: »Jurand, to koniec! Jesteś otoczony! Jadę do Matiasa powiedzieć, że leżysz«. Matias to nasz adwokat w Hamburgu.

Prawdopodobnie właściciel miał podłączone dwa równoległe systemy alarmowe. Jeden dezaktywowałem, drugiego nie odnalazłem.

Przez szybkę zauważyłem cztery radiowozy i kilku policjantów próbujących dostać się do środka. Trzech z nich podeszło do dużej szyby wystawowej od mojej strony i zaczęło stukać kolbami pistoletów: »Stój! Nie ruszaj się! Czekamy na właściciela. Salon jest otoczony. Nie masz szans!«. Spojrzałem dookoła i pomyślałem: »Kto, kurwa, nie ma szans? Czy ja przypadkiem nie stoję przy 350-konnym aucie?«.

Podszedłem spokojnie do bagażnika, nałożyłem klemę na akumulator, usłyszałem charakterystyczne cyknięcie – znak, że mercedes był gotowy! Nakręciłem lejek na kanister i zacząłem powoli nalewać paliwo do baku.

Sytuacja była kuriozalna. Policjanci z twarzami przy szybie wystawowej przyglądali mi się, co robię. Ja obracałem się na podeście razem z autem, do którego nalewałem spokojnie benzynę. Skończyłem, wrzuciłem bańkę do środka, wsiadłem do auta, zamknąłem drzwi, odpaliłem. Zagdakało do mnie 12 cylindrów!

Nacisnąłem pedał gazu. On i jego 350 koni były do mojej dyspozycji. Spokojnie czekałem w środku, przyglądając się policjantom, aż samochód obróci się przodem na wprost wielkiej szyby wystawowej. W międzyczasie wrzuciłem najniższy bieg. Gdy maska auta zrównała się z szybą wystawy, położyłem się na siedzeniach, wcisnąłem gaz i rękoma mocno złapałem kierownicę. Poszło!

Mercedesem dojechałem do granicy między zachodnimi a wschodnimi Niemcami i przekazałem go kierowcy, który miał ruszyć dalej i przekazać auto w ręce Nikodema".

Agenci na tropie

Po tej akcji Nagórski stał się jeszcze bardziej znienawidzony i jeszcze bardziej poszukiwany przez niemiecką policję. W Hamburgu powołano specjalną grupę dochodzeniową, która miała zbadać i udokumentować jego przestępczą działalność na terenie Niemiec. Do zorganizowanego przez Juranda zespołu Kriminal Polizei udało się wprowadzić agenta, Polaka. Zajmował się wystawianiem dokumentów skradzionym autom. Oglądający je Nikodem Skotarczak twierdził, że to oryginały. Jurand upierał się, że fałszywe, ale robi je świetny fałszerz. To jednak „Nikoś" miał rację. Były faktycznie oryginalne, dostarczane przez Kriminal Polizei, a fałszerz-agent wpisywał do nich dane kradzionych fur. Tak gromadzono dowody.

Spluwy ciężkie

„Palba w Wejherowie: to nie był film", „Bitwa z gangsterami", „Dwaj strażnicy ranni", „Więzień odbity" – takie tytuły można było znaleźć w trójmiejskiej prasie w marcu 1992 r.

Nagórski od miesiąca przebywał w areszcie śledczym w Wejherowie. Aresztowano go 20 lutego 1992 r. Miał wówczas 23 lata. Dzień wcześniej staranował barierkę przejścia granicznego w Kołbaskowie, uciekając terenowym mitsubishi pajero. Uciekał przed czekającym tam na niego zespołem GSG9 (niemiecka specjalna jednostka antyterrorystyczna). Zorientował się, że gliniarze urządzili zasadzkę. Uciekł mimo ostrzału, a kilka kul dosięgło samochodu. Przekonany, że jest bezpieczny, zmienił auto na legalne i pojechał do rodziców do Gdyni. A tam kolejna policyjna zasadzka.

W areszcie dostał gryps o planie ucieczki. Przeciął sobie żyły, trysnęła krew. Strażnicy zabrali go na opatrunek do wejherowskiego szpitala. Konwojowało go dwóch młodych strażników. Koledzy Juranda czekali. Wyciągnęli broń i zażądali uwolnienia więźnia. Padły strzały. Obaj konwojenci zostali ranni. On w kajdankach na nogach doskakał do czekającego merca.

Kilka miesięcy później znów został zatrzymany. Tym razem trafił do zakładu karnego w Sztumie jako N – niebezpieczny. Choć za niebezpiecznego uchodził już wcześniej.

Niebezpieczny

Z opowieści Nagórskiego: **„Po ucieczce z Wejherowa ukrywałem się w domu we Wrocławiu. Był poranek 10 października 1992 r. Obudziłem się. Chciało mi się pić. Wstałem i sięgnąłem ręką pod poduszkę. PPK walther leżał tam gdzie zawsze. Wziąłem go nie wiedzieć czemu do ręki. Podszedłem do okna, spojrzałem i przetarłem oczy. Przede mną stało około pięćdziesięciu policjantów w szyku bojowym w kamizelkach kuloodpornych, w hełmach i z AK-47 w rękach. »Film kręcą?« – to była pierwsza myśl, która zaświtała mi w głowie. Po kilku sekundach zrozumiałem, że idą po mnie. Cofnąłem się do łóżka i włożyłem pistolet pod poduszkę. W tym samym momencie drzwi do sypialni wyleciały z hukiem, stanął w nich zamaskowany antyterrorysta. Na chwilę nasz wzrok się skrzyżował, usłyszałem komendę wypowiedzianą bardzo spokojnym i cichym tonem: »Nie wyjmuj ręki spod poduszki. Nie ruszaj się. Dostałem zgodę, żeby cię zastrzelić, gdybyś stawiał opór«.**

Człowiek, który to powiedział, został później szefem kompanii antyterrorystycznej w Gdańsku, a 3 lata później spotkaliśmy się w sali sądowej i przypomniał mi o tym wydarzeniu. Zapytałem, dlaczego wówczas nie strzelił. Odpowiedział, że jest człowiekiem i nie uczono go zabijać, lecz zatrzymywać bandziorów. Podziękowałem mu.

Drogę z Wrocławia do Sztumu odbyłem w absolutnym milczeniu, z workiem na głowie. Dopiero miesiąc później dowiedziałem się, że znalazłem się w Sztumie w pawilonie, gdzie specjalnie dla mnie przygotowano celę. Z workiem na głowie zostałem poprowadzony korytarzami więziennymi, miałem skute ręce i nogi, w pewnym momencie zatrzymaliśmy się, ktoś mnie rozkuł i kazał wejść powoli do pomieszczenia. Usłyszałem, jak zatrzaskuje się za mną wewnętrzna krata. »Może zdjąć worek z głowy« – usłyszałem. Znalazłem się w celi 1,60 na 4 m z podwójnymi kratami na oknie, wewnętrzną siatką, tzw. tygrysówą, i dodatkową kratą oprócz klapy więziennej. Jedyne wyposażenie stanowiły sedes, stolik przy nim, taboret i łóżko na zawiasach zapięte do ściany na kłódki.

»Tak będzie wyglądał mój koniec« – pomyślałem. Nie zastanawiałem się, czy, ale kiedy to się stanie. Np. znajdą mnie w celi powieszonego albo z podciętymi żyłami. W więzieniu słychać charakterystyczne dźwięki dobiegające z różnych części pawilonów. Tam była cisza. Żyłem później w tej ciszy, a długie nieprzespane noce przez wiele miesięcy nauczyły mnie reagować na każdy najmniejszy szmer po drugiej stronie klapy więziennej. Chciałem po prostu wiedzieć, kiedy nastąpi moment, w którym ktoś podejmie decyzję o wyeliminowaniu mnie. Bo o tym, że to nastąpi, raczej byłem przekonany. Żadnemu z nas nie darowano podniesienia ręki na policjanta czy klawisza. To przeze mnie dwóch funkcjonariuszy służby więziennej zostało ciężko rannych. Wiedziałem, że mam przejebane.

Pierwszą noc z wielu, które miałem spędzić w tym miejscu, przeżyłem w samotności, w strachu, w stresie. Nazajutrz po nocy przesiedzianej tylko w bokserkach na taborecie przykręconym do podłogi około szóstej rano – bo wtedy jest poranny apel w więzieniach – otworzyła się klapa, a w drzwiach zobaczyłem kilku klawiszy. Ten z przodu był chyba najważniejszy. Na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech. »Dzień dobry. Nazywam się tak i tak i jestem tutaj kierownikiem ochrony, a ty jesteś od dzisiaj nikim. Nie masz prawa do niczego. Przy najmniejszej próbie oporu użyjemy wobec ciebie przemocy fizycznej i psychicznej. Cofnij się pod okno. Klęknij twarzą do ściany i się nie ruszaj« – usłyszałem. Na do widzenia dostałem kopniaka w nerki. Taki mieli zwyczaj porannego witania mnie jeszcze przez wiele miesięcy.

Zdarzały się i takie »żarty«, że po wieczornym apelu nie wchodził dowódca zmiany i nie odpinał mi łóżka na noc od ściany. Pozostawało mi wówczas spędzenie nocy na taborecie albo zwiniętym w kłębek na podłodze.

Po wielu miesiącach dowiedziałem się, że był to pawilon izolatkowy N. Owiany złą legendą. Tak to w październiku 1992 r. rozpoczął się etap, który wpłynął na całe moje życie".

Oddział ten został jakiś czas temu zamknięty jako niehumanitarny.

Coś tam w polityce

W tej życiowej drodze Nagórskiemu na początku towarzyszyło dwóch prokuratorów: Konrad Kornatowski i Janusz Kaczmarek. To oni go ścigali i oskarżali.

Kornatowski zaczynał jako prokurator rejonowy w Gdyni. Potem był prokuratorem wojewódzkim w Gdańsku. Kaczmarek także był prokuratorem rejonowym w Gdyni, w Gdańsku, potem prokuratorem okręgowym i apelacyjnym. Gdy władzę w Polsce objęło PiS i Kaczyńscy, kariery Kornatowskiego i Kaczmarka przyspieszyły. Kornatowski w 2006 r. został szefem Biura ds. Przestępczości Zorganizowanej w Prokuraturze Krajowej, a potem komendantem głównym policji. Kaczmarek zaś został prokuratorem generalnym przy Lechu Kaczyńskim, później prokuratorem krajowym przy Ziobrze i w końcu ministrem spraw wewnętrznych. Kornatowski i Kaczmarek stracili stanowiska w 2007 r. po wybuchu głośnej afery związanej z rzekomymi przeciekami w sprawie akcji Centralnego Biura Antykorupcyjnego w Ministerstwie Rolnictwa. Przypomnę, że ministrem rolnictwa w koalicyjnym rządzie PiS był wówczas Andrzej Lepper (świętej pamięci; znaleziono go martwego w biurze w 2011 r., miał ponoć popełnić samobójstwo, choć istnieją teorie spiskowe, że został zamordowany), a akcja CBA była wymierzona właśnie w niego.

Dzisiaj Kaczmarek i Kornatowski są wpisani na listy adwokackie i prowadzą własne kancelarie.

Rozsądek nade wszystko

Kolejne miesiące odsiadki, kolejne ucieczki, kolejne pościgi, kolejne zatrzymania i procesy. Może się sprzykrzyć najwytrwalszym.

W lipcu 2000 r. Nagórski został po raz kolejny zatrzymany. Zarzut: napad z bronią w ręku. Na podstawie zeznań tzw. małego świadka koronnego, który zresztą w trakcie późniejszego procesu zeznania odwołał.

Sąd Rejonowy w Gdańsku wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu. Tymczasowy areszt był przedłużany kilkadziesiąt razy. Zrobiło się z tego 7 lat i 8 miesięcy. Powtórzmy: tymczasowego aresztu.

To był zresztą jeden z najdziwniejszych procesów. Najpierw toczył się w Gdańsku, ale po 156 (sic!) odbytych posiedzeniach pani sędzia ze składu orzekającego zakochała się we Włochu, wyjechała, nie informując nikogo, i tylko przysłała kartkę ze słonecznej Italii.

Kolejny sędzia uznał się organem niewłaściwym i odesłał akta do sądu w Słupsku. Tam po kilku miesiącach dumania odesłano je z powrotem do Gdańska. Do tego samego sędziego, który wcześniej czuł się niewłaściwym.

Sprawa Juranda Nagórskiego trafiła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Ten przymusił rząd polski do uznania, że tymczasowe aresztowanie Nagórskiego było niezgodne z wymogiem **„rozsądnego czasu"**. Rząd zaoferował wypłacenie mu kwoty 12 tys. zł zadośćuczynienia, **„którą uważa za rozsądną"**. No, ale zza krat go nie wypuszczono…

Według kodeksu karnego maksymalny wyrok, który powinien dostać Nagórski za wszystkie prawdziwe i domniemane sprawki, to 15 lat więźnia. Tymczasem dostał dwa wyroki: jeden 10, drugi 9,5 roku. I ma odsiedzieć jeden po drugim. Razem 19,5 roku. I tak odsiaduje z przerwami. Zostały mu jeszcze 4 lata.

Napisał nawet do prezydenta Dudy, aby okazał mu łaskę: **„Lata 90., w których popełniłem przestępstwa, to odległy czas. To było 20–30 lat temu. Teraz jestem już 53-letnim panem, który żałuje swoich czynów, zrozumiał dużo rzeczy i chce normalnie, zgodnie z prawem powrócić do życia w rodzinie".**

Prezydent nie odpowiedział.

Pamięć na papierze

W czerwcu 1994 r. Prokuratura Rejonowa w Gdyni dostała poprzez Ministerstwo Spraw Zagranicznych 21 olbrzymich segregatorów, po kilkanaście teczek z aktami każdy. Na konferencji prasowej chwalił się tym prokurator z Gdyni Janusz Kaczmarek. Materiały miały dotyczyć kradzieży samochodów, paserstwa i podrabiania dokumentów przez międzynarodowy gang złodziei luksusowych aut, którego członkiem miał być Jurand Nagórski. Olbrzymia praca zespołu niemieckich śledczych. Były tam ponoć historie o gangsterach, prokuratorach, policjantach, sędziach. Bardzo ciekawe historie. O początkach naszej historii gospodarczej i politycznej. Przez długie lata akta były w tłumaczeniu. Niedawno się okazało, że zostały zniszczone. Ciekawe, czy Niemcy mają gdzieś kopie…

WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Wykorzystałem niepublikowane zapiski Juranda Nagórskiego oraz akta spraw sądowych.

eprasa.pl dc8f67621c

Z sędzią nie wygrasz.

Najlepszy tata świata

Iza jest biznesłumen z branży drzewnej, mieszka na Dolnym Śląsku. W Miasteczku – ze zrozumiałych względów nie podaję nazwy – ślady po Piastach, piękna starówka, ratusz, starostwo i sąd. Oraz 40 tysięcy mieszkańców.

W 2015 r. poznała Marka (imię zmienione). Sędzia w tutejszym sądzie rejonowym. Samotny. Miał żonę, ale była alkoholiczką i kurwą.

– Tak mówił – pamięta Iza.

Wdali się w romans. Czy wyszłoby z tego coś poważnego, gdyby nie zaszła w ciążę? Po pięciu miesiącach znajomości powiedzieli sobie „tak", bo spodziewała się dziecka. Ona poprosiła o rozdzielność majątkową. On był urażony, co ma w tej historii pewne znaczenie.

Ciąża była dla obojga bardzo ważna. W kwietniu 2016 r. urodził się Piotruś (imię zmienione).

Marek mieszkał z mamą, która źle tolerowała inne panie. Wprawdzie dla dziecka przeprowadził się do żony, ale raz po raz uciekał do rodzinnej miejscowości. Nie mówił: „Wyjeżdżam na pół dnia, dwa dni, tydzień, chcę pomóc mamie". Po prostu pakował się i znikał.

Jesienią 2016 r. na stałe przeniósł się do mamy. Iza złożyła pozew rozwodowy. Szukała adwokata. Wszyscy miejscowi odmówili. **„Pani chyba żartuje… Wezmę pani sprawę, przegram wszystkie inne".**

Nagle ona i zajmująca się biznesem rodzina stały się celem kontroli policyjnych i skarbowych. Kontrolerzy nie odnieśli sukcesów, ale zrujnowali normalność.

– Groził, że zabierze synka, a ze mnie zrobi wariatkę – wspomina Iza.

Wiosną 2017 r. Marek wrócił z kwiatami.

– Pogódźmy się dla dobra Piotrusia – prosił. – Jest najważniejszy.

Znów zamieszkali razem, ale sielanka skończyła się bardzo szybko. On mówił, że to z powodu mieszkania. Przywykł do domu, dwóch łazienek, przestrzeni. W czerwcu 2018 r. na kilka tygodni przeprowadzili się do jego matki. Stara kobieta nie znosiła synowej. Między Markiem a żoną było coraz gorzej.

– Wróćmy do siebie – prosiła.

– Synek musi mieć podwórko – odpowiadał.

W 5 miesięcy wybudowała dom.

– Przeprowadźmy się – wróciła do zasadniczego wątku ich sporu.

– Nie. Dom nie ma ogrodzenia – odrzucił ofertę. – Dziecko musi być bezpieczne.

Postawiła płot.

– To twój dom, a nie nasz – marudził.

We wrześniu 2020 r. odbyły się wchodziny. Pomieszkali trochę i wrócili do jego matki. Bo pandemia, zakupy, matka jest stara, nie gotuje… Iza ogarniała rachunki, pracę, przyrządzała posiłki. Kiedyś podsłuchała, jak teściowa mówi mężowi, żeby się, broń Boże, od niej nie wyprowadzał. Jak Piotruś przyzwyczai się do nowego domu w Miasteczku, Iza zrezygnuje z małżeństwa. Dom jest jej, sędzia zostanie na lodzie.

1 września 2021 r. wrócili na swoje śmieci.

Ufff – myślała Iza.

10 września 2021 r. pojechali do babci z wizytą. Nagle stara kobieta zabrała Piotrusia do łazienki i zamknęła się od wewnątrz. Marek pociągnął żonę do samochodu, odwiózł do domu. Zabrał resztę ubrań – okazało się, że większość już wywiózł – i poinformował, że to koniec. Ona jest wolna. Piotruś jest jego – na zawsze.

Brama z kłódką przed domem teściowej okazała się przeszkodą nie do sforsowania. Kilka dni po porwaniu – sytuacja ma wszelkie cechy tzw. porwania rodzicielskiego – Piotruś, ojciec i babcia wyjechali nad morze.

Takie porwanie to forma konfliktu wewnątrzrodzinnego. Służby nie ingerują, jeśli porywający nie ma ograniczonych praw rodzicielskich. W tym przypadku sytuację komplikował zawód Marka. Kto podskoczy sędziemu?

Mały przestał chodzić do przedszkola. Ma tatę i babcię. Po co więcej?

Iza dotarła do byłych Marka. Widzą swoje związki jako pasma brudnych wojenek. Były niewystarczająco mądre. Ładne. Ustosunkowane. Nie kochały tak, jak powinny. Z byle powodu się stawiały.

– Straszył policją i prokuraturą. „To moi koledzy", przypominał. – Są przekonane, że to prawda. – Nikt z policji mu nie podskoczył. Radiowozy traktował jak taksówki…

– Kiedyś dostał mandat od straży leśnej. Nie tylko go anulowano, ale strażnik dotarł do samochodu, żeby wyjąć dokument zza wycieraczki. Bo sędzia mógłby być niezadowolony, jeśliby musiał sam usunąć śmieć.

Dotarłam do pierwszej żony Marka.

– Jestem szczęśliwa, mam dwoje dzieci, córeczka ma dopiero 8 miesięcy. Nie chcę problemów. Nie będę wracać do przeszłości, chcę zapomnieć – ucięła pytania.

2 listopada 2021 r. Marek poprosił sąd, w którym pracuje, o powierzenie władzy rodzicielskiej nad Piotrusiem obojgu rodzicom, ale z ustaleniem miejsca pobytu przy ojcu. Mama może się kontaktować w co drugą niedzielę od czwartej do siódmej po południu, a także we wtorki i czwartki od czwartej do szóstej w miejscu zamieszkania dziecka.

Powiecie: dobry człowiek. Przecież będąc tym, kim jest, mógł zażądać pozbawienia Izy władzy rodzicielskiej.

Nie. Niestety nic nie miał na Izę. Może oprócz tego, że zarabia za dużo i dom, który wybudowała, jest tylko jej. No i jeździ w delegacje. Tak, tak, nigdy nie znajdowała czasu dla domu i rodziny. Nie wykształciła więzi z synem…

Tym zarzutom przeczą opowieści znajomych i rodzinne albumy. Iza bawi się z dzieckiem, smaży pączki na tłusty czwartek, robi przetwory na zimę, piele rabaty na działce teściowej. Jest nawet film, na którym Marek zamawia u żony sernik i makowiec na Boże Narodzenie. Podkreśla, że muszą być koniecznie te dwa ciasta, bo wychodzą jej tak wybornie.

Ta dokumentacja powstała, gdy nikt nie myślał o rozstaniu, trudno więc podważać jej wiarygodność.

Praca Izy? Oczywiście pracowała. Ale najczęściej zdalnie.

4 listopada 2021 r. Iza złożyła wniosek o wydanie Piotrusia. A także wniosek o przesłanie akt do Sądu Najwyższego i zbadanie sprawy poza Dolnym Śląskiem.

Akta trafiły do Mniejszego Miasteczka, położonego 20 km od Miasteczka. Sąd zwlekał 4 miesiące. Oddalił wniosek o przeniesienie poza region. Przekazał sprawę porwania Piotrusia Sądowi Okręgowemu z Jeleniej Górze; niech zbada go razem ze sprawą rozwodową.

Więzi rodzinne opisał Opiniodawczy Zespół Sądowych Specjalistów z Miasteczka. Iza nie stawiła się, była chora. Zespół ustalił, że Piotruś chce mieszkać z babcią, tatusiem i psem Februsiem. Ma dobre warunki materialne, a ostatnio dostał łóżko w kształcie pociągu. Jest zdolnym dzieckiem, liczy do 69. Nie chce mamy w swoim życiu.

Dlaczego?

„Mama nic dla mnie nie robiła, nie kąpała mnie, nie robiła mi śniadanka, nigdy nie powiedziała mi dzień dobry ani dobranoc" (badanie OZSS z 1 marca 2022 r.).

Wypowiedzi chłopca są kalką przekonań jego taty. **„Przejmuje opinie i sądy obecnego środowiska wychowawczego. Co może świadczyć o tym, że jest indukowany…"** – zanotowali biegli.

Tato jest OK. Wprawdzie ma **„obniżoną samoocenę, co świadczy o tym, że nie do końca wierzy w swoje możliwości"**, ale całokształt cech, które posiada, pozwala mu dobrze zajmować się synem.

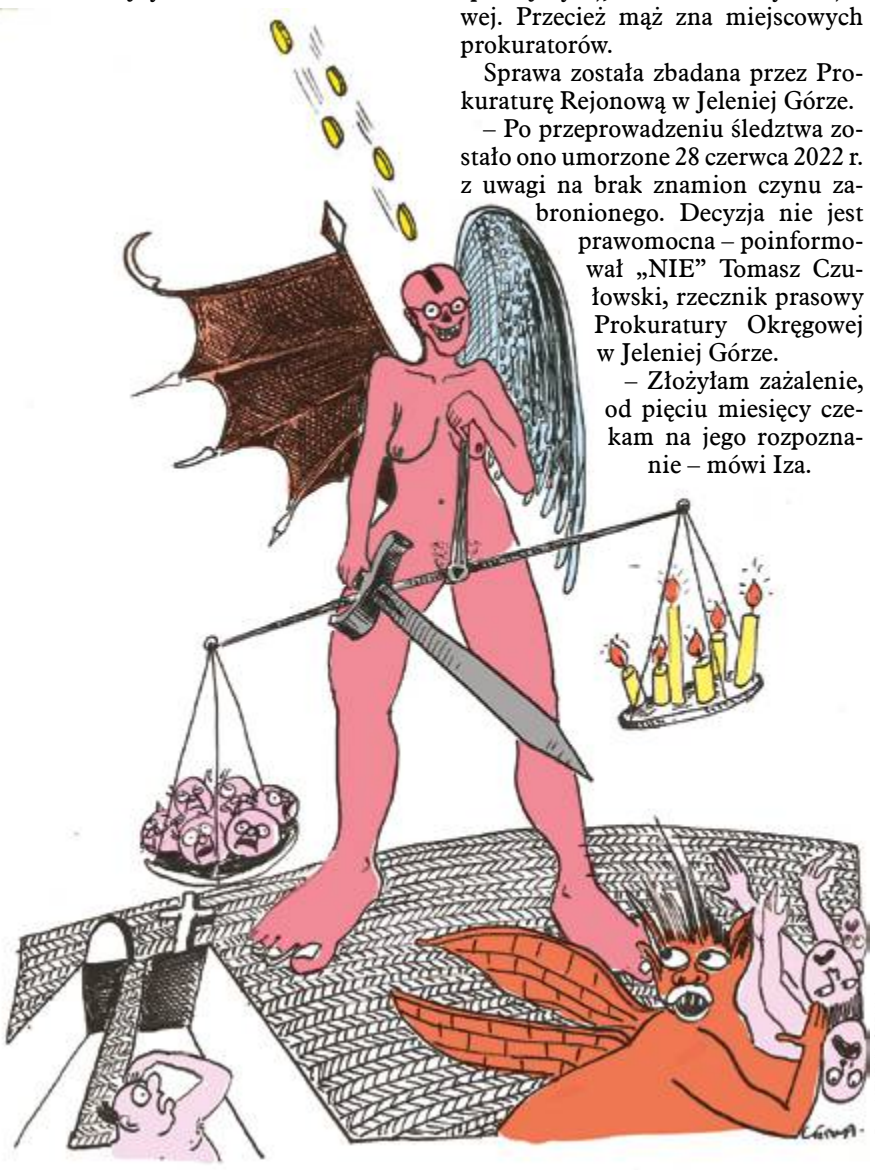

Rys. HENRYK CEBULA

Iza poprosiła niezależnych ekspertów o zbadanie, czy nadaje się na pełnowymiarową mamę. I czy synowi jest dobrze z ojcem. Bo może powinna odpuścić? Pamiętacie matki, które przed królem Salomonem kłóciły się o dziecko? Prawdziwa ustąpiła, gdy władca kazał rozciąć syna, żeby zaspokoić żądania obydwu kobiet.

Opinie zostały wydane na podstawie rozmów z Izą, zdjęć, nagrań. Nagrań starych, sprzed uprowadzenia dziecka, takich jak to, na którym Iza tańczy z roześmianym chłopcem, a ten za nic w świecie nie chce przerwać zabawy.

I nowych. Kobieta zarejestrowała rozmowy z najbliższymi, prowadzone po rozstaniu.

Do spotkań z synem dochodziło niesłychanie rzadko, zawsze pod kontrolą Marka. Na nagraniu z 28 września 2021 r. w 54–57 sekundach dzieciak wyraźnie oczekuje podpowiedzi taty, jak powinien zwrócić się do matki. Prosi: **„A powiedz… Powtórz jeszcze raz…".**

Innym razem chłopiec wygłasza monolog. **„Więcej do nas nie przyjeżdżaj"** – zwraca się do matki. **„Ja ciebie nie kocham. Nie wolno ci tu przyjeżdżać nigdy. Wynoś się stąd, nie masz prawa tu przyjeżdżać, to jest niedopuszczalny skandal, to jest mój dom, nigdy więcej do mnie nie przyjeżdżaj i nie dzwoń… Pa, pa, żegnam… Nigdy ja ciebie ani trochę nie kochałem…"**

Gdy przed Bożym Narodzeniem w 2021 r. Iza przywiozła prezenty, syn zbeształ ojca: **„Dlaczego z nią rozmawiasz, mieliśmy z nią nie rozmawiać…".**

Psychologowie spoza Miasteczka nie mają wątpliwości: dzieciak wypowiada wyuczone zdania. Opiekunowie przesadzili z reżyserowaniem spotkań z matką. Chyba nie wiedzą, jak reaguje i co mówi najinteligentniejszy nawet 5-latek.

Ustalają coś jeszcze: **„Podczas obecnych spotkań Piotruś dyskretnie przytula się do matki, uśmiecha się, wskaźniki behawioralne świadczą o więzi z matką. Negatywne wypowiedzi są indukowane przez ojca i jego otoczenie".**

Iza złożyła zawiadomienie o znęcaniu się nad nią i synem oraz izolacji syna. Sądziła, że prokurator przekaże sprawę wyżej, do Prokuratury Krajowej. Przecież mąż zna miejscowych prokuratorów.

Sprawa została zbadana przez Prokuraturę Rejonową w Jeleniej Górze.

– Po przeprowadzeniu śledztwa zostało ono umorzone 28 czerwca 2022 r. z uwagi na brak znamion czynu zabronionego. Decyzja nie jest prawomocna – poinformował „NIE" Tomasz Czułowski, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Jeleniej Górze.

– Złożyłam zażalenie, od pięciu miesięcy czekam na jego rozpoznanie – mówi Iza.

Czułowski: – Zażalenie zostało skierowane do rozpoznania przez Sąd Rejonowy w Jeleniej Górze. Termin posiedzenia został wyznaczony na koniec stycznia 2023 r.

9 maja 2022 r. w Jeleniej Górze odbyło się pierwsze posiedzenie sądu okręgowego w sprawie wydania Piotrusia i rozwodu. Do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia sąd przyznał pieczę nad chłopcem Markowi. Iza ma płacić alimenty: 2 tys. zł miesięcznie. Oczywiście może odwiedzać dziecko.

Powiedzieć, że spotkania Izy z synem są reglamentowane, to nic nie powiedzieć. Bardzo rzadko są razem.

20 maja 2022 r. był wielki dzień. Matka popycha karuzelę, na której siedzi Piotrek.

„Dlaczego się smucisz?" – pyta chłopiec, wyczuwając jej nastrój.

„Bo bardzo chciałabym cię przytulić" – mówi ona.

„Wiem" – odpowiada dziecko.

Psycholog: – Piotr nie boi się matki, odbiera jej uczucia, ale obawiając się dezaprobaty ojca, nie może odpowiedzieć na nie.

Mały odmawia przyjęcia foremek do piasku.

„No błagam" – prosi matkę. I tłumaczy: **„Ja nie będę w ogóle chciał się tym bawić, a nie będę chciał tego wyrzucić… Mówię, że nie będę chciał tego wyrzucić…".**

Psycholog: – Prawdopodobnie prezenty od matki są wyrzucane. Przykład ten pokazuje, jak silne uczucia ambiwalentne wobec matki – osoby ważnej, znaczącej – przeżywa 6-letnie dziecko.

Kolejna rozprawa rozwodowa odbyła się 4 lipca 2022 r.

Iza: – Sędzia była wściekła, bo poskarżyłam się na przewlekłość postępowania. A przecież czas ma najważniejsze znaczenie dla mojego syna. Krzyczała na mnie. Była bardzo arogancka w stosunku do mnie i adwokata.

Choć z dostarczonych materiałów wynika, że dziecko jest więzione, indukowane, nastawiane przeciwko matce, to sąd uznał, że wystarczy, jak mama zobaczy dzieciaka raz w tygodniu, w czwartek, w obecności taty.

Dziecku dzieje się krzywda, nie ma kontaktu z rówieśnikami? To niech chodzi na terapię psychologiczną – postanowił sąd.

– W ciągu czterech miesięcy syn był u terapeuty raz – sprawdziła Iza.

Czy rzeczywiście sąd nakazał terapię? Czy polecenie jest przestrzegane? A może Iza kłamie?

„Sprawa toczy się przy drzwiach zamkniętych i z tego powodu nie mogę udzielić informacji o jej przebiegu" – odpowiedział na moje pytania Tomasz Skowron, rzecznik Sądu Okręgowego w Jeleniej Górze. **„Termin kolejnej rozprawy wyznaczono na 21 grudnia 2022 r."**

Ostateczne orzeczenie o opiece nad Piotrusiem znajdzie się w wyroku rozwodowym.

Piotruś nadal mieszka w domu babci. Nie chodzi do przedszkola.

Lista chorób i zaburzeń spowodowanych przemocą emocjonalną jest długa. To, że dzieciak jej podlega, jest dla fachowców pewne. Pedagożka psychotraumatolożka Martyna Gołaszewska i psycholożka kliniczna Danuta Pilich zgodnie twierdzą, że chłopiec ma zaburzony obraz rodziny, potrzebuje natychmiastowej intensywnej pomocy i kontaktu z matką bez nadzoru ojca.

Napisały, że tacie też przydałaby się **„pomoc psychiatryczno-terapeutyczna".** Jako osoba realizująca wyłącznie własne potrzeby psychoemocjonalne powinien próbować odnaleźć miejsce przy dziecku dopiero po przejściu terapii.

– Syn to bardzo przeżywa – mówi Iza. – Spotkaliśmy się podczas badań w Opiniodawczym Zespole Sądowych Specjalistów. Jest przygaszony, przez cały czas bezwiednie rusza nóżką…

Napisałam do sądu w Miasteczku, do wydziału, w którym Marek decyduje o sprawiedliwości: **„Zbieram materiały do publikacji o sporze o opiekę nad Pana synem. Jeśli chciałby Pan przedstawić swój punkt widzenia, proszę o kontakt. Jak Pan na pewno wie, matka dziecka uważa, że sposób, w jaki sądy potraktowały w tej sprawie ją i dobro małoletniego, to dowód skrajnego braku obiektywizmu. Wiem, że sąd (…) nakazał otoczenie chłopca opieką psychologiczną. Czy polecenie jest przez Pana przestrzegane? Ile razy chłopiec był u terapeuty?".**

Na razie nie dostałam odpowiedzi.

MARTA KACZOROWSKA

Mariusz Kamiński, minister spraw wewnętrznych i administracji, któremu podlega straż graniczna, ma powody do smutku. Bardzo nas to cieszy.

Przed tym, jak Sąd Rejonowy w Pruszkowie umorzył sprawę aktorki Barbary Kurdej-Szatan, oskarżonej przez prokuraturę o znieważenie pograniczników za stosowanie push-backów na pograniczu polsko-białoruskim słowami „maszyny bez mózgu" i „mordercy", wydarzyły się fakty, które słabo dotarły do opinii publicznej.

Ich zignorowanie nie pozwala zaś dostrzec coraz wyraźniej malującego się scenariusza, w którym prawo, na razie nieśmiało, bierze górę nad pisowskim zamordyzmem, w którym służby mundurowe czują się całkiem bezkarne. Teraz trzeba tylko, aby opozycja wygrała wybory do parlamentu…

Fakt pierwszy to list funkcjonariuszy straży granicznej do białostockiego oddziału „Gazety Wyborczej", do red. Joanny Klimowicz,

eprasa.pl dc8f67621c

Ani pancerny ani kryształ

Mający swoje za uszami Marian Banaś miał być „świadkiem koronnym”, który ujawni przestępstwa i niegodziwości pisowskiej władzy, ale na razie szef Najwyższej Izby Kontroli nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań.

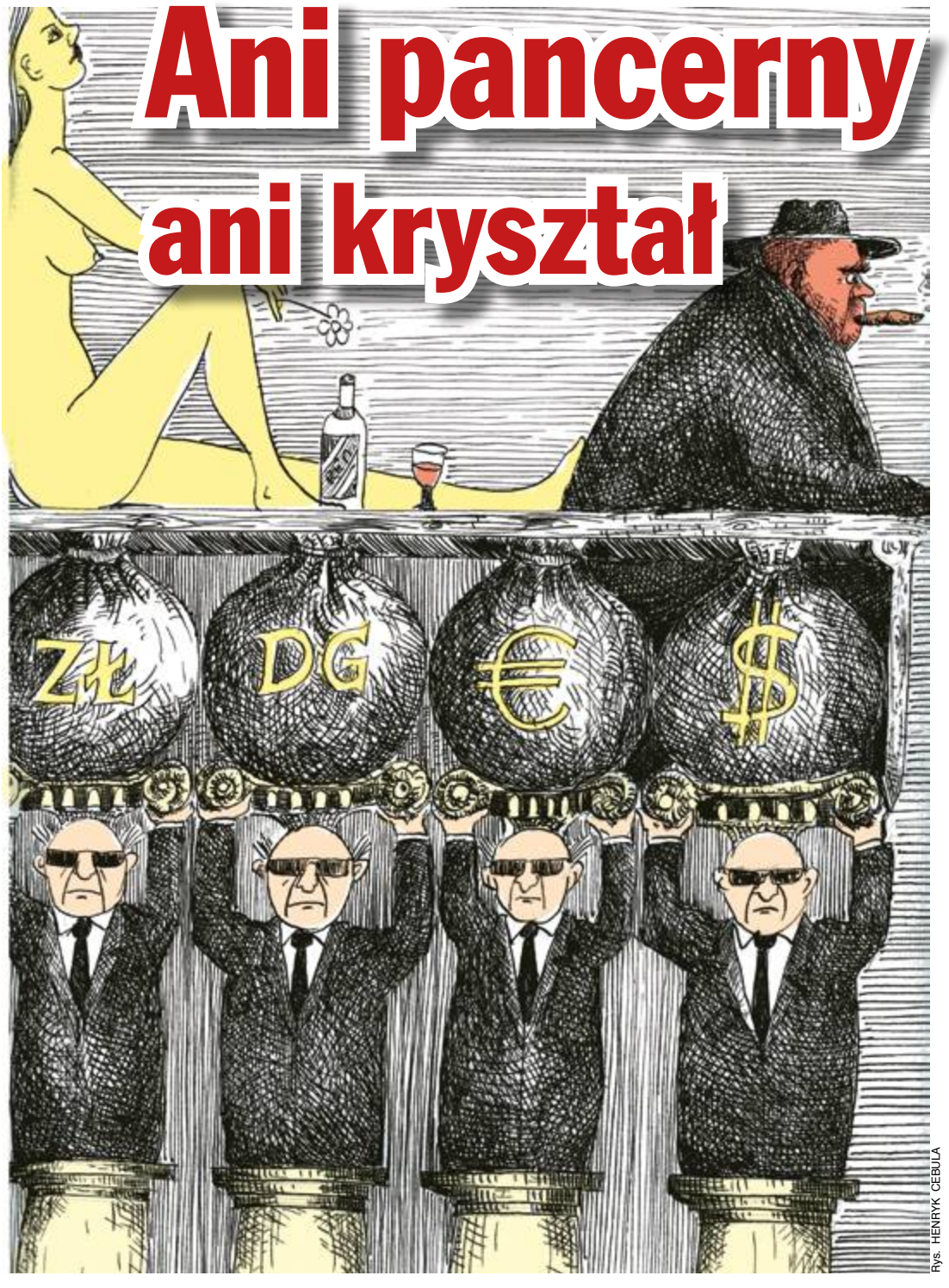

Rys. HENRYK CEBULA

17 miesięcy – tak długo kisi się w sejmie wniosek o uchylenie immunitetu prezesowi NIK Marianowi Banasiowi. Jednak marszałkini Elżbieta Witek nie poddaje go pod głosowanie, ponieważ PiS nie ma wystarczającej liczby głosów, by „Pancernego Mariana” prokuratura mogła postawić w stan oskarżenia. Okazuje się, że oprócz opozycji sprzeciwia się temu część posłów zjednoczonej sitwy… Być może w obozie władzy nie ma chętnych na odebranie prezesowi NIK immunitetu również dlatego, że zagroził ujawnieniem kompromitujących materiałów. Szczegółów jednak nie zdradził.

• • •

Sytuacja jest kuriozalna. Gdyby PiS posłuchało posłów opozycji, którzy jeszcze przed nominacją Banasia na stołek prezesa NIK informowali, że facet ukrywa swój majątek, to nie byłoby teraz problemu. Ale PiS nie chciało słuchać, a gdy mleko się rozlało, Kaczyński i spółka zmienili narrację, żądając, aby Koalicja Obywatelska, Lewica, PSL i Konfederacja zagłosowały za jego odwołaniem, a na to nie ma co liczyć.

Według śledczych ten **„kryształ”** – jak mówili jeszcze niedawno o Banasiu partyjni koledzy – miał się dopuść kilkunastu przestępstw. M.in. zaniżył wartość posiadanego majątku w dziesięciu oświadczeniach majątkowych na ok. 550 tys. zł, a także zataił inwestycję w dzieło sztuki – rzeźbę włoskiego artysty i dochód osiągnięty z jej sprzedaży. Banaś miał też dokonać **„wielu transferów finansowych”** za pomocą gotówki przekazywanej w kopercie i bez zgłaszania tego urzędowi skarbowemu.

Zarzuty usłyszeli syn prezesa NIK Jakub Banaś i jego żona Agnieszka. Jak poinformowała prokuratura, dotyczą one m.in. wyłudzenia z Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa ok. 120 tys. zł na renowację kamienicy oraz wyłudzenia podatku VAT w wysokości prawie 80 tys. zł. Młodzi Banasiowie posłużyli się w tym celu podrobionymi fakturami na kwotę ponad 310 tys. zł, potwierdzającymi wykonanie robót budowlanych, i wieloma dokumentami poświadczającymi nieprawdę; były to m.in. listy wynagrodzenia za prace remontowe i protokół ich końcowego odbioru.

W przestępczy proceder zamieszany był też dyrektor Izby Administracji Skarbowej w Krakowie Tadeusz G., który przyznał się do bezprawnego ujawnienia prezesowi NIK informacji na temat kontroli podatkowej i czynności prowadzonych wobec niego przez Centralne Biuro Antykorupcyjne. Oprócz tego G. nie zawiadomił o przestępstwach polegających na **„złożeniu w podległym mu urzędzie skarbowym podrobionej faktury stanowiącej rozliczenia dofinansowania ze środków publicznych oraz niezłożeniu sprawozdania finansowego przez spółkę reprezentowaną przez Jakuba Banasia, która uzyskała to dofinansowanie”.**

Pytany przez „Gazetę Wyborczą” o ukrywanie majątku, Marian Banaś powiedział, że był w Stanach Zjednoczonych, gdzie zarobił **„bardzo dużo pieniędzy”,** a gotówki nie wpłacił do banku, lecz trzymał w skarpetce, **„bo nie ufa nikomu”,** a **„każdy człowiek, który ma gotówkę, myśli o tym, by się zabezpieczyć, i tym się kieruje”.**

Bardzo ciekawa filozofia lokowania pieniędzy, jak przystało na urzędnika państwowego z 30-letnim stażem, wieloletniego pracownika NIK, ministra i wiceministra finansów, szefa Służby Celnej, szefa Krajowej Administracji Skarbowej, generalnego inspektora informacji finansowej, pełnomocnika rządu do spraw zwalczania nieprawidłowości finansowych na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej lub Unii Europejskiej…

• • •

Za Banasiem ciągną się stare smrody o wiele poważniejsze niż zatajanie majątku. W pierwszym rządzie PiS (w latach 2005–2007) był wiceministrem finansów i szefem Służby Celnej. To wtedy przy bierności władzy rozgrywała się największa afera w dziejach III RP.

Od czasu przystąpienia Polski do Unii Europejskiej zaczęto masowo sprowadzać z Ukrainy płyn do spryskiwaczy samochodowych. Tak naprawdę był to spirytus skażony substancją, którą można było łatwo usunąć, a spirytus przerobić na wódkę i inne trunki. Polskie służby celne na podstawie wytycznych Ministerstwa Finansów uznawały jednak, że taki płyn nie jest objęty podatkiem akcyzowym. Tysiące cystern wypełnionych spirytusem wjeżdżały do Polski i ślad po nich ginął (prawdopodobnie podróżowały dalej na Zachód). Zorganizowane grupy przestępcze czerpały z tego procederu gigantyczne zyski, na czym oczywiście tracił budżet państwa.

O tym, że mamy do czynienia z bezczelnym przekrętem, pisowska władza wiedziała doskonale.

Informowali ją o tym polscy producenci spirytusu oraz celnicy. Zero reakcji. Dopiero za rządów PO–PSL w 2009 r. sprawą zainteresowały się prokuratura i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Kontrolę przeprowadziła NIK, która ujawniła, że tylko w latach 2004–2007 przez kolejowe przejście graniczne w Medyce wjechało nielegalnie do Polski kilkaset cystern ze spirytusem, od którego nie odprowadzono ponad 2,75 mld zł należnych podatków! W skali całego kraju (proceder odbywał się także przez inne przejścia graniczne) budżet państwa stracił prawie 65 mld zł. Wśród osób odpowiedzialnych za nadużycia NIK wskazała m.in. Mariana Banasia, który doskonale wiedział o kontrabandzie spirytusu, ale nic nie robił. A wystarczyło zmienić przepisy podatkowe…

Gdy zapytałem Banasia, dlaczego nie reagował, odparł, że sprawy legislacyjne nie leżały w jego obowiązkach…

„Pancerny Marian” miał dużo szczęścia. Ktoś w prokuraturze rozwinął nad nim parasol ochronny i śledztwo zostało umorzone. Prokuratorzy nie zakwestionowali, że do Polski z Ukrainy sprowadzano nielegalnie spirytus i że budżet państwa poniósł gigantyczne straty. W uzasadnieniu o umorzeniu śledztwa stwierdzono, że niemożliwe było określenie, jaki czas był potrzebny do zmiany prawa. Czyli bezczynność Banasia i innych ministrów, którzy wiedzieli o przestępczym procederze przez co najmniej 2 lata i nic nie zrobili, by go ukrócić, została usprawiedliwiona.

• • •

Teraz do Banasia znowu uśmiechnęło się szczęście. Gdyby nie był skonfliktowany z PiS, straciłby stołek prezesa NIK i zapewne siedziałby na ławie oskarżonych. Ale przewrotna historia wyznaczyła mu nową rolę – recenzenta poczynań dawnych partyjnych kolegów. Co z tego, skoro ujawniane przez NIK afery w natłoku innych aferalnych informacji szybko idą w zapomnienie, a liczne zawiadomienia do prokuratury o przestępstwach popełnionych przez ludzi Kaczyńskiego i Ziobry są hurtowo umarzane przez upolitycznioną prokuraturę? Na ponad 150 zawiadomień zaledwie 4 sprawy zakończyły się aktem oskarżenia.

ANDRZEJ SIKORSKI

Szatan wygrywa z Kamińskim

od początku zajmującej się kryzysem humanitarnym na granicy.

„Ze względu na pierwsze niekorzystne wyroki sądu administracyjnego związane z push-backami oczekujemy od przełożonych wzięcia odpowiedzialności we własne ręce. Teraz spychają decyzje na niższe szczeble” – skarżą się funkcjonariusze straży granicznej z Białowieży. **„Od czasu wystąpienia pierwszych przypadków masowej nielegalnej migracji z kierunku Republiki Białorusi działania komendanta placówki Straży Granicznej w Białowieży mjr. Marka Ziniewicza zmierzały do unikania przez niego odpowiedzialności od podejmowanych decyzji i działań”.**

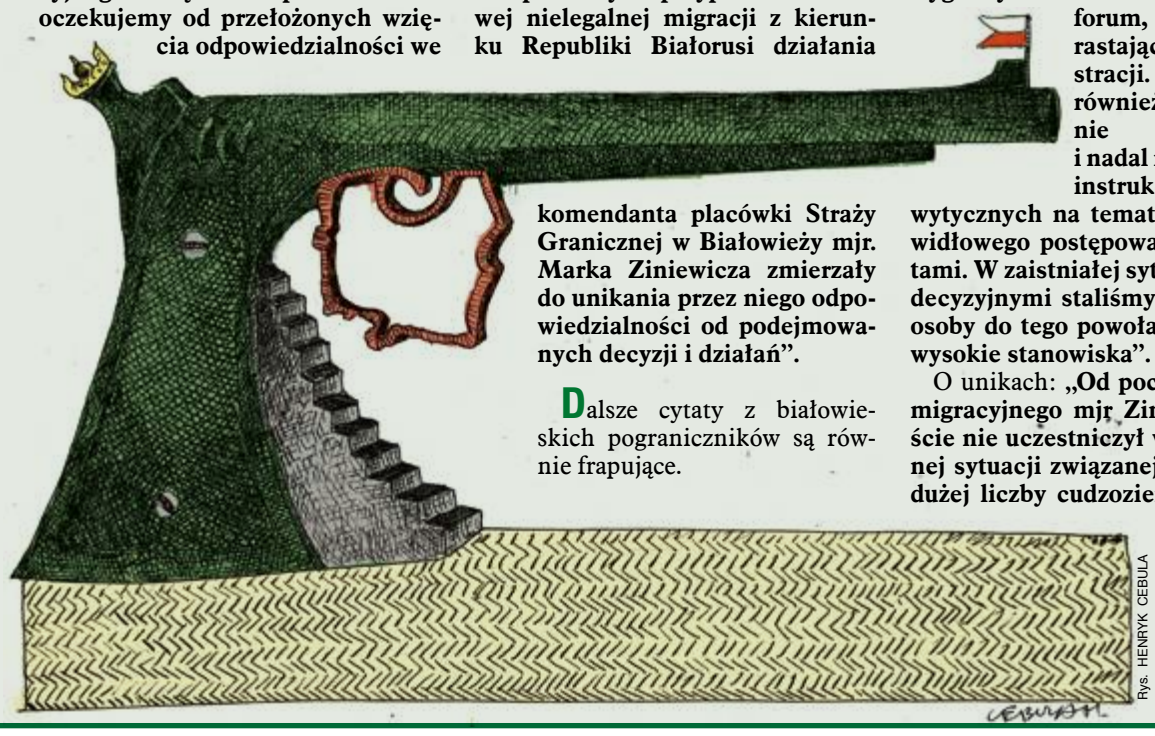
Rys. HENRYK CEBULA

Dalsze cytaty z białowieskich pograniczników są równie frapujące.

O frustracji: **„W obecnej sytuacji mjr Ziniewicz i jego za szybko awansujący zastępca por. Dawidziuk uniemożliwili nam poruszanie niewygodnych im tematów na ogólnym forum, pomimo narastającej naszej frustracji. Tym samym również dowodzący nie przekazywali i nadal nie przekazują instrukcji i bieżących wytycznych na temat sposobu prawidłowego postępowania z migrantami. W zaistniałej sytuacji osobami decyzyjnymi staliśmy się my, a nie osoby do tego powołane, zajmujące wysokie stanowiska”.**

O unikach: **„Od początku kryzysu migracyjnego mjr Ziniewicz osobiście nie uczestniczył w żadnej trudnej sytuacji związanej z obecnością dużej liczby cudzoziemców przy linii granicy, forsujących ogrodzenie lub częściowo wybudowaną zaporę”.**

O plotkach: **„Komendant często zasłaniał się w trudnych momentach służbą dyżurną. Funkcjonariusze na tym stanowisku musieli kłamać i twierdzić, że komendant jest nieobecny w placówce, podczas gdy on siedział na plotkach ze swoim zastępcą”.**

Autorów listu nie udało się na razie namierzyć. Zastępca szefa placówki w Białowieży planuje jak najszybsze przejście na emeryturę.

Publikacja z „Wyborczej” ma być tego bezpośrednią przyczyną.

W innej placówce Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej, w Narewce, pod adresem aktywistów pomagających migrantom poleciały słowa o **„pedałach”.**

Fakt drugi to ostatnia publikacja Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka dedykowana mundurowym z pogranicza „Informacja prawna dla funkcjonariuszy straży granicznej”. W 8-stronicowym poradniku znalazły się przykłady niekorzystnych dla pograniczników wyroków sądów krajowych dotyczących push-backów, informacje o tym, z jakich paragrafów mogą beknąć za wypychanie ludzi za druty, a teraz za mur z wypasioną elektroniką, oraz obowiązku odmowy wykonania rozkazu łączącego się z popełnieniem przestępstwa.

Prawnicy fundacji obiecują, że **„zapewnią pomoc prawną tym funkcjonariuszom i funkcjonariuszkom SG, których spotkają negatywne konsekwencje służbowe w związku z odmową wykonania niezgodnego z prawem rozkazu”.**

Z poradnika powinni skorzystać również podkomendni Mariusza Błaszczaka, ministra obrony narodowej, oraz Mariusza Kamińskiego, szefa wszystkich psów. Tam nadgorliwców w push-backowaniu nie brakowało, choć zdarzały się nieliczne przypadki, o czym pisaliśmy w „NIE”, że mundurowi pokazywali wała przełożonym. Wtedy lądowali na tyłach tej bezsensownej pisowskiej wojenki na granicy z ludźmi gorszego Boga.

WJK

eprasa.pl dc8f67621c

Polski naród buduje chińską izerę

Jeśli sądzicie, że najbardziej wirtualną pisowską inwestycją jest Centralny Port Komunikacyjny, to nie macie racji.

Polski samochód elektryczny budujemy od ponad sześciu lat. Kiedy pojawi się na rynku? Nie wiadomo. Gdzie będzie produkowany? Nie wiadomo. Jak będzie wyglądał? Też nikt nie wie. Podobnie jak tego, ile kasy trzeba będzie jeszcze zainwestować w przedsięwzięcie. Wiemy jedynie, że będzie się nazywał Izera i wcale nie będzie polski.

Rys. TOMASZ WIATER

Kiedy

Projekt „W drodze do elektromobilności" został zaprezentowany przez Ministerstwo Energii w czerwcu 2016 r. Mówił o tym, że w 2020 r. po polskich drogach ma jeździć ok. 75 tys. samochodów elektrycznych. W 2025 r. liczba takich pojazdów miałaby sięgać miliona. O tym milionie Morawiecki (wówczas wicepremier) wspominał kilkakroć.

Nowo obsadzone przez PiS zarządy państwowych gigantów energetycznych, czyli PGE, Tauronu, Energi i Enei, zrzuciły się na kwotę 10 mln zł i w październiku 2016 r. założyły spółkę ElectroMobility Poland (EMP), która miała polskiego elektryka zaprojektować, wyprodukować i sprzedawać. W czerwcu 2017 r. stojący na czele EMP Piotr Zaremba opowiadał mediom, że **„prototypy, którymi już będzie można się przejechać, pojawią się w przyszłym roku. Zaś krótkie serie produkcyjne, którymi będzie można wyjechać do miasta, pojawią się w 2019 r."**. 3 miesiące później Zaremba w całkiem innym wywiadzie rzekł, iż **„nasze plany zakładają, że pierwsze polskie samochody elektryczne pojawią się na drogach w 2018 r."**.

We wrześniu 2017 r. wybrano cztery projekty, które miały zostać wprowadzone w życie. Ich dokumentacje techniczne miały być przygotowane do stycznia 2018 r., a budowa pierwszych aut miała trwać nie dłużej niż 10 miesięcy. Miesiąc po obchodach stulecia niepodległości miały być już dostępne w sprzedaży krótkie serie aut na podstawie tych właśnie czterech prototypów małych autek miejskich.

Minął rok i zamiast pokazać, że polskie elektryki kończą się właśnie skręcać w fabryce, EMP we wrześniu 2018 r. ogłosiła, że **„jeżdżący funkcjonalny prototyp e-auta pojawi się w połowie 2019 r., a seryjna produkcja ruszy w 2022 r."**.

Przez cały rok 2019 Zaremba – nieustająco stojący na czele spółki – ani auta nie pokazał, ani nawet nie zająknął się na temat tego, kiedy to zrobi. Odezwał się dopiero w lipcu 2020 r. Auta nadal nie było, ale powiedział, że **„firma ma w planie budowę fabryki, jej lokalizacja zostanie wskazana jeszcze w tym roku. Pierwsze seryjne modele powinny powstać w 2023 r., rocznie z zakładu będzie wyjeżdżało 100 tys. samochodów. Docelowo izera ukaże się na rynku w pięciu odmianach"**.

Najnowsza wersja dotycząca rozpoczęcia produkcji, sprzed miesiąca, brzmi tak: **„W 2023 r. ruszają prace koncepcyjne. W 2024 ogłosimy wykonawców generalnych dla fabryki izer w Jaworznie. Poznamy dostawców linii produkcyjnych. W 2024 będzie można się po raz pierwszy zapisać na limitowaną serię izery. Ogłoszonych zostanie też pięciu największych dostawców najważniejszych komponentów. Pierwszy samochód zjedzie z linii produkcyjnej w 2025 r."**.

Już wiadomo, że nie ma na to najmniejszych szans. Żeby bowiem samochody robić, trzeba mieć gdzie.

Gdzie

W czerwcu 2017 r. Zaremba ujmował to tak: **„Jest kilka możliwości, wśród nich wykorzystanie fabryk, które już mamy. Ale dziś, by produkować samochody, nie trzeba budować fabryki. Można skorzystać z linii produkcyjnej kogoś, kto w danej chwili ma wolne moce. Dla nas kluczowe jest pytanie o produkt – zanim przejdziemy do fazy budowy, musimy go dodefiniować"**.

Dodefiniowywano długo. Pod koniec marca 2019 r. podczas Motor Show w Poznaniu minister energii Krzysztof Tchórzewski ogłosił, że na ukończeniu jest wybór miejsca pod nową fabrykę e-samochodów. Zapowiedział, że budowa zakładu ma kosztować 2 mld zł i potrwa 2–3 lata, a pod uwagę branych jest 17 lokalizacji; pierwsze samochody trafią do klientów pod koniec 2022 r.

„Ukończenie wyboru miejsca pod fabrykę" trwało 20 miesięcy. Dopiero pod koniec 2020 r. naród mógł się dowiedzieć, że zakłady produkujące izerę staną pod Jaworznem. Na razie był tam należący do Lasów Państwowych las. PiS się spięło i „odlesiło" tę działkę kuriozalną ustawą z lata 2021 r. EMP mogła rozpoczynać budowę zakładu.

Lecz kilka miesięcy trwało interpretowanie źle napisanej ustawy, której spełnienie, czyli oddanie lasu EMP, wpakowałoby pracowników Lasów Państwowych do więzienia za niegospodarność. Lasy Państwowe miały państwową EMP w dupie tak głęboko, że rzecznik LP stwierdził, iż instytucja, którą reprezentuje, **„nie zna harmonogramu budowy fabryki samochodów elektrycznych"** oraz że **„nie leży to w obszarze zainteresowań LP"**.

W połowie tegorocznego listopada dyrektor ds. uruchomienia produkcji w EMP Cyprian Gronkiewicz opowiadał, że **„trwają ostatnie analizy terenów w Jaworznie i Rudzie Śląskiej pod budowę fabryki, w której produkowane będzie polskie auto elektryczne Izera. Ostateczna decyzja, w którym z tych dwóch miast powstanie fabryka izery, ma zostać podjęta w ciągu kilku tygodni, nie później niż do końca roku"**.

Tym razem decyzję podjęto już kilka dni później. Las dostał Jaworznicki Obszar Gospodarczy, na którym fabryka izery ma zająć 118 ha. **„Wszystkie pozwolenia środowiskowe, wodnoprawne czy pozwolenia na budowę planujemy uzyskać w czwartym kwartale 2023 r."** – mówił kilka tygodni temu Gronkiewicz. Fachowcy wiedzący, czym są takie pozwolenia, śmiali się w kułak. Ich zdaniem zbieranie kolejnych zgód, oddalanie skarg w sądach i podobne pierepały biurokratyczne to nie rok, ale co najmniej 2 lata. Pod koniec 2025 r. w Jaworznie możliwe jest najwyżej wbicie pierwszej łopaty. Co wcale dla EMP nie musi być złe, bo może w końcu będzie wiadomo, co zakłady będą produkowały.

A to wcale nie jest jasne.

Co

3 marca 2017 r. EMP ogłosiła konkurs na projekt karoserii małego miejskiego samochodu elektrycznego.

Jednym z oficjalnych warunków konkursu było to, żeby projekt auta „nie obrażał uczuć religijnych".

Po ponad pół roku spośród kilkudziesięciu grafik, z których część przypominała rysunki dziecięce, wybrano cztery projekty. Każdy ze zwycięzców dostał 50 tys. zł.

200 tys. zł poszło się jebać. Menedżerowie z EMP doszli bowiem do wniosku, że małych autek firma produkować nie będzie; polski elektryk ma być duży.

A na dodatek nie polski ani nawet nie przez Polaka narysowany. W 2019 r. ogłoszono, że za izerę odpowiadać ma mająca w Polsce 4 oddziały niemiecka firma EDAG Engineering. Mimo wybrania kilka lat wcześniej karoserii wzornictwem polskiej elektrobryki zajmie się włoska pracownia Torino Design, znana branży jedynie ze współpracy z rosyjskim Kamazem, chińskimi SAIC, BAIC, Chery, FAW czy indyjskimi Tata i Mahindra.

Premiera polskiego samochodu elektrycznego była przesuwana kilkakrotnie. Odbyła się w końcu 28 lipca 2020 r. Pokazano dwie wersje izery – hatchbacka oraz SUV-a.

Nikt nie wie, czy w sprawie pozyskiwania podzespołów do obydwóch modeli coś zrobiono, czy w komputerach inżynierów pojawiły się rachunki niezbędne do kompilacji elementów nowych samochodów. Przez prawie 1,5 roku o bebechach auta było cicho. Miesiąc temu wyszło na jaw dlaczego.

Z powodów politycznych, rzecz jasna. Ostatnie miesiące to przecież erupcja nienawiści do Niemiec. Nie może zatem być tak, żeby polski elektryk był niemiecki. Wobec czego EMP musiała znaleźć innego – jak to określa branża elektroautkowa – integratora. Od miesiąca wiadomo, że polski elektryk będzie chiński.

„Chińska grupa motoryzacyjna Geely udostępni EMP dedykowaną dla aut elektrycznych platformę, na której zostanie zbudowana izera" – głosił stosowny komunikat. Każdy, kto choć trochę orientował się w języku motoryzacyjnym, od razu wiedział, że oznacza to tylko tyle, że z Chin przyjedzie wszystko, co Polacy będą mogli sobie skręcić. Zamiast fabryk produkujących samochody i podzespoły do nich będziemy mieli kolejną montownię. Na dodatek wypuszczającą na rynek coś, na co nie ma popytu – motoryzacyjną chińszczyznę, i to sprzedawaną jako polska.

Jednak ani to, czy produkcja ruszy, ani czy się sprzeda, nikogo nie interesuje. Dla kilkudziesięciu pracowników, którzy od ponad sześciu lat symulują pracę, liczy się tylko to, ile jeszcze zarobią. A właściwie, ile państwowej kasy głupi podatnicy dzięki debilnym politykom wepchną im do kieszeni.

Ile

EMP startowała z kapitałem 10 mln zł. W pierwszym roku puściła z tego 2,7 mln, z czego na wypłaty dla pracowników niemal połowę. W drugim roku firma wydała 2 razy tyle – 5,4 mln zł. Energetyczni założyciele dostali więc polecenie, żeby pasożytowi dać kolejne pieniądze. Dołożyli 60 mln zł. Kasa ta skończyła się w przeddzień prezentacji prototypów w 2020 r.

Gdy jednak Zaremba zabrylował w mediach stwierdzeniem: **„Spółka planuje teraz uruchomienie fabryki samochodów elektrycznych za 4,5 mld zł, z czego nie mniej niż 2,5 mld zł wyłożą Energa, Enea, PGE oraz Tauron"**, prezesom spółek skarbu państwa opadły szczęki. Śmignęli do ministra Sasina i powiedzieli, że darmozjadom nic już nie dadzą, bo nie chcą iść siedzieć.

Rząd nie miał wyjścia i upaństwowił coś, co i tak było już państwowe. 2 sierpnia 2021 r. na mocy umowy inwestycyjnej skarb państwa za ćwierć miliona złotych objął w EMP nowe udziały i stał się większościowym udziałowcem. Jak gdyby dotychczas nie był. Przecież pozostałymi udziałowcami są zarządzane przez ten sam skarb państwa: PGE Polska Grupa Energetyczna SA, Energa SA, Enea SA oraz Tauron Polska Energia SA.

„Zaangażowanie skarbu państwa w izerę jest gwarantem kontynuowania prac w najważniejszych obszarach i zapewnia projektowi stabilność" – mówił po uroczystości prezes Zaremba, ciesząc się jak dziecko, że do wydawania na nic ma tym razem ćwierć miliarda złotych. Co najmniej. Przecież fabryka izer w Jaworznie ma kosztować ok. 6 mld zł. Drożej o pół miliarda niż koszt budowy fabryki samochodów elektrycznych Volvo (też należącej do chińskiej Geely), która powstaje w Koszycach na Słowacji.

Oczywiście pytanie „ile?" może się również odnosić do wyroków w sprawie niegospodarności wokół izery. Jak przebąkują wiewiórki w Najwyższej Izby Kontroli, już za to, co EMP przebimbała do tej pory, posypią się wnioski do prokuratury. Jednak zdaniem inspektorów widać, że chodzi tu o większy przekręt. Będzie on polegał na tym, że wybudujemy i wyposażymy fabrykę, której wytworów nikt nie będzie chciał kupić. Polski rząd uzna, że dokładać do interesu nie zamierza, i za psie pieniądze, czyli symboliczną złotówkę i obietnicę utrzymania tam produkcji, opchnie zakład Chińczykom. Ci zaś nie odmówią – w ramach odwiecznej przyjaźni polsko-chińskiej.

TADEUSZ JASIŃSKI

Rysunki TOMASZ WIATER

eprasa.pl dc8f67621c

WIEŚCI GMINNE i INNE

Rys. TOMASZ WIATER

Wszyscy pasażerowie pociągu relacji Oleśnica–Wrocław mieli pretensje do Pauliny Strońskiej z Wałbrzycha. Miał również do niej pretensje kierownik pociągu. I policja też miała pretensje. Chodziło o to, że Paulina nie mogła założyć pierdolonej maseczki na dziób. 7 października 2020 r. pociąg z powodu braku tej maseczki spóźnił się ponad godzinę. Jak się okazało, to Paulina miała rację, a nie wszyscy pozostali. Potwierdził to Sąd Okręgowy we Wrocławiu, po tym jak w sądzie rejonowym sprawiedliwość poszła nie tak, jak powinna. Sąd orzekł, że pasażerka mogła jechać bez maseczki, bo była chora na raka, który dawał jej do tego prawo. Dodajmy, że wyrządzono Strońskiej krzywdę psychiczną, którą leczyła na oddziale szpitalnym, za co beknie teraz skarb państwa.

– Nie widziałam takich rzeczy od okupacji – twierdziła starsza kobieta świadkująca napadowi trzech uzbrojonych w pistolety młodych mężczyzn na jeszcze jednego, dużo młodszego, na ul. Grażyny w lubelskiej dzielnicy Rury. – Za takie rzeczy groził kiedyś Majdanek! – dodała. Dobrze to świadczy o ekosystemie Lublina, gdzie żyją jeszcze ludzie pamiętający owe mroczne czasy, które zakończyły się 77 lat temu. Dobra zmiana polega też na tym, iż obecnie rabusie nie noszą niemieckich mundurów, używali broni pneumatycznej, a w Majdanku lublinianie mają muzeum.

Kierowcy jadący drogą między Alwernią a Babicami w województwie małopolskim zauważyli radiowóz w trybie ruchu drogowego pokryty śniegiem. Poinformowali o tym policję. Rzecznik małopolskiej komendy Sebastian Gleń wyjaśnił, iż kierowca zostałby ukarany, gdyby wiedziano, który to radiowóz. Wiedzieć się nie da, bo zaśnieżone tablice rejestracyjne uniemożliwiły odczytanie numerów, a wszystkie radiowozy są do siebie bardzo podobne.

Niestety. Wszyscy już wiedzą: Jeden z darčekov, ktoré šéf polície dostal počas svojej nedávnej návštevy Ukrajiny, vybuchol na poľskom policajnom riaditeľstve. Šéf poľskej polície, generál Jaroslaw Szymczyk, utrpel ľahké zranenia a je v nemocnici na pozorovaní. Mhm…

32-latek, który po interwencji policjantów zmarł w szpitalu w Płocku, nie miał ran kłutych ani szarpanych tudzież innych śladów pobicia. Zastępca prokuratora rejonowego w Płocku podkreślił, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnie naturalnych.

Ujęto osobnika, który w Zabrzu w listopadzie jednej nocy podpalił 21 samochodów. Ze wstępnych, a nawet bardziej zaawansowanych dociekań policji wynika, że był to czyn o charakterze chuligańskim, pozbawiony głębszych motywów. Podpalacz zwyczajnie chciał coś sobie podpalić. Poczekam na wyrok, ponieważ moja lista pojazdów, które chciałbym sobie zwyczajnie podpalić, nie jest już trzypunktowa.

Myśliwy Koła Łowieckiego „Hodowca" z gminy Dolice nieopodal Szczecina nakręcił drastyczny film, na którym jego teriery walijskie rozszarpały kota. Kłaki leciały, jakby to była kura. To nie kot poskarżył się policji. Film cieszył się zbyt dużą oglądalnością wśród miłośników przemocy międzygatunkowej, także na komisariacie. Myśliwy filmowiec stanie teraz przed sądem. Jeżeli zostanie mu udowodnione, że namawiał psy do tego, co zaszło, kara może być bardzo surowa. Szanse oskarżenia są duże, ponieważ teriery walijskie na ogół rozszarpują lisy, zające lub borsuki. Od kotów trzymają się z daleka.

Polska lokomotywa wodorowa SM42-6Dn zakończyła testy na torze doświadczalnym w Żmigrodzie. Wypadły nadzwyczaj dobrze. Bydgoska PESA, konstruktor eksperymentalnego pojazdu, jest gotowa do komercjalizacji – powiedział Lech Lipiński z PESY. I to jest bardzo dobra wiadomość. Jeżeli oczywiście w pełni prawdziwa. Oznacza, że przed polskimi kolejami jest technologiczny przełom. Zeroemisyjne pociągi zasilane paliwem uzyskiwanym z turbin wiatrowych to nie w kij dmuchał.

Nauczyciel z Zespołu Szkół „Mechanik" w Tarnowskich Górach nie po to zamontował nad kiblami kamerę wideo, aby filmować chłopięce siusiaki. Chodziło mu o wykrycie uczniów, którzy palą papierosy w toalecie i dewastują ubikacje – tłumaczył w prokuraturze. No i co z tego? I tak dostał zarzut posługiwania się urządzeniem wizualno-podsłuchowym w celu uzyskania informacji, do których nie był uprawniony, za co grożą 2 lata mamra. W pewnym sensie belfer ma jednak szczęście. Gdyby rozpowszechniał nagrania z tymi papierosami w internecie, sąd mógłby mu dowalić 10 lat.

Ponieważ Morawiecki chciał wygrać wybory, to Glapiński drukował pieniądze bez pokrycia, przez co powstała inflacja. Wskutek tego podniesiono ceny kredytów hipotecznych tak, że ludzi na nie nie stać. Z tego powodu umiera budownictwo. W świetle postępującej niepewności ekonomicznej w produkujących okna dachowe dla budownictwa zakładach Grupy Velux w Gnieźnie wprowadzono 4-dniowy tydzień pracy. Ponieważ niepewność nie ustąpiła pola pewności, wywaleni mają teraz być pracownicy w liczbie 180 z 1000-osobowej załogi. Morawiecki, Glapiński i Kaczyński utrzymują, że to wina Putina. Dołożylibyśmy Reagana.

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Powyżej opisany mechanizm zaszkodził także Komendzie Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Bieżące długi komendy, tfu!, znaczy przeterminowane należności, wynoszą już 10,2 mln zł. Policjanci w minionym okresie za dużo świecili niepotrzebnych żarówek, gadali przez telefony po próżnicy, gotowali zbyt dużo wody na herbatę i obgryzali długopisy w nadmiarze. Naczelnik komendy wdraża program ograniczający takie marnotrawstwo.

Radiowóz podlaskiej Krajowej Administracji Skarbowej, jadący w kierunku przejścia granicznego w Bobrownikach, na drodze krajowej nr 65 potrącił łosia. Zwierzę przeleciało nad pojazdem. Upadło na asfalt. Po chwili wstało i poszło w kierunku lasu. Policja nie stwierdziła naruszenia przepisów ruchu drogowego przez skarbowców. Winny wykroczenia był łoś, który, jak wynika z przebiegu zdarzenia, natychmiast został przez urzędników skarbowych ukarany. W karaniu łosi za wykroczenia mają przecież skarbowcy ogromną praktykę.

Na Rynku Głównym w Krakowie przedstawiciele stowarzyszenia libertarian protestowali przeciwko planowanemu przyszłorocznemu poborowi rezerwistów na ćwiczenia wojskowe. Skandowali: „Tak dla wyboru, nie dla poboru!". Też jestem przeciw obowiązkowemu poborowi z przyczyn osobistych. Mam alergię na kule. Silniki w czołgach nie mają katalizatorów. Wydalają zbyt dużo dwutlenku węgla. Gazy prochowe zawierają za dużo szkodliwych wyziewów węglanu potasu, siarki oraz amonu. Huk eksplozji bomb lotniczych wielokrotnie przekracza dopuszczalne normy hałasu – i nikt z tym nic nie robi.

Policjanci z Scherpenzeel na północy Holandii poinformowali o zniknięciu pewnego Polaka. Zniknął i prawdopodobnie nigdy już nie powróci – przypuszczają. Polak ściągnął na siebie nienawiść autochtonów, ponieważ pozostawał permanentnie pijany. Wyrażał niezadowolenie z poziomu handlu detalicznego w miejscowych galeriach handlowych oraz zaczepiał klientów po polsku. „Nie będziemy za nim tęsknić"; „Dobrze, że go nie ma" – to niektóre komentarze pod postem policji. W tym roku w Holandii „zniknęło" już sześciu Polaków. W lutym 34-latek został ugodzony nożem. We wrześniu 37-latek upadł na ziemię, potrącony przez ochroniarza podczas koncertu rockowego. 21-letnią Wiktorię i 20-letniego Konrada znaleziono martwych na polu w okolicach Dronten. Zmarli z wychłodzenia. W Hadze w październiku 39-latek z Polski został wepchnięty pod tramwaj, zatem również zniknął. Przyczyn najnowszego zniknięcia jeszcze nie ustalono. Może marskość wątroby?

R.J.

Informacje pobrano z prasy lokalnej jako zajmujące dla szerokiej opinii publicznej, co jednak nie znaczy, że muszą być absolutnie prawdziwe.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Przepis na świąteczny piernik

W czasach gdy nie tyle gotowanie, ile pierdolenie o nim celebryckich kucht i kuchcików urasta do rangi sztuki dla sztuki, trudno o niepowtarzalny przepis. Służę poradą.

Składniki:

- 4 jaja z tej samej kury, która rzeź w kurniku, zorganizowaną przez niemieckich bauerów, przeżyła. Gdyby okazało się, że mamy mgliste pojęcie o upływającej kadencji do spożycia, 2 z nich można wyrzucić. W tym celu należy mocno się zamach(nąć) i rzucić nabiał lotem koszącym nad brzozowym stroikiem. Właściwą trajektorię można wyliczyć z macie(re)rzy. Aby przez kolejny rok nie zapomnieć sposobu, wigilię każdej rocznicy poprzedzić jedenastoma comiesięcznymi powtórkami.
- 1 kg mąki z młyna „Łupieżarna".
- 1 „kaczka" wody z Wisły, zaczerpniętej podczas zrzutu „Czajki".
- Szczypta soli z kopalni ukrytej opcji niemieckiej.
- Szklanka cukru z buraka.
- 0,5 kg pieprzu dla podkreślenia wymowy absmaku (finalnie: absmaku wymowy).
- Szczypta drożdży z intencją za Tuska, żeby piernik zbyt duży nie wyrósł.
- Przyprawy według uznania.

Wykonanie: Wyrobione – jak w ogniu podpościelowych walk stanu wojennego – ciasto wsadzamy do formy wykonanej z nacjonalizmu, ksenofobii, mizoginizmu, teatralno-żałobnego koniunkturalizmu, dewocji, zaściankowości, wstecznictwa, narcyzmu, arogancji, buty, ignorancji, agresji, zacietrzewienia, mściwości, hipokryzji, nekromanii i wyrachowanej klerykalnej służalczości, po czym ugniatamy tak, by każda cząsteczka mocy pierwiastków formy ciasto kształtowała. Formę na 9 (żyć kota) pomnożone przez 4 (jeźdźców Apokalipsy) minut wstawiamy do piekarnika nastawionego na 180 stopni (promień sejmowej sali posiedzeń) Celsjusza.

Uwaga: piernik musi być homogenicznie biały. Gwarancja długiego, bo odnawialnego terminu przydatności do spożycia. Mdły dla młodych kobiet, gdyż te, jak wiadomo, wolą „dawać w szyję" miast rodzić kolejne pokolenia konsumentów tego niestrawnego gówna.

M.G.

Czy Tusk da radę?

Jako zdeklarowanego antyklerykała bardzo ucieszyły mnie ostatnie krytyczne jak nigdy dotąd wypowiedzi Donalda Tuska na temat Kościoła. Jestem przekonany, że nauczony smutnymi doświadczeniami Tusk chciałby faktycznie dokonać rozdziału Kościoła i państwa, obawiam się jednak, czy cel ten uda mu się osiągnąć. I to nie dlatego, że swego czasu Tusk deklarował, że nie będzie klękał przed księdzem – i nic z tego nie wyszło, ale z przyczyn bardziej zasadniczych. Cokolwiek by powiedzieć, Kościół jest największą potęgą finansową naszego kraju i w dalszym ciągu sprawuje rząd dusz nad znaczną częścią społeczeństwa. Chcąc walczyć z taką potęgą trzeba bez wątpienia wykazać się niesamowitą determinacją działania. Obawiam się, że PO nie jest w stanie spełnić tego wymogu z tego choćby względu, że musi zajmować się dziesiątkami innych coraz bardziej nabrzmiałych problemów społeczno-gospodarczych.

Chcąc skutecznie walczyć z kościelnymi patologiami, które stanowią problem sam w sobie, konieczne jest moim zdaniem utworzenie na polskiej scenie politycznej partii o charakterze antyklerykalnym. Gdyby na czele takiej partii stanął jakiś charyzmatyczny przywódca, to jestem przekonany, że bez trudu przekroczyłaby ona próg wyborczy. Wystarczy przypomnieć, że utworzony na kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi w 2011 r. Ruch Palikota uzyskał w wyborach ponad 10 proc. głosów, stając się w ten sposób trzecią siłą polityczną (po PO i PiS).

Adam Z.

REKLAMA

eprasa.pl dc8f67621c

ODKŁAMANIA

Listopadaczka

Rys. HENRYK CEBULA

Tym razem władze oraz zarówno oficjalne, jak i opozycyjne media pominęły milczeniem kolejną rocznicę powstania listopadowego. Co prawda nie okrągłą, tylko 192. Jednak to milczenie daje do myślenia, świadczy bowiem, że pełna patriotycznego zadęcia polityka historyczna w istocie wyzbyła się wszelkich kształcących ambicji; poprzestaje bez reszty na doraźnej propagandzie.

W obliczu tego, co się obecnie dzieje w Europie Wschodniej, powstania z XIX w. zeszły na daleki plan. Ze szkodą dla kultury politycznej i świadomości narodowej. Doświadczenie tych powstań jest pouczające i pozwala mniej powierzchownie spojrzeć na trudne sprawy i konflikty dnia dzisiejszego.

Powstanie listopadowe w odróżnieniu od styczniowego prawie natychmiast przekształciło się w wojnę polsko-rosyjską, pod pewnymi względami przypominającą tę, którą obecnie toczy Ukraina. O powstaniu i wojnie z lat 1830–1831 wiemy prawie wszystko, dysponujemy dziesiątkami monografii i setkami artykułów naukowych. Historycy o sens tego powstania spierali się od początku i nie ustawiali się pod jeden strychulec. Popularność zdobył dylemat: bić się czy się nie bić?, ale tylko w publicystyce. Historiografia dociekała czegoś ważniejszego, a mianowicie, kto chciał się bić i czym to motywował, a kto był innego zdania i dlaczego. Ujęcie głębsze i ważniejsze. Z biblioteki domowej wybraliśmy trzy prace, różniące się w tej kwestii stanowiskiem, ale napisane z wielką rzetelnością naukową. Wydane w 1901 r. „Nasze dzieje w XIX wieku" Stanisława Tarnowskiego (1837–1917). Autor to prominentna postać krakowskiej szkoły historycznej, konserwatywnej, zwanej stańczykami od pamfletu programowego „Teka Stańczyka" ogłoszonego przez Tarnowskiego wraz z Józefem Szujskim i Stanisławem Koźmianem w 1869 r. Także o pokolenie młodszą i reprezentującą inną szkołę fundamentalną pracę Wacława Tokarza (1873–1937) „Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa", która ukazała się w 1925 r. Na koniec współczesne studium Lecha Mażewskiego „Powstańczy szantaż", opublikowane w Elblągu w 2001 r.

I

Tarnowski, podobnie jak pozostali historycy szkoły krakowskiej, powstanie listopadowe stawia wyżej niż styczniowe, które – jak pisze – było jedynie ruchawką partyzancką bez szans na zwycięstwo i bez większego znaczenia. Powstanie listopadowe przekształciło się od razu w wojnę polsko-rosyjską, nie bez szans powodzenia czy też ze zmarnowanymi szansami. Kwintesencja stanowiska Tarnowskiego brzmi: swój egzamin w tej wojnie zdało tylko wojsko Królestwa Polskiego. Niezbyt liczne, nieco powyżej 30 tysięcy żołnierzy w czasie pokoju, a po mobilizacji rezerw około 80 tysięcy. Starannie wyszkolone i w miarę dobrze wyekwipowane biło się świetnie i w pierwszej fazie wojny odniosło znaczne sukcesy (Stoczek, Olszynka); dopiero w drugiej fazie, gdy Rosja skierowała do Polski większe siły, uległo. Dlaczego mimo wspaniałej postawy żołnierzy ta wojna została stosunkowo szybko przegrana? Według Tarnowskiego zawinili wszyscy poza żołnierzami. I chwiejni politycy, i opieszali, niewierzący w możliwość zwycięstwa generałowie, także sejmowi demagodzy oraz radykalni wichrzyciele, którzy mordami czystą sprawę splamili, **„ale"** – sumuje – **„wszyscy oni byliby lepsi, gdyby ci, co powstanie wywołali, mieli między sobą choć jednego człowieka zdolnego wojnę poprowadzić i krajem rządzić lub kogoś takiego zawczasu do swoich zamiarów pozyskali"**. Wówczas byłaby szansa, aby szybko pokonać te wojska rosyjskie, jakie były w Królestwie i na pograniczu, oraz niezwłocznie podjąć rokowania pokojowe. Rokować bowiem skutecznie – pisał Tarnowski – da się tylko w fazie wojny zwycięskiej.

II

Wacław Tokarz wykazał więcej wyrozumiałości dla spiskowców z nocy listopadowej. Było ich niewielu, nieco ponad setka. Podziwiał ich ideowość i poświęcenie, choć rzetelnie opisał wady i słabości. Wśród przywódców nie doszukał się osobistości o zdolnościach wybitnych. O Wysockim napisał – ku zgorszeniu niektórych recenzentów – że był człowiekiem prawym i szlachetnym, ale o horyzontach umysłowych dość ciasnych i inteligencji miernej. Podchorążowie potrafili zerwać się do czynu, malowniczo umierać, zabijać tych, co chcieli ich powstrzymać, ale nie umieli dowodzić. Znalazł Tokarz nawet pewne usprawiedliwienie dla mordów na kilku generałach w noc listopadową. **„Mordy te"** – pisze – **„nie były niczym usprawiedliwione. Zabiła ich nie rzeczywista potrzeba, ale zawiedziona miłość tej młodzieży powstańczej, szukającej tak natarczywie wodza wśród starszyzny własnej"**. Powstanie już pierwszej nocy w pewnym momencie było bliskie załamania, uratował je wielki książę Konstanty, który odmówił użycia rosyjskiej kawalerii w celu przywrócenia „porządku". Polacy nawarzyli piwa, mają swoje wojsko, niech sami zaprowadzą ład – orzekł i wycofał swoje wojsko z Warszawy, a kilka dni później z Królestwa. Rozumował logicznie, nie chciał likwidacji Królestwa, wolał więc, aby bunt podchorążych stłumiło własne wojsko, a nie rosyjskie. Wyszło dużo gorzej, niż przypuszczał. W wojnie, która się wywiązała, ster po stronie polskiej przejęli dowódcy, którzy tej wojny nie chcieli i w jej powodzenie nie wierzyli. Byli to dzielni żołnierze o chlubnych tradycjach z czasów napoleońskich, kilku na tej wojnie bohatersko poległo, ale zakończyć jej nie potrafili ani zwycięstwem, na co były bardzo niewielkie szanse, ani kompromisem, co w pewnym okresie było w zasięgu ręki. Nie tylko w pierwszej fazie wojny, pomyślnej dla Polski, ale nawet w ostatniej. Kilka dni przed szturmem na Warszawę feldmarszałek Iwan Paskiewicz wysłał generała Dannenberga z propozycją rozmów o zawieszeniu broni na korzystnych dla strony powstańczej warunkach. Władze powstańcze na inicjatywę Paskiewicza odpowiedziały hardo: listą zupełnie nierealistycznych w tej sytuacji żądań, m.in. włączenia do Królestwa wszystkich prowincji polsko-litewskich, tzw. ziem zabranych. Skończyło się na niczym i 5 dni później Warszawa skapitulowała, a po miesiącu powstanie wygasło.

III

Lech Mażewski podziela opinię Normana Daviesa: **„Tragedia powstania listopadowego polega na tym, że było ono w ogóle niepotrzebne!"**. Wysunął jednak kilka nowych interesujących hipotez. Dość ryzykownie przyjął, że unia rosyjsko-polska, jaką było połączenie Królestwa Polskiego z Rosją carską, miała szanse rozwoju. To wątpliwe ze względu na zbyt wielkie różnice partnerów i przede wszystkim ambicje imperialne Rosji, mające silne oparcie w Świętym Przymierzu. Bardziej przekonywające natomiast wydaje się zaproponowane przez Mażewskiego wyjaśnienie mechanizmu społecznego, który sprawił, że elity Królestwa, przekonane o tym, że powstanie będzie miało zgubne konsekwencje dla Polski, nie przeciwstawiły mu się stanowczo i otwarcie, lecz tylko sabotowały pokątnie. Nazwał ten mechanizm szantażem powstańczym. Inaczej mówiąc, presją histerii nacjonalistycznej, pobudzonej cudownym prawie uwolnieniem Warszawy w jedną noc, a całego Królestwa w tydzień, od Moskali po wycofaniu wojsk przez Konstantego. Nacjonalistyczny triumfalizm zachwiał zbiorowym rozsądkiem i odebrał elitom odwagę cywilną. Wiedziały, że przykładają rękę do złej sprawy, ale to robiły, często zresztą nieudolnie. Drastyczny przykład: książę Adam Czartoryski 25 stycznia 1831 r. jako prezes rządu narodowego otrzymuje do kontrasygnaty uchwałę sejmu o detronizacji Romanowowów. Wie, że akt ten przypieczętuje los Królestwa, po nim kompromis z Rosją już nie będzie możliwy. Waha się chwilę i podpisuje. Następnie ponoć zwraca się do obecnych współpracowników: **„Tak oto, panowie, zgubiliśmy Polskę!"**. Ta histeria nacjonalistyczna, odbierająca rozum, powtórzy się w dziejach polskich kilka razy, współcześnie także.

IV

Wszyscy wymienieni historycy uważali upadek Królestwa Polskiego w konsekwencji powstania listopadowego za wielką stratę narodową. Mażewski bada skutki tej straty ze szczególną precyzją. Wybuch powstania według niego byłby usprawiedliwiony, gdyby któryś z carów rozpoczął likwidację odrębności państwowej Królestwa od Rosji. Powstając wtedy, Polacy broniliby porządku ustanowionego w Wiedniu w 1815 r. Natomiast powstaniem 29 listopada 1830 r. Polacy ułatwili Mikołajowi I pozbycie się Królestwa.

V

Nasuwa się refleksja. Od dziesięcioleci powtarzamy z przekonaniem, że Polska przez 123 lata była pozbawiona bytu państwowego, znajdowała się w niewoli zaborców. Od trzeciego rozbioru w 1795 r. do listopada 1918 r. Nawet dla epizodu z Księstwem Warszawskim nie robimy wyjątku. Współcześni tamtym czasom odczuwali to inaczej. W Księstwie Warszawskim czuli się wolni, dla nich to była Polska. Królestwo Polskie również. Książę Czartoryski we wspomnianej scenie, podpisując akt detronizacji Romanowowów, mówi: **„Zgubiliśmy Polskę"**, bo to Królestwo dla niego i jego współczesnych było Polską właśnie!

Porucznik Władysław Zamoyski, późniejszy generał powstańczy, w noc listopadową relacjonując Skrzyneckiemu sytuację w mieście, mówi: **„Generale, przelecieć by się po tym całym powstaniu dwoma szwadronami jazdy i Polska byłaby uratowana!"**. Znowu

Polska, a nie Królestwo! Bo to było odrębne polskie państwo, z własnym rządem, sejmem i senatem, konstytucją, skarbem, pieniądzem, szkolnictwem i przede wszystkim wojskiem!

Z Rosją związane unią dynastyczną i polityką zagraniczną. Niewiele się to różniło od epoki saskiej. Nie dziw, że utworzenie tego Królestwa społeczeństwo polskie powitało z nadzieją i radością jako początek wskrzeszenia Rzeczpospolitej. Nawet hymn kościelny „Boże, coś Polskę" powstał wtedy ku czci Aleksandra I, twórcy tego państwa. Był to wyraz uzasadnionego realizmu politycznego. Dramatycznie kontrastuje ze współczesnym stosunkiem całego praktycznie obozu posolidarnościowego do Polski Ludowej, którą wykreśla się z historii polskiej państwowości. A było to państwo o wiele wyraźniej odrębne od Rosji radzieckiej niż Królestwo od Rosji carskiej. I w miarę upływu czasu od 1956 r. tę odrębność powiększało.

Jest w tej negacji roli i miejsca Polski Ludowej rodzaj politycznego oszołomstwa o skali w uprzednich dziejach niespotykanej. Na dłuższą metę nie do utrzymania. Według Józefa Szujskiego zła polityka jest córą fałszywej historii. Naprawiajmy zatem historię w nadziei, że uzdrowi to również politykę.

M.Z.

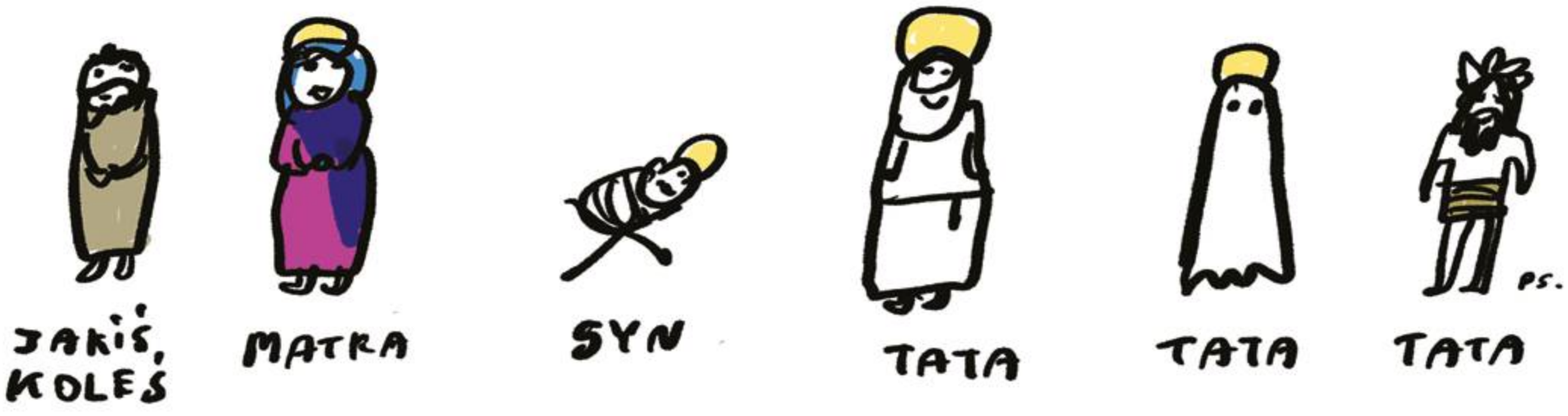

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

eprasa.pl dc8f67621c

Cztery szlagiery

Leć, Dawid, leeeeeeeeeeć!

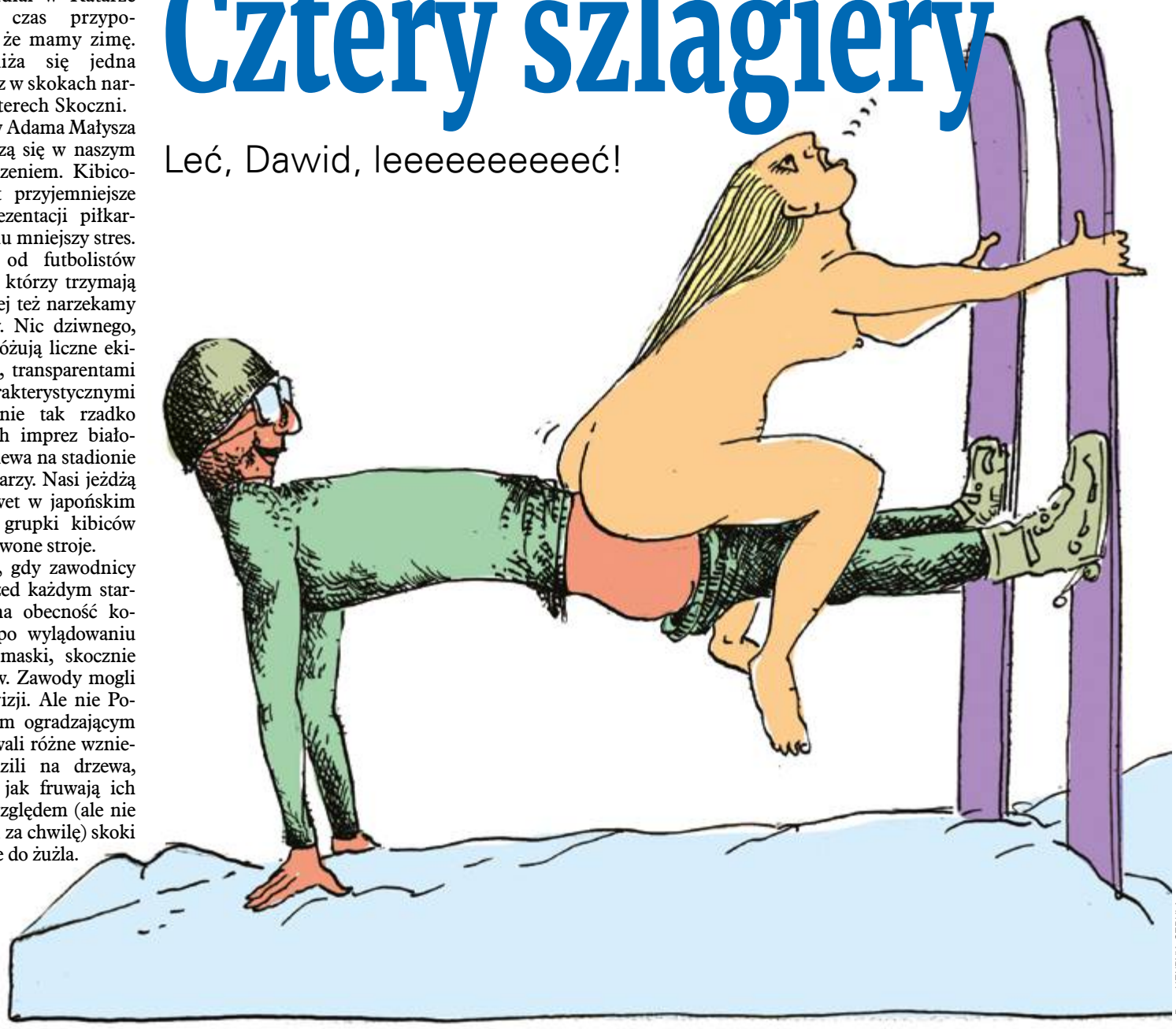

Rys. HENRYK CEBULA

Piłkarski mundial w Katarze zakończony, czas przypomnieć sobie, że mamy zimę. Właśnie zbliża się jedna z ważniejszych imprez w skokach narciarskich: Turniej Czterech Skoczni.

Od czasów sukcesów Adama Małysza skoki narciarskie cieszą się w naszym kraju wielkim powodzeniem. Kibicowanie skoczkom jest przyjemniejsze od kibicowania reprezentacji piłkarskiej, bo towarzyszy mu mniejszy stres. Skoczkowie częściej od futbolistów sprawiają radość tym, którzy trzymają za nich kciuki, rzadziej też narzekamy na styl ich występów. Nic dziwnego, że za skoczkami podróżują liczne ekipy Polaków z flagami, transparentami i przeróżnymi charakterystycznymi akcesoriami. Wcale nie tak rzadko podczas zagranicznych imprez biało-czerwonych flag powiewa na stadionie więcej niż flag gospodarzy. Nasi jeżdżą po całej Europie; nawet w japońskim Sapporo widać było grupki kibiców ubranych w biało-czerwone stroje.

W czasie pandemii, gdy zawodnicy i członkowie ekip przed każdym startem testowani byli na obecność koronawirusa, a zaraz po wylądowaniu zakładali na twarze maski, skocznie zamknięto dla kibiców. Zawody mogli oglądać tylko w telewizji. Ale nie Polacy. Stawali za płotem ogradzającym skocznie, wykorzystywali różne wzniesienia, nawet wchodzili na drzewa, żeby tylko zobaczyć, jak fruwają ich ulubieńcy. Pod tym względem (ale nie tylko pod tym, o czym za chwilę) skoki narciarskie są podobne do żużla.

Na kacu

Turniej Czterech Skoczni zajmuje w hierarchii tej narciarskiej dyscypliny szczególne miejsce. Zawody rozgrywane są zawsze na przełomie roku, czyli w czasie, gdy większość ludzi świętuje. Zaczynają się 29 grudnia, a kończą 6 stycznia. Organizują je federacje narciarskie Niemiec i Austrii, a ściślej: podległe im kluby w tych krajach. Przynajmniej formalnie. Od dłuższego już czasu nieformalnymi gospodarzami są sponsorzy oraz nadawcy telewizyjni, którzy kupują prawa do pokazywania zawodów.

Kolejność konkursów jest niezmienna: Oberstdorf, Garmisch-Partenkirchen (Niemcy), Innsbruck, Bischofshofen (Austria). Pamiętam, że w redakcji bardzo lubiliśmy tę imprezę, nawet gdy jeszcze Polacy nie odnosili w niej sukcesów, a kibice masowo za nimi nie podążali (w minionym ustroju było to zresztą niemożliwe, nie każdy miał paszport). Okres świąteczno-noworoczny to w sporcie raczej martwy sezon, a łamy gazety trzeba było czymś zapełnić. Rozpisywaliśmy się więc o Turnieju Czterech Skoczni, tym bardziej że prócz sportowej rywalizacji nie brakowało różnych pikantnych szczegółów, które mogły zainteresować naszych czytelników.

Szczególnie ciekawy był zawsze konkurs noworoczny.

Skacowani polscy kibice wpatrywali się w ekrany telewizorów, gdzie na belkach startowych siadali nierzadko równie skacowani skoczkowie.

Już my, Polacy, dobrze się znamy na alkoholu i skutkach jego przedawkowania, bez trudu więc poznawaliśmy, który ze skoczków zadowolił się lampką szampana o północy, a który sięgnął głębiej do butelki. Tych drugich zresztą bywało niemało. Prym w tej konkurencji wiedli Finowie. Zbyt wiele miejsca zajęłoby opisywanie pozasportowych wyczynów Jane Ahonena czy Mattiego Nykänena, zresztą są to historie szeroko znane.

Na bani

Może nie wszyscy natomiast wiedzą, że pierwsza alkoholowa afera w Turnieju Czterech Skoczni była także wywołana przez Fina; ja jej nie mogę pamiętać, bo byłem jeszcze dzieckiem. W sezonie 1955/1956 Hemmo Valio Silvennoinen z Finlandii postanowił, że wbrew zakazowi trenera przehula całą noc sylwestrową. Trener chciał odsunąć go od startu, ale wstawili się za nim koledzy i zwycięzca turnieju sprzed roku nie całkiem trzeźwy usiadł na belce startowej. Koledzy Silvennoinena mieli rację; wygrał noworoczny konkurs. Można i tak…

Skąd się bierze słabość skoczków do mocnych trunków? Jest wiele teorii; dla mnie najbardziej wiarygodna jest ta, że za tę niebezpieczną dyscyplinę biorą się ludzie o charakterystycznej osobowości. Tacy, którzy lubią ryzyko i wysoki poziom adrenaliny we krwi. W tym są podobni do żużlowców, także niewylewających za kołnierz.

W Polsce najgłośniej było oczywiście o Wojciechu Fortunie, naszym pierwszym złotym medaliście zimowych igrzysk olimpijskich, który w wódce utopił swoją pięknie rozpoczętą karierę, stracił wszystkie pieniądze, mieszkanie, trafił nawet do więzienia. Szczęśliwie jednak wyszedł na prostą, przeniósł się z Zakopanego na drugi kraniec Polski, na Mazury, i tam z żoną rozpoczął nowe trzeźwe życie. Z wielką przyjemnością oglądaliśmy i słuchaliśmy go w roli komentatora telewizyjnego.

Ale o ilu chłopakach, którzy dopiero zaczęli skakać na nartach i już musieli przerwać sportową przygodę, bo wyżej cenili biesiadę przy butelce od treningu, niczego nie wiemy? Ludzie, którzy są blisko tej dyscypliny, twierdzą, że jest ich niemało.

Za kółkiem

Każdy, kto skosztował wódki, wie, jak ważna jest solidna zakąska. Tymczasem skoczkowie poddani są surowej diecie. Liczy się każdy zgubiony kilogram. Ciężki skoczek spadnie na zeskok jak kamień, a nie poszybuje w powietrzu niczym ptak. Nawiasem mówiąc, to także łączy ich z żużlowcami, którzy nie powinni wozić na motocyklach zbędnych kilogramów. Alkohol wypity na pusty żołądek szybko uderza do głowy.

Niektórzy skoczkowie narciarscy po zakończeniu kariery szukają mocnych przeżyć gdzie indziej, niekoniecznie w alkoholu. Niemiec Sven Hannawald, pierwszy zawodnik, który zwyciężył we wszystkich konkursach Turnieju Czterech Skoczni (po nim dokonali tego jeszcze nasz Kamil Stoch i Japończyk Ryōyū Kobayashi), i złoty medalista olimpijski, zaczął brać udział w wyścigach samochodowych. Adam Małysz po zakończeniu pięknej kariery także siadł za kierownicą samochodu i startował w Rajdzie Paryż–Dakar. Teraz został prezesem Polskiego Związku Narciarskiego. Jestem pewien, że na tym stanowisku nie zabraknie mu adrenaliny. Wprowadzanie porządku w skłóconym środowisku może spowodować raczej jej nadmiar…

Za krótko

Na razie wszystko idzie dobrze. Minionego sezonu skoczkowie i ich kibice nie kończyli w dobrych humorach. Zaczęto nawet mówić, że czas Kamila Stocha i Dawida Kubackiego minął, Piotr Żyła już zawsze będzie skakał nierówno, a ich następców nie widać. Po sezonie z kadrą (w dość nieprzyjemnej atmosferze) rozstał się trener Pavel Doležal. Zatrudniono młodego austriackiego szkoleniowca Thomasa Thurnbichlera, rówieśnika naszych najlepszych reprezentantów.

Austriak zaczął od zapewnienia, że zamieszka w Polsce, w Krakowie, i że nauczy się naszego języka. Z tym drugim nie idzie mu dobrze i wcale się nie dziwię, nie bez powodu wiele osób uważa, że polski jest najtrudniejszym językiem świata. Za to zawodnicy zaczęli sezon jak odmienieni.

Co tam wykombinował Thurnbichler? Nie wiem. W każdym razie Dawid Kubacki zdominował początek sezonu i jest liderem klasyfikacji Pucharu Świata, Piotr Żyła nareszcie oddaje podobne dobre skoki. Kamil Stoch zaczął sezon nie najlepiej, ale jego forma powoli rośnie i zagraniczni fachowcy, m.in. były wielki mistrz Thomas Morgenstern, uważają, że podczas Turnieju Czterech Skoczni znów zaliczany będzie do faworytów. Punkciki Pucharu Świata ciułają Paweł Wąsek i Aleksander Zniszczoł, ostatniego słowa nie powiedział 36-letni Stefan Hula.

Żeby nie było tak różowo: Thurnbichler tchnął nowego ducha w ekipę skoczków, ale z jednym mu się nie udało. I to jak raz z siostrzeńcem szefa. Tomasz Pilch to siostrzeniec prezesa PZN Adama Małysza. Młody zawodnik zapowiada się na dobrego skoczka. Robił wyraźne postępy. Był tak obiecujący, że firma Red Bull włączyła go do grona skoczków, których sponsoruje. W tej dyscyplinie to swego rodzaju nobilitacja, taka sama jak w tenisie reklamowanie zegarków Rolex. Niestety Tomasz Pilch zaczął skakać coraz gorzej, w obecnym sezonie ani razu nie zakwalifikował się do finałowej trzydziestki Pucharu Świata, a z jego kasku zniknęła charakterystyczna reklama napoju izotonicznego. Myślę, że Thurnbichler będzie zmuszony odesłać 22-letniego zawodnika do ekipy startującej w Pucharze Kontynentalnym, czyli w czymś, co można nazwać II ligą. Wątpię, żeby prezes Małysz wtrącał się do spraw trenera.

Za dwa lata

Pod jednym względem włodarze Turnieju Czterech Skoczni są konserwatywni niczym cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef, nazywany ostoją starego ładu. W ostatnich latach cały sport wprost oszalał na punkcie równouprawnienia kobiet. Panie nie tylko walczą w ringu i podnoszą ciężary, organizuje się wspólne zawody męsko-damskie także w skokach narciarskich. Mamy więc konkursy mieszane w Pucharze Świata, Puchar Świata skoczkiń, a także konkurencję żeńską w norweskim turnieju Raw Air, stosunkowo nowej imprezie, która (w dużej mierze dzięki atrakcyjnym nagrodom) ma ambicję stać się konkurencją dla Turnieju Czterech Skoczni.

Ludzie decydujący o skakaniu na czterech skoczniach są jednak nieugięci. Ta impreza pozostaje niedostępna dla skoczkiń. Prezeska Austriackiego Związku Narciarskiego Roswitha Stadlober zapowiedziała, że pomyśleć będzie o tym można nie wcześniej niż w sezonie 2024/2025. I to mówi kobieta! Chyba tylko niewiedza przez nią przemawia, bo sama jako zawodniczka z sukcesami startowała w narciarstwie alpejskim, a jej mąż to były światowej klasy biegacz. Na skokach mogą się nie znać, bo za ich czasów dziewczęta nawet nie myślały o przypinaniu do butów długich desek do skakania.

Konserwatyzm działaczy oburza środowiska narciarskie w wielu krajach. Oczywiście najgłośniej protestują Norwegowie. Może dlatego, że ich rodaczka Maren Olstad Lundby zdobyła złoty medal olimpijski, 4 razy sięgała po mistrzostwo świata, a 2 razy wygrywała cykl Raw Air. Ich zdaniem właśnie turniej Raw Air pokazał, że zawody kobiece są chętnie oglądane przez kibiców nawet w dni powszednie. A przecież Turniej Czterech Skoczni odbywa się w czasie, gdy większość Europejczyków ma wolne, a dzieciarnia korzysta z ferii.

Czy Polska będzie się upominać o skoczkinie? Wątpię. W tej chwili mamy dwie zawodniczki, w dodatku śmiertelnie na siebie obrażone. Zarówno Nicole Konderla, jak i Kinga Rajda nie ukrywają, że się nie lubią (choć w wywiadach kurtuazyjnie dodają coś o wzajemnym szacunku), a podczas zawodów za nic nie chcą mieszkać w jednym pokoju hotelowym. Trzeba dla nich rezerwować osobne numery. Część dziewcząt, które przymierzały się do skakania na nartach, mówi o zakończeniu kariery, ale, jak słusznie zauważył w mediach Małysz, kończyć karierę może tylko ktoś, kto ją miał. Nasze panny nie mogą więc mówić o karierze, a jeśli już, to o krótkiej przygodzie z nartami.

Może to i lepiej, że nie zobaczymy kobiet w Turnieju Czterech Skoczni. Całą uwagę skupić będziemy mogli na występach Kubackiego, Stocha i Żyły.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Ćwikliński, Waldemar Kuchanny (zastępcy red. nacz.), Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Łaniewska.
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c."

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch" S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7°– 17°.
(koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
- połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
- połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–32 – 21.12.2022 r.**

eprasa.pl dc8f67621c

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

W owym czasie wyszło rozporządzenie cesarza Mateusza, że Ziobro to gamoń, ale nasz gamoń i prędzej uschną nam ręce, niżbyśmy nacisnęli nimi guziki w głosowaniu za wotum nieufności.

Wielkorządcą Nowogrodzkiej był wówczas Kaczydziób, do którego wybierali się wszyscy, żeby dać się zobaczyć. Panowało bowiem przekonanie, że ten, którego Kaczydziób nie dostrzeże, sczeźnie na amen.

Na Nowogrodzką udał się też Obajtek z Pcimia, celnik, szalbierz i wytwórca legend, który ostatnio ubił złoty interes z Syryjczykami lub Asyryjczykami, niepotrzebne skreślić. Obajtkowi towarzyszył brzemienny Karczewski, kiedyś pierwszy senator, teraz, wskutek woli pospólstwa, zwykły senator, któremu samemu sprawunki czynić przyszło.

Na Karczewskiego czyhał w stajence niecny Tusk, a właściwie jego awatar pod postacią rzezimieszka. Gdy Karczewski miał porodzić syna, owinąć go w pieluszki i położyć w grobie, tfu!, w żłobie, opryszek wyskoczył zza węgła i dawaj okładać Karczewskiego po brzuchu.

– Ach, ty, ach, ty draniu, w imię Tuska i przeciwko imieniu Kaczydzioba cię leję, kreaturo podła! – wołał łotrzyk.

– Ach, ja, ach, ja nieszczęsny! – pisnął Karczewski, czując, jak mu odchodzą wody.

Widząc to, Obajtek czmychnął na strych, gdzie w słomie uwił sobie gniazdko z judaszowych srebrników, denarów, drachm i talentów.

Szczęściem przechodził nieopodal Szymczyk z Katowic albo z Galilei, trudno wyczuć. Szymczyk był wiejskim głupkiem, czyli komendantem pastuszków i psów pasterskich.

– Kto nieszczęsny piszczy, kto nieszczęsny? – zapytał komendant, który zawsze trzymał rękę na pulsie, a palec na spuście grzechotnika, tfu!, granatnika.

– Jam Karczewski! – zawołał Karczewski. – Brzemienny jak dynia. Opuścił mnie Obajtek z Pcimia, łapserdak jeden, a napadł Tusk, też łapserdak.

– Tusk? – zdziwił się Szymczyk, jednak z Katowic. – A skąd się tam wziął?

– Aus Deutschland – odpowiedział Karczewski, zanim hultaj, awatar Tuska, zdzielił go w łeb, a po poprawce w brzuch.

– Ach, ja nieszczęsny – pisnął senator i znów zarobił w brzuch.

Szymczyk miał nacisnąć spust i się śmiertelnie postrzelić, ale, cymbał, nawet tego nie potrafił, ranił się zatem tylko. Aniołowie, którzy czekali na niego w niebie, spostrzegli najpierw bęcwała Szymczyka, a potem Karczewskiego i poród jego.

– Pójdźmy do stajenki, zobaczmy, co się tam zdarzyło – rzekł jeden anioł.

Poszli i znaleźli Karczewskiego, niemowlę i rannego Szymczyka. Nie znaleźli łotrzyka, który uciekł. Nie znaleźli też Obajtka, który ukrył się na strychu.

A potem rozproszyli się po świecie, żeby opowiadać, co słyszeli i widzieli na wieki wieków.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA ma w dupie święta. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** ją rozumie, choć sama nie ma nic przeciwko nim.

Rys. TOMASZ WIATER

Daniszewska: – Serio nie masz?

Wołk-Łaniewska: – Podwójny numer, 10 dni wolnego, w tym 3 dni wykwintnej wyżerki w Białymstoku. Czego tu nie lubić?

– Wykwintnie tradycyjnej?

– Coś ty! Moja ukochana białostocka rodzina z wyboru nie uprawia tradycji, jest na to zdecydowanie zbyt elegancka.

– Z wyboru nie uprawia czy z wyboru rodzina?

– Jedno i drugie.

– A choinkę macie?

– Mamy. Pod sufit. Taka wysoka plama zieleni na tle śniegu widocznego przez panoramiczne okno na ogród doskonale przełamuje chłodny modernistyczny wystrój domu…

– W moim białostockim domu też zawsze była choinka. Jako dziecko nawet lubiłam święta, bo na choince były prawdziwe świeczki i włosy anielskie. Zawsze jedno od drugiego mogło się zapalić…

– Jest ryzyko, jest zabawa…

– Ale nie myśl sobie, że moi rodzice byli jacyś nieodpowiedzialni. Zawsze istniało ubezpieczenie na wypadek pożaru. Wiadro z wodą stało w pobliżu.

– Patrz. A moi byli.

– Co?

– Nieodpowiedzialni. Wiadra przy choince nie pamiętam. Chyba nawet nie mogło go być, bo w wiadrze stała choinka. A kto miał dwa wiadra?

– Towar deficytowy.

– Zwłaszcza z blachy, potrzebnej na czołgi. Cud, że starczało na cholerne lichtarzyki do świeczek. Pamiętasz, że to kurewstwo nigdy nie chciało się trzymać w pionie? Zawsze się gibnęło w prawo albo w lewo…

– Stąd właśnie wiadro…

– Może myśmy nie mieli anielskich włosów? Bo jakoś nie pamiętam pożaru. Teoretycznie mogła się zapalić sama choinka, ale w Wigilię była jeszcze świeża, ryzyko w sumie było więc nieprzesadne. A jak uschła i się sypała, to nikt nie zapalał świeczek. I wszystko było pod kontrolą…

– Z wyjątkiem cioci Halinki, która wypijała alkohol z baryłeczek wiszących na choince. Dzieci dostawały skorupki, ale jakaś kropla gorzały zawsze została…

– Szczęśliwe beztroskie czasy…

– Z Łysym żadnych guseł nie odprawialiśmy. Tylko karpia faszerowanego. To straszna robota; robiłam go tylko raz do roku, właśnie w okolicach 24 grudnia.

– A twoje słynne ohydne śledzie z piernikiem?

– Śledzie z piernikiem są genialne, jeśli tego nie rozumiesz, to znaczy, że masz zbyt prostackie podniebienie. Ale nigdy ich nie robiłam o tej porze, byłam zbyt wykończona karpiem. Mój mądry drugi mąż mi uświadomił, że śledzia można zjeść o każdej porze, żarliśmy go więc od wiosny do jesieni. On musi się miesiąc moczyć w oleju słonecznikowym z pierwszego tłoczenia, najlepiej z Ukrainy, zanim się go posieka z piernikiem, jest to więc proces długofalowy…

– A prezenty?

– Masz dla mnie jakiś?

– Cóż ja, Małgosiu, mogłabym ci podarować?

– Ja nikomu nie daję prezentów. Ale oczekuję. Nie muszą być pod choinkę…

– Zwłaszcza że nie masz choinki. Ani wiadra…

– Na chuj wiadro, jak jest basen.

– I co, jakby się choinka zapaliła, to będziesz nosić wodę z basenu?

– Przecież mówię, że nie mam choinki. Ale był taki czas, gdy w tej roli występował basen…

– Układaliście prezenty wokół basenu?

– Siebie układaliśmy. Znalazłam takie zdjęcia w szufladzie: Boże Narodzenie, gołe dupy w basenie.

– Nawet ci się zrymowało.

– Bo to bardzo poetyczne wspomnienie. Nieżyjący dziś rockman, wybitna artystka ze swoim ówczesnym mężem, mój były kochanek ze „Sportowca" ze swoją śliczną żoną, jeden opozycjonista ze swoją ówczesną kochanką, a pierwszą narzeczoną mojego pierwszego męża nieboszczyka… Kłębowisko ciał bez dodatków tekstylnych, szczęście na twarzach, tylko opozycjonista jakoś ustawił się tyłem do aparatu. Ale wiadomo: katolik, żona i czwórka dzieci. Film wywołaliśmy za granicą i nikt tych zdjęć nie widział.

– Wielka szkoda. Ale, ale… Wracając do prezentów…

– Rozumiem, że będzie o granatniku?

– Sorry, nie oprę się. Generał Szymczyk należy bowiem do moich ulubionych postaci w polskim życiu publicznym. Czy wiesz, że był jedynym komendantem wojewódzkim z czasów platformerskich, którego PiS nie wywaliło na zbity ryj, tylko wręcz przeciwnie: awansowało na głównego oraz generalnego?

– Generalnego czego?

– Inspektora. To policyjny dwugwiazdkowy generał. W każdym razie jak chłopina musiał się starać, żeby mimo niesłusznego pochodzenia zyskać takie zaufanie obecnej władzy?

– To akurat wszyscy widzieliśmy, jak posyłał psy, żeby tłukły dziewczyny ze Strajku Kobiet.

– W pododdziałach zwartych, bo pododdział zwarty działa jak ręka milionopalca, w jedną miażdżącą pięść zaciśnięta. I dlatego nie ma plakietek z nazwiskiem, jak wyjaśniał pan komendant w senacie.

– Majakowskim wyjaśniał?

– Nie, Majakowski to akurat mój dodatek, Szymczyk mówił – cytat – że „policjanci w pododdziałach zwartych nie powinni nosić identyfikatorów, bo oni wówczas działają jako pododdział zwarty, a nie jako indywidualny policjant, i działają na rozkaz przełożonego".

– Rozumiem: oni tylko wykonywali rozkazy…

– Choć jednak wykazywali też odrobinę własnej inicjatywy, np. jak rzucali dziewczyny na glebę i przyciskali im twarze do chodnika. Dla ich dobra.

– W celach wychowawczych?

– Nie, ochronnych. Albowiem – znów cytat – „obścisk karku powoduje najbezpieczniejszą formę unicestwienia osoby zatrzymanej i agresywnej".

– Unicestwienia?

– Tak pan komendant był łaskaw powiedzieć w senacie. Ciekawe, jak się czuje teraz, gdy jego o mało co nie unicestwiło…

– Ciekawe kto.

– Jak to kto: Ruskie! Wyjaśnił to w „Rzeczpospolitej": na szczycie komendantów policji w ONZ heroicznie krytykował Rosję, więc nie ma się co dziwić, że „jest wiele powodów, dla których ktoś chciałby zdyskredytować go albo zrobić mu krzywdę lub zniszczyć relacje służb polsko-ukraińskich". Jestem pewna, że jak pan komendant wystrzelił z granatnika, to na Kremlu strzelały korki od szampana.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 228

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl dc8f67621c